

Moore Ulysses

Lodowa kraina

Drodzy Czytelnicy!

Po długim milczeniu odzywam się do Was, żeby wyjaśnić ewentualne niejasności.

Na początek - pytano mnie, jaka była reakcja Ulysse-sa Moore'a na wiadomość o publikacji jego dzienników? Odpowiedź brzmi - nie wiem. Nie wiem, ponieważ nigdy nie miałem szczęścia spotkać go osobiście. Następnie zwrócono mi uwagę, że adres siedziby Podpalaczy w Londynie nie odpowiada prawdzie. Otóż tym dociekliwym Czytelnikom wyjaśniam, że specjalnie użyłem zmyślonego adresu, ze względów bezpieczeństwa. Chciałbym też podkreślić, że nie mieszkam ani nigdy nie mieszkałem w miejscach, ^ których się wspomina w poprzednich tomach. W rezultacie także opis mojego hipotetycznego spotkania z panią Bloom, należy traktować po prostu jako fikcję literacką.

Na koniec pragnę skorzystać z okazji i tą drogą zawiadomić Freda Spiczuwę, że zostawił w moim domu swoją piżamę i szczoteczkę do zębów. Z tego powodu zapraszam go, by się stawił (on dobrze wie, gdzie) i odebrał swoje rzeczy.

Szczerze oddany Pierdomenico Baccalario

Rozdział 1

ROZBITEK

Jak okiem sięgnąć, było tylko morze. Obszar płaski, szary i lodowaty jak metal noża. Ale nie tak gładki. Morze nieustannie rytmicznie oddychało. Unosiło się i opadało, unosiło i opadało...

Monotonię tego obrazu przerwał gwałtowny i niespodziewany ruch. Coś białego. Mewa. Jej przenikliwy krzyk, szeroko rozpięte skrzydła, wykorzystujące powietrzne prądy. Potem głuchy plusk: mewa nagle zanurkowała pod powierzchnię wody, by schwytać srebrzyście lśniącą rybę. Niebo pozostało nieruchome. Szare i błękitne. Białe światło dnia, przenikające przez wielkie rozdarcia całunu z chmur, niczym przez witraże w katedrze. Tommaso Ra-nieri Strambi potrzebował kilku minut, żeby uświadomić sobie, że nie obserwuje tego wszystkiego z zewnątrz.

Był zanurzony w morzu.

W szarym i lodowatym morzu.

Wśród fal kołyszących go łagodnie, w górę i w dół.

Ponownie usłyszał ten przenikliwy krzyk, tym razem odleglejszy, i ujrzał, jak mewa oddala się, frunąc z rybą w dziobie. Po czym otrząsnął się nagle z dziwnego rodzaju snu i otaczające go obrazy rozprysły się, jak pęka nagle płytka cienkiego lodu.

Tommaso znalazł się pod wodą.

Niebo zastąpiła płynna przestrzeń o intensywnym zabarwieniu ciemnozielonym. Ciężkie, nasączone wodą ubranie ściągało go w dół.

Jak sparaliżowany od ukąszenia tą lodowatą cieczą, która uciskała mu skronie, podniósł wzrok. I zobaczył mnóstwo maleńkich wysepek pływających po powierzchni morza. Książki. Walizka. Fotel na biegunach. Stolik. Zobaczył, że one maleją, podczas gdy on spada ciągle w głąb.

Jakaś ryba śmignęła kilka metrów od niego i schodziła, nurkując pionowo, w głąb oceanu. Tylko że to chyba nie była ryba. Była za wielka na rybę. Wyglądała jak... fortepian? Na pełnym morzu?

Jedno po drugim napływały wspomnienia, jak wstrząsy elektryczne. Tommaso przypomniał sobie wielką falę która wtargnęła do księgarni Kalipso. Góra wody, która go porwała. Chwilę przedtem usiłował przekonać Flin-tów, by nie korzystali z klucza z główką wieloryba.

Bezskutecznie.

Postanowił spróbować poruszyć ramionami. Odepchnął się też mocno nogami i podpłynął pół metra w górę. Przedmioty unoszące się na powierzchni tej delikatnej ruchomej błony nad jego głową przestały na moment maleć.

Ponowił wyrzut ramion i jednocześnie odpychał się nogami. I znowu. Powtarzał te ruchy najpierw mechanicznie, potem coraz płynniej. Czuł gwałtowną potrzebę zaczerpnięcia tchu.

Kiedy tak płynął, przypomniał sobie, że woda uniosła go nad ziemię i przewróciła.

Przypomniał sobie gmatwaninę rąk i nóg, bo nie był sam w tym zamęcie. Byli tam też kuzyni Flint. I dziewczyna za ladą. Jak ona się nazywała? Nigdy nie natrafił na jej imię w książkach Ulyssesa Moore'a.

Pomału podciągał się ku powierzchni i zobaczył promienie słońca dosięgające go przez toń, ale nie odczuwał jeszcze ich ciepła. Teraz paliły go okrutnie płuca i boleśnie piekły oczy.

Jak się znalazł na otwartym morzu?

Mógł to sobie zaledwie wyobrazić: wielka fala musiała go przeciągnąć przez ulice Kilmore Cove razem z przedmiotami, które widział teraz pływające nad swoją głową. W miarę jak się do nich zbliżał, rozpoznał stoliki z gospody na plaży, krzesła, wielkie parasole. Ale też dziwniejsze rzeczy: jakieś parasolki, melonik, dwie komódki, lampę, połamane meble, kołdry.

Tommaso Ranieri Strambi wypłynął na powierzchnię, wydając coś w rodzaju krzyku.

Otworzył usta i w końcu łapczywie, zachłannie odetchnął. Potem pozostał nieruchomo z szeroko rozwartymi ramionami i nogami, z twarzą zwróconą ku słońcu. W końcu, kiedy był już pewien, że żyje, wybuchnął śmiechem.

Rozejrzał się dokoła, ale nie zobaczył niczego poza morzem. Żadnej linii brzegowej, żadnej łodzi na horyzoncie, nic, zupełnie nic. Kilka metrów obok płynęła za to masywna skórzana walizka niczym wąż boa, trochę nad i trochę pod powierzchnią wody.

Wydawało mu się, że ją rozpoznaje. Przypomniało mu się, że w mroku ostatnich chwil, uczeplił się czegoś miękkiego, a zarazem solidnego, co go osłoniło od uderzeń i utrzymało na powierzchni, kiedy wszystkie siły wokół usiłowały zepchnąć go na dno.

Wykonał kilka rzutów ramionami i dosięgnął tego przedmiotu, który prawdopodobnie ocalił mu życie. Był prawie tak duży jak on. Usadowił się na nim. Walizka zanurzyła się na kilka centymetrów i wypłynęła ponownie, podtrzymując go.

„Co za bałagan” - westchnął Tommaso na widok różnych szczątków porzucanych po powierzchni. Obserwując kolor wody, udało mu się ustalić, z której strony powinno się znajdować wybrzeże: pewnie tam, gdzie woda była brudniejsza i pełna dryfujących przedmiotów. Próbował też, jak dobrze wyszkolony harcerz, odgadnąć, która może być godzina, kierując się położeniem słońca, ale mu się to nie udało.

Wówczas powrócił myślami do tego wszystkiego, co mu się przydarzyło w ostatnich dniach.

Pomyślał przez moment o swoich rodzicach w Wenecji i wyobraził sobie, jak muszą się o niego martwić. Potem pomyślał o Anicie, zagubionej gdzieś w Pirenejach. W końcu pomyślał, że Julia Covenant, bliźniaczka Jasona, jest o wiele wyższa niż ją sobie wyobrażał.

Zaczekał, aż dryfujący wieszak przepłynie koło jego walizki szalupy, schwycił go i zaczął się nim posługiwać jak wiosłem. Próbował płynąć z prądem, kierując się w tę stronę horyzontu, gdzie jego zdaniem znajdowało się wybrzeże.

Kiedy tak niezdarnie wiosłował, odkrył, że to było o wiele bardziej męczące niż wiosłowanie na lagunie w Wenecji. Jak tylko zatrzymywał się na chwilę, żeby złapać oddech, cofał się natychmiast do punktu wyjścia.

Od czasu do czasu, za każdym razem kiedy coś zanurzało się pod powierzchnię wody, słychać było głuche odgłosy. Przez moment zapytywał sam siebie, czy to, co nieco wcześniej wydawało mu się opadającym na dno fortepianem koncertowym, nie mogło być w rzeczywistości jakimś morskim stworzeniem. Wielorybem. Albo rekinem.

„Nie ma w tej części morza rekinów” - powiedział głośno. Ale potem przypomniał sobie, że latarnik z Kilmore Cove został kiedyś zaatakowany przez rekina właśnie na tym morzu.

Zamknął oczy i odgarnął z czoła posklejane, zapiaszczone włosy. Następnie powrócił do swego prowizorycznego wiosła i zaczął uparcie wiosłować.

Płynął tak przez dziesięć minut, najwyżej kwadrans, dopóki nie poczuł, że jest całkowicie wyczerpany. Głowa mu pękała, a w uszach dzwoniło. Niby-wiosło wyslizgnęło mu się z rąk i wpadło do wody. Próbował rozpaczliwie je pochwycić, ale czuł się tak, jakby ciało nie chciało słuchać jego poleceń.

Położył się na walizce, objął ją, żeby nie zsunąć się do wody i powiedział sobie: „Tylko chwilę. Odpocznę tylko chwilę i potem...”.

Chwilę potem stracił poczucie rzeczywistości, niesiony z prądem, kurczowo uczepony szalupy z czarnej skóry.

Rozdział 2

NA SKRZYDŁACH WIATRU

Sześć par nóg zbiegało pędem z urwiska w stronę wybrzeża w Kilmore Cove. W głębi, na wysokości portu w miasteczku, płynęła wciąż ku morzu rzeka wody i błota, porywając wszystko, co napotkała na swej drodze. Woda pojawiła się w najstarszej części miasteczka i stamtąd wpłynęła w główną ulicę, zamieniając ją w koryto rwącego gwałtownie strumienia. Wysoka fala, sięgająca co najmniej dwóch metrów, podmyła groźnie cokół pomnika Wilhelma V w środku głównego placu, zagrażając jego niepewnej równowadze.

Dalej większość budynków żywioł wodny zaledwie musnął, podczas gdy gospoda na plaży została niemal zmieciona z powierzchni wraz ze stołami, stolikami i większą częścią zadaszenia. W zatoce widać było powywracane łodzie, podarte żagle, rozrzucone po wodzie sieci i setki pływających przedmiotów.

Sześć osób pędziło w milczeniu. Biegli wpatrzeni w ten obraz zniszczenia, wkładając w bieg całą swoją energię.

Na czele grupy pędził Jason Covenant, z długimi, rozwianymi włosami, w brudnym i podartym ubraniu po wspinaczce i upadkach z ostatnich dni. Wzrokiem obiegał nawiedzoną katastrofą okolicę, a ruchy miał płynne i doskonałe, jak wprawny biegacz.

Za nim biegła przybyła z Wenecji Anita Bloom, o długich czarnych włosach, które powiewały na wietrze. Oczy miała rozszerzone z przerażenia.

Dalej podążała smukła siostra Jasona Julia, pełna energii, mimo dopiero co przebytej gorączki, oraz mocno zbudowany dzięki uprawianiu kolarstwa, Rick Banner, z lśniącą kasztanową czupryną, którego twarz wyrażała teraz kompletne niedowierzanie.

Grupkę tę zamykała dziwaczna para mężczyzn w średnim wieku, którzy wlekli się za dziećmi bardziej z konieczności niż z własnej woli. Zaledwie dwa dni wcześniej ich garnitury były eleganckie i świetnie skrojone, mokasyny lśniące, a twarze wygolone i pachnące wodą kolońską. Tymczasem teraz pierwszy z nich, blondyn (który dumnie utrzymywał w biegu lekką przewagę nad drugim), miał policzki zarośnięte, zaniedbaną - nierówną i szorstką - bródkę, spodnie rozdarte na kolanach, a buty z oderwaną podeszwą. Drugi, czarny i kędzierzawy (który kuśtykał kilka kroków za bratem), zgubił

rękaw od marynarki, a na głowie falowały mu zwichrzone niesforne włosy niczym masa cukrowa na patyku.

Na poboczu drogi gałęzie krzewów uginały się pod naporem wiatru. W miarę jak biegnący zbliżali się do miasta, słyszeli narastający huk w dole i zaczęły ich dochodzić krzyki mieszkańców.

Kiedy dobiegli do ostatniego zakrętu, Julia gwałtownie wyhamowała. - Hej! Zatrzymajcie się! Zaczekajcie chwileczkę! - prosiła zdyszana.

Oparła się o pień jakiegoś drzewa na poboczu drogi i głęboko oddychała. Parę kroków przed nią rododendrony pokrywające zbocze doliny mieniły się kolorami jak morze u stóp urwiska.

- Można wiedzieć, co się dzieje? Już prawie dobiegliśmy! - zawołał niezadowolony Jason, niechętnie zwalniając.

Zamiast odpowiedzi Julia osunęła się na ziemię, oparła głowę na kolanach i westchnęła. - O mammo... - dyszała ciężko. - Chyba pęknę!

- Ale przebiegliśmy zaledwie dwa zakręty - wykrzyknął jej brat.

- Tak, ale ja dopiero co miałam koklusz! - odkrzyknęła ze złością Julia, zanim złapał ją atak gwałtownego kaszlu.

W spojrzeniu Jasona pojawiła się mieszanina rozczarowania i współczucia.

Stanęli wszyscy w półkolu nad Julią, czekając aż wróci do formy i podejmie bieg.

- Hej! Czy i wy to słyszycie? - spytał w pewnym momencie Rick.

W oddali rozległo się bicie dzwonu. Uderzenia były coraz to szybsze i mocniejsze, jakby chciały ostrzec przed niebezpieczeństwem.

- To z kościoła św. Jakuba... - szepnął Jason. Potem, klasnąwszy niecierpliwie w dłonie, zawołał: - Dalej! Musimy biec, musimy zobaczyć, co się stało!

Kędzierzawy brunet jednak dał znak time out i wskazał na Julię. - Uspokój się, chłopcze. Zgadzam się z twoją siostrą, zróbmy małą przerwę.

Jason prześwidrował go oczami zwięzonymi w szparki. Nawet jeśli teraz uchodzili za kumpli, ci dwaj pozostawali bądź co bądź Podpalaczami. A zatem potencjalnymi wrogami. Rozłożył jednak ramiona na znak kapitulacji.

Dzwon przy kościele rozdzwonił się jak szalony. Jednakże huku wody na ulicy nie stłumił ani o jeden decybel.

- Ja nie potrafię tak czekać... może potrzebu; \$ pomocy

- odezwał się w końcu Jason i ruszył w drogę po lśniącym asfalcie. - Zobaczymy się w kościele, Julio. Kiedy tylko będziesz mogła.

Zamiast odpowiedzi Julia zakasłała chyba ze dwanaście razy.

Rick rozejrzał się wokół, niezdecydowany, co robić. I on miał ochotę biec dalej, żeby się upewnić, że matce nic się nie stało. Spojrzał jednak na Julię i pomyślał, że nie może jej zostawić w takim stanie. Od głównej ulicy, w prawo, biegła mała alejka. Tabliczka namalowana ręcznie wyjaśniała, że chodzi o Humming Bird Alley, czyli drogę prowadzącą do posiadłości doktora Bowena. - Może mógłbym pójść po doktora...

Julia przeszła go gniewnym spojrzeniem. - Nie potrzebuję lekarza! - zaprotestowała, kaszłąc.

- Muszę tylko... nabrać tchu. A poza tym przypuszczam, że doktor już zszedł do miasta.

- A może niczego nie zauważył - odparł Rick. - I właśnie dlatego ojciec Feniks bije w dzwon na alarm!

Julia znowu się rozkaszała.

- W każdym razie, zważywszy że zatrzymaliśmy się tu

- dodał Rick - nic nie szkodzi wstąpić i poradzić się go.

- Po czym zwrócił się do dwóch Podpalaczy i do Anity, ciągle niezdecydowanej, czy pędzić za Jasonem, czy nie. - Wy idźcie. My dobiegniemy za moment.

Anita nie kazała sobie tego dwa razy powtarzać i ruszyła w ślad za Jasonem, a Rick razem z opierającą się Julią, zaczęli podchodzić dróżką prowadzącą do domu doktora.

Podpalacze zostali sami. Wymienili między sobą długie zatroskane spojrzenie.

- Co tu robić? - zapytał blondyn.
- Pod tą masą wody mógł być nasz szef... - zauważył kędzierzawy.
- Może nie... Jeśli odkryje, cośmy narobili...
- A zwłaszcza, czego nie zrobiliśmy...

Pozostali chwilę w milczeniu, a rododendrony wokół falowały na wietrze.

- Właśnie. Jeśli nas zapyta, co tu porabiamy, zważywszy, że nasz samochód stoi na lotnisku w Londynie i że poleciliśmy do Tuluzy, to co mu powiemy?

Kędzierzawy podrapał się gwałtownie w głowę. - Hmm... Sądzę, że musimy coś wymyśleć, coś bardzo prawdopodobnego. Co, zważywszy obecne okoliczności, wcale nie jest proste.

- „Trzeba zawsze mówić, jakby to było pierwszy raz, słowa powinny się znaleźć” - odpowiedział blondyn.

Podpalacz o kędzierzawych włosach przybrał skupioną minę. - Czekaj, czekaj... kto to powiedział? Może wiem! To aktor?

Blondyn tylko się lekko uśmiechnął i poszurał butami po asfalcie, kierując się w stronę miasta.

- Reżyser? Kompozytor? Jazzman? - ciągnął kędzierzawy, wlokąc się za bratem.

Wkrótce doczłapali do schodków prowadzących ku temu, co pozostało z wybrukowanych ulic Kilmore Cove. U dołu schodów napotkali trzy postacie pokryte od stóp do głów błotem: jedna wyglądała jak przyklejona do latarni, podczas gdy dwie pozostałe utknęły w mosiężnym zagłówku jakiegoś łóżka, wciśniętego w poprzek krawężników.

- Popatrz, popatrz, kogo my tu mamy... - odezwał się nagle blondyn, przyglądając się tej masie błota. - Jeśli się nie mylę, to są te trzy łobuziaki, które spotkaliśmy tu ostatnio?

- Mam! - wykrzyknął kędzierzawy, który w ogóle nie słuchał brata. - To powiedział Dario Fo, noblista.

Ubawiony blondyn pokręcił głową. - Nie. To, bracie, Szekspir - odparł - który z niewyjaśnionych przyczyn nigdy żadnego Nobla nie otrzymał.

Rozdział 3

KTOŚ, KTO WIOSŁUJE POD PRĄD

Nestor dokuśtykał do dziedzińca Willi Argo. Noga bolała go jkk nigdy, ale nie zwracał na nią uwagi. Był w szoku.

I to nie z powodu katastrofy, jaka dotknęła miasteczko. Przyczyna tej nagłej powodzi i jej konsekwencje całkiem go nie obchodziły. Myślni był gdzie indziej. Przeszedł przez park ze stuletnimi drzewami na szczycie urwiska i nie rzucił nawet okiem na masę wody zalewającą ulicę w dole i wpadającą do morza wraz z porwanymi po drodze rzeczami i ludźmi.

Poruszając się jak automat, wszedł do swego domu, podszedł do stołu i rozłożył na nim list od żony. Stojąc pochylony nad stołem, przeczytał go po raz drugi z wyrazem niedowierzania na pobrużdżonej twarzy.

„Żyje?!“ Przebiegł w myślach ostatnie lata swego życia, kiedy to nosił kwiaty na grób, który, jak się okazuje, nie miał racji bytu. I kiedy tak bardzo bolał nad nigdy nie potwierdzoną śmiercią żony!

Podniósł instynktownie dłoń do ust, by powstrzymać krzyk, by stłumić wzruszenie wobec odkrycia tak wstrząsającego, że aż zapierało dech w piersiach. Penelopa, tamtej nocy, wcale nie... spadła z urwiska. Przeleciała balonem zaprojektowanym przez Petera przez rozstępną skałę pod Willą Argo, a przedtem wypowiedziała się u ojca Feniksa.

Obaj o tym wiedzieli, a żaden mu nic nie powiedział. Dlaczego?

Ktoś... kto z pewnością nie pasował idealnie do twojego projektu. Ktoś, kto wiosłował pod prąd.

Penelopa przekazywała mu po upływie lat podejrzenie, że wśród przyjaciół Wielkich Wakacji był zdrajca. Ale kto to mógł być?

-I dlaczego nigdy mi o tym nie mówiła? Dlaczego?

Nestor w głębi duszy znał odpowiedź.

Rozejrzał się za krzesłem i usiadł. Za jego plecami rozdzwonił się wściekle telefon z czarnego bakelitu, ale on nawet tego nie słyszał.

-Już mi nie ufała. To ja byłem tym, który wiosłował pod prąd, przeciwny projektowi.

Stary ogrodnik wyciągnął z kieszeni cztery klucze; zabrał je dzieciom zanim pobiegły do miasteczka. „Muszę coś sprawdzić” powiedział im, choć wcale tak nie było. Jediną rzeczą, jaką chciał zrobić, było otwarcie Wrót Czasu w Willi Argo i udanie się na poszukiwanie Penelopy.

Na stole przed sobą ułożył w jednym rzędzie cztery klucze: aligator, dzięcioł, żaba i jeżozwierz. Dzięki tym kluczom, wiele lat temu, Nestor wraz z ojcem wybrali się do Wenecji z 1751 roku.

Tylko że to nie był historyczny rok 1751. To była Wenecja ponadczasowa, iskra niezmiennego i niezniszczalnego piękna, która się oderwała od Wenecji realnej i nigdy się nie przekształciła we współczesne miasto, zalane tłumem źle wychowanych turystów, motorówek i plastikowych torebek pływających bezkarnie po zielonych wodach w kanałach.

To była Wenecja doskonała, jak Kilmore Cove było doskonałym miasteczkiem z wyobraźni w Kornwalii. Dwa miejsca niemożliwe do odwiedzenia dla kogoś, kto nie miał dostatecznej odwagi, by udać się w podróż marzeń.

W tej to Wenecji Ulysses Moore zakochał się w doskonałej kobiecie. Poślubił ją i przywiózł ze sobą. Nie mieli dzieci, ale podróżowali po całym świecie, napełniając Willę Argo fantastycznymi przedmiotami, pochodzącymi z jeszcze bardziej fantastycznych miejsc.

Przekraczali Wrota Czasu bardzo wiele razy, sami lub w towarzystwie przyjaciół. Byli to przyjaciele Ulyssesa, ale szybko stali się również przyjaciółmi Penelopy: nieugięty Leonard, surowy Black, genialny Peter i wielu innych. Reaktywowali w salonie Willi Argo Klub Podróżników w Wyobraźni, który dziadek Nestora zamknął w Londynie wiele lat wcześniej.

„Wyobraźnia nie jest dla wszystkich” powtarzała zawsze Penelopa, kiedy się zbierali, by zaplanować kolejną podróż. I rzeczywiście, nie wszyscy przyjaciele pozostali jak oni nieuleczalnymi marzycielami: niektórzy woleli dorosnąć, stać się rozsądnymi i

odpowiedzialnymi, i zarzucić na zawsze fantazjowanie o cudach za Wrotami Czasu. Na przykład ojciec Feniks, który teraz kierował kościołem w miasteczku, albo dwie siostry Biggles, Kleopatra i Klitajmestra, z których jedna miała dziecko, a druga koty do opieki. Wspomnienia przemykały przed oczami Nestora, spowite w mgiełkę nostalgii. Stary ogrodnik sięgnął po pudełko z pozostałymi Kluczami Czasu i ułożył je obok pierwszych czterech, które zabrał dzieciom. Przesuwając klucze w palcach przywołał szczegóły tej nocy, kiedy stracił żonę.

Peter niedawno umknął do Wenecji, podczas gdy Black wyjechał, usiłując ukryć na zawsze to właśnie pudełko, które Nestor miał teraz przed sobą, na środku stołu.

Leonard i Ulysses kolejny raz się sprzecali: Leonard nalegał, żeby pozostawić Wrota Czasu otwarte i nadal z nich korzystać, a Ulysses chciał zamknąć je na zawsze. I Penelopa nie mogła dojść do słowa.

Nestor podparł się pod brodę. - Głupiec, skończony dureń z ciebie... - mruknął sam do siebie.

- Nie umiałeś jej wysłuchać i utraciłeś ją.

Potem, niczym cios prosto w twarz, powróciło wspomnienie chwili, w której widział ją po raz ostatni.

Była burza. Penelopa włożyła nieprzemakalny płaszcz i wyszła z kuchni Willi Argo. Padał lodowaty deszcz. Nocne niebo rozjaśniały co chwila błyskawice.

Nestor nie poszedł za nią. Przeprosił ją, że podniósł głos. Nie znosił, kiedy przyznawała rację Leonardowi. Wychylił szklaneczkę brandy i czekał, aż żona wróci do domu. Tylko że Penelopa nie wróciła.

W końcu Nestor wyszedł przed kuchnię, zawołał ją głośno, a potem wołał jej imię jeszcze wiele razy, ale odpowiadał mu tylko nieustający szum deszczu. Coraz bardziej zaniepokojony zadzwonił do przyjaciół. „Widzieliście Penelopę?” „Była u ciebie?” „Była może u państwa, pani Bowen?”

Nie.

Nie.

I znowu nie.

Tak więc, za późno, poszedł jej szukać. Zimny i gęsty deszcz moczył mu kark. Park przypominał wczesny obraz van Gogha. Gdzie się Penelopa podziała? Motocykl stał w garażu. Rowery też. Furtka była zamknięta. W oknach mansardy na poddaszu Willi Argo było ciemno. Pozostawało tylko urwisko...

Schodki w skale.

Nestor zamknął oczy. Przypominał sobie doskonale szelest jej peleryny, którą targał wiatr. On sam zatrzymał się, uchwyciwszy się występu skalnego.

Wykute w skale stopnie były mokre i śliskie od deszczu. Zbiegając po nich w pośpiechu, Nestor ryzykował parę razy, że upadnie. Ciągle nawoływał Penelopę, ale odpowiadało mu tylko czarne ryczące morze.

Tej nocy Nestor jej nie znalazł. Następnego dnia doktor Bowen odkrył ślady krwi na skałach. Ogrodnik poderwał nagle głowę. „Ktoś, kto wiosłuje pod prąd” powiedział do siebie. I wyszedł z domu.

Rozdział 4

MORZE BŁOTA

Wysoka fala tak jak nagle się pojawiła, tak się cofnęła.

Po wycofaniu się wody, na placu przed kościołem św. Jakuba roiło się od ludzi grzęznących w błocie. Masa wody, która runęła od strony starej dzielnicy, wcisnęła się we wszystkie uliczki odchodzące od placu, przy którym mieściły się księgarnia i poczta, i uderzyła z impetem o boczną ścianę kościoła, sięgając bryzgami aż po jego dach. Potem spłynęła główną ulicą, pozostawiając za sobą warstwę szlamu, wodorostów i trzepocących się ryb.

Ściany budynków wyglądały jak maźnięte jakimś ogromnym pędzlem. Doniczki, okiennice i wszystko, co się znajdowało poniżej pierwszego piętra, woda zniszczyła i porwała ze sobą.

Jason i Anita przystanęli, rozglądając się ze zdumieniem.

Brama kościelna była otwarta i ukazywała wielkie zakrzeple bagno. Potoki brudnej wody spływały z wolna w stronę morza, niosąc ze sobą porwane stronice, kawałki drewna i skorupy doniczek. Wszędzie widać było strzępy powyrywanych z książek kartek: na drzwiach domów, przyklejone do ścian, na tarasach drugiego piętra.

- Chodź - odezwał się nagle Jason i ruszył, kierując się ku wyższej stronie placu, gdzie stał kościół.

Anita natychmiast ruszyła za nim. Zewsząd dochodziły ich krzyki i lamenty, niespodziewane odgłosy otwierających się bram i okien, klaksonów i opon aut krążących w tym mule. W wyższej części placu błoto sięgało po kostki, niżej - miejscami po kolana.

Anita rozglądała się dokoła zmartwiona, usiłując rozpoznać twarz ojca albo Tommiego pomiędzy tymi ludźmi krążącymi tu niczym zjawy pośród dzieła zniszczenia.

Brodząc w błocie, dobrnęli do kościoła. Na posadzce stała brudna woda, którą kilka kobiet już zgarniało miotłami. Ojciec Feniks wydawał polecenia od ołtarza. - Do ambulatorium!

Szybko! Musimy dostarczyć łóżka do kii-

niki po drugiej stronie ulicy! - krzyczał do każdego podchodzącego.

Ktoś się trzymał za ramię, ktoś inny za czoło. Poważniej rannych ułożono na ławkach w kościele. Przez nawy kościelne niósł się chór jęków i płaczu.

Nikt nie potrafił dokładnie powiedzieć, co się wydarzyło: dwadzieścia minut wcześniej nagle, z niczego, wytrysnęła góra wody, która zniszczyła wszystko.

- Moglibyśmy w czymś pomóc? - zapytał Jason, kiedy udało mu się precyzyjnie do ojca Feniksa.

- Macie aż za dużo do wyboru! Możecie pomóc mi ustawiać ławki, możecie iść do kliniki zobaczyć, jak sobie radzą z łózkami, albo iść do miasta sprawdzić, czy ktoś nie został przywalony błotem. W każdym razie coś róbcie!

Powiedziawszy to, ojciec Feniks zakasał rękawy sutanny i unióś ławkę w pierwszym rzędzie, przesuując ją zrećnie na bok jakby to była zabawka.

Anita i Jason postanowili pójść zbadać sytuację w starej dzielnicy, skąd runęła woda na całe miasteczko. Brnęli przez zalane uliczki, uważając, by się nie poślizgnąć, aż wydało im się, że posłyszeli jakiś krzyk o pomoc. Prawdę mówiąc, krzyk był tak przenikliwy, że nie można go było nie usłyszeć.

Utorowali sobie przejście między szczątkami niesionymi z prądem i dotarli do placu, przy którym stał drewniany dom starej pani Biggles.

I tu siła uderzenia wody pozostawiła swoje ślady; wysoka latarnia była zgięta jak pałeczka lukrecji, a balustradę na tarasie pierwszego piętra porwała woda. Wyrwane okna na parterze wpuściły wodę do kuchni i saloniku, a ta uniosła ze sobą patelnie, garnki, talerze, a nawet wielki kwiecisty tapczan, który utknął w poprzek zaułka.

Panna Biggles uczepiona dachu krzyczała rozpaczliwie z całych sił, otoczona tłumem miauczących kotów.

Jason próbował z nią nawiązać kontakt i uspokoić, ale choć krzyczał co tchu w piersiach, starsza pani w ogóle go nie słuchała.

- Znowu woda! Znowu! - szlochała zdesperowana. Wydmuchała sobie nos, poślizgnęła się i zsunęła na siedzeniu po dachu aż do gzymsu. Dwa koty wskoczyły między rynny i weszły nieufnie wśród resztek tarasu. - Na Boga, Oktawianie, wracaj natychmiast! Marek Aureliusz, do mnie! Siedzicie przy mnie!

- Panno Biggles, idę po panią! - zawołał Jason. - Już po wszystkim. Woda spłynęła!

- Spłynął też mój dom! - użalała się kobieta.

Istotnie, z parteru mało co pozostało, z wyjątkiem mozaiki kartek z książek rozrzuconych wszędzie po trochu.

Na dachu jedna z rynien podejrzanie zaskrzypiała.

- Niech się pani nie rusza, panno Biggles! - krzyknął Jason. - Już idę!

Wcale nie było łatwo wcisnąć się w to błocko, które zalało cały parter, ale w końcu Anita z Jasonem, trzymając się za ręce, weszli po wewnętrznych schodach na pierwsze piętro i dalej na strych. Przez okienko mansardowe Jason wyszedł na dach i pośród ciżby fukających nastroszonych kotów, próbował namówić panią Biggles, by do niego podeszła. Po kilku niekończących się minutach stara kobieta zgodziła się na powrót do domu.

- Dzięki Bogu chłopcze, dotarłeś - westchnęła, przeciskając pokązną tuszę przez okienko w mansardzie i następnie schodząc ostrożnie po schodach. - Tym razem myślałam, że woda porwie nas wszystkich.

- Tym razem, mówi pani? - zapytał ją Jason, spocony jak mysz od podtrzymywania kobiety.

- No tak! Ty jesteś młody, to nie możesz tego pamiętać, ale to już się kiedyś stało. W dodatku całkiem tak samo: chwilę przedtem było wszystko dobrze, a w następnej... pojawiła się rwąca rzeka brudnej wody, która porywała wszystko!

Zataczając się, wyszli na zewnątrz, na słabe słońce. Koty szły za nimi, podskakując nerwowo, upaprane w błocie aż po uszy.

- Tędy, pani Biggles... - Anita i Jason torowali drogę w kierunku kliniki.

- O nieba! Moja piękna sofa!

- Proszę się nie martwić, zobaczy pani, że ją odzyskamy - próbowała pocieszyć kobietę dziewczynka, czerwieniąc się trochę, bo czuła, że chyba to nieprawda.

Człapali w błocie niczym trzy gęsi, pryskając dokoła i nieustannie tracąc równowagę. W końcu dotarli do kliniki. Przed bramą zebrał się już tłum ludzi. Niezbyt zachęcający szyld głosił:

KLINIKA PINKLEWIRE LEKARZ WETERYNARZ

No, ale to było jedyne miejsce dostatecznie obszerne, aby można było ustawić łożka polowe z rannymi.

- Jest pani pewna, że to się już kiedyś zdarzyło? - zapytała Anita panną Biggles, kiedy zbliżały się do wejścia.

- Och, to było wiele, wiele lat temu - wspomniała panna Biggles, pozwalając się prowadzić. - Tyle że wtedy było mniej wody... i to było w niedzielę. W niedzielę wieczór. Właściwie nikt tego nie zauważył od razu, dopiero nazajutrz. Prawdę mówiąc, ja i moje koty, tak, ale... nikt nie chciał nam dać wiary! Po czym, wskazując na dom przy głównej ulicy, dodała: - O, widzicie tam? Tamtej niedzieli pan Thompson zjadł kolację i wyszedł z domu jakby nigdy nic i nawet nie zauważył, że między kolanami pływają mu ryby!

- O nieba! Moja piękna sofa!

- Proszę się nie martwić, zobaczy pani, że ją odzyskamy - próbowała pocieszyć kobietę dziewczynka, czerwieniąc się trochę, bo czuła, że chyba to nieprawda.

Człapali w błocie niczym trzy gęsi, pryskając dokoła i nieustannie tracąc równowagę. W końcu dotarli do kliniki. Przed bramą zebrał się już tłum ludzi. Niezbyt zachęcający szyld głosił:

KLINIKA PINKLEWIRE LEKARZ WETERYNARZ

No, ale to było jedyne miejsce dostatecznie obszerne, aby można było ustawić łożka polowe z rannymi.

- Jest pani pewna, że to się już kiedyś zdarzyło? - zapytała Anita panną Biggles, kiedy zbliżały się do wejścia.

- Och, to było wiele, wiele lat temu - wspomniała panna Biggles, pozwalając się prowadzić. - Tyle że wtedy było mniej wody... i to było w niedzielę. W niedzielę wieczór. Właściwie nikt tego nie zauważył od razu, dopiero nazajutrz. Prawdę mówiąc, ja i moje koty, tak, ale... nikt nie chciał nam dać wiary! Po czym, wskazując na dom przy głównej ulicy, dodała: - O, widzicie tam? Tamtej niedzieli pan Thompson zjadł kolację i wyszedł z domu jakby nigdy nic i nawet nie zauważył, że między kolanami pływają mu ryby!

- Ryby?

- Takie wielkie ryby! - potwierdziła panna Biggles, rozkładając nagle ramiona i uwalniając się od uścisku dzieci.

- Proszę uważać, pani Biggles! - krzyknął Jason i pochwycił ją w ostatniej chwili, zanim wywinęła kozła w mule. Potem, jakby go nagle coś oświeciło, zanurzył dłoń w strumyczku wody i podniósł ją ostrożnie do ust.

- Do licha! - zawołał. - Słona.

Rozdział 5

DOKTOR Z KILMORE COVE

Stojąc przed pomalowaną na niebiesko drewnianą furtką domu doktora Bowena, Rick i Julia czekali dobrą chwilę, aż ktoś zareaguje na dzwonek. Potem, zauważywszy, że furtka jest uchylona, pchnęli ją i weszli. Minęli w milczeniu gromadę ogrodowych krasnali i zapukali do drzwi wejściowych.

- Zaraz przyjdzie żona doktora i każe nam założyć kapcie... - szepnęła Julia, wspominając ostatnią wizytę w domu państwa Bowenów.

Tymczasem nikt się nie pojawił.

- Może nikogo nie ma w domu - odezwał się Rick.

Pociągnęli dwukrotnie za dzwonek.

- Zdaje się, że masz rację - powiedziała Julia. - Prawdopodobnie doktor już pobiegł do miasta.

- I może żona razem z nim.

Cofnęli się dwa kroki i Julia spojrzała w górę, w okna na pierwszym piętrze. Wydało się jej, że zauważyła, jak coś się porusza za zasłonami. Po chwili, kiedy sądziła, że dostrzegła jakąś postać ubraną na czarno, podbiegła w stronę drzwi.

- Zaczekaj moment... - szepnęła do Ricka od drzwi wejściowych.

Nacisnęła je: były otwarte.

- Panie doktorze! - zawołała dziewczynka, przechylając się przez próg. - Pani Edno! Wnętrze domu wyglądało tak, jak je zapamiętała: ściany lśniły bielą, a drewniany parkiet był wywoskowany. Wszędzie panował nieskazitelny porządek z wyjątkiem - nie do wiary! - śladów błota prowadzących od drzwi w głąb mieszkania.

- Widzisz je? - spytała zdumiona Julia.

- Oczywiście, że widzę.

- To nienormalne. To nie ich ślady. Wiesz doskonale, jakimi są pedantami!

- Tak, ale dopiero co była powódź - zauważył chłopiec. - To oczywiste, że pozostały... Ej, można wiedzieć, co ty wyrabiasz?

Dziewczynka ściągnęła błyskawicznie buty z nóg i weszła do środka.

- Nie możesz tak się zachowywać! - skarcił ją cicho Rick, nadal stojąc nieruchomo w progu. - To nie twój dom!

- Tylko rzucę okiem! - odparła niecierpliwie Julia. - A poza tym, może wyrządę państwu Bowen przysługę. Może zakradł się złodziej do ich domu, jak tylko wyszli.

- Aha! A jeśli rzeczywiście jest tu złodziej, to co zamierzasz zrobić?

- Ojejku, aleś ty się zrobił nudny, Rick! Kiedyś byłeś inny!

Rick się rozżłościł. - Do diabła z wami, Covenant! - zawołał i chcąc nie chcąc, sam też zdjął buty, żeby podążyć za Julią.

Szli po śladach zabłoconych butów, mijając okropne meble gospodarzy domu: ciężkie drewniane krzesła rzeźbione w kwiaty, stoły ze szkła i aluminium, białe lampki zwisające niczym grzybki z narożników sufitu, tyrolski fotelik doktora z krzyżówką złożoną pod okularami.

Kiedy doszli do schodów, ślady się wymieszały: jedne prowadziły na stopnie i na piętro, nakładając się na inne, schodzące w dół do piwnicy.

- Co robimy? - spytała Julia.

- Wychodzimy i dołączamy do naszych w kościele! - odparł Rick. - Tym sposobem może się wreszcie dowiem, jak się ma moja matka i... Dokąd ty idziesz?

Julia dała mu znak, by zamilkł. Zaczęła wchodzić po schodach na górę - ostrożnie, na palcach. Rick pokręcił niezadowolony głową, ale ruszył zrezygnowany za nią.

Kiedy doszli prawie do końca, przycupnęli na ostatnich dwóch stopniach i zerknęli na korytarz pierwszego piętra.

- To okropne - odezwał się Rick.

- Co jest okropne? Korytarz z aniołkami czy ten niepokojący hałas w głębi?

- Jedno i drugie - odparł rudowłosy chłopiec.

Na pierwszym piętrze domostwa państwa Bowenów panował ten sam „zimny klimat”, co na parterze, jeśli nie brać pod uwagę małych aniołków zawieszonych rzędem na ścianie i... głębokiego chrapania dochodzącego z jednej z sypialni.

Siady błota prowadziły właśnie do niej i od niej też odchodziły.

- Rzucę okiem - postanowiła Julia. I zanim Rick zdążył ją powstrzymać, dziewczynka podniosła się z kucków i przyklejona do ściany ruszyła wolno prawą stroną korytarza. Rick przyłączył się do niej. - Trzeba chyba zgłupieć, żeby zakradać się do czyjś domu jak złodziej... w dodatku, gdy ten ktoś śpi!

- Ktoś, kto tu wszedł w zabłoconych butach - szepnęła Julia, wskazując ślady błota - zrobił to samo.

- Tak, ale nawet przyjmując, że to nie są ślady samego doktora Bowena, nie widzę powodu, żeby...

Ale Julia wcale go nie słuchała i już podeszła pod drzwi sypialni, z której dochodziło to głośnie chrapanie.

- Wszedł, doszedł do tych drzwi... i potem zszedł na dół - szepnęła, badając ślady na podłodze.

Potem dostrzegła, że ślady błota były też na klamce. Spojrzała na Ricka, który szedł za nią krok w krok, jakby pilnując, co robi.

- I co? - spytał.

- Otwórz je.

Rick zaprotestował, ale potem wznosił błagalnie oczy ku niebu, oparł dłoń na klamce i ostrożnie ją nacisnął. Drzwi się uchyliły płynnie i bezszelestnie dzięki naoliwionym starannie zawiasom.

- O, kurczę!

- Co robi?

Edna Bowen leżała wyciągnięta na łóżku, na w pół ukryta za skomplikowaną aparaturą. Twarz kobiety przykrywał rodzaj maski, która potęgowała odgłosy jej oddechu. Miała na sobie podomkę z podciągniętym rękawem. Wyciągnięte ramię było owinięte gazą, spod której wystawały jakieś rurki podłączone do dziwnej maszyny.

Julia potrzebowała dobrej chwili, żeby się otrząsnąć z tego szokującego widoku. Spojrzała na Ricka i wskazała mu długi czarny płaszcz wiszący za łóżkiem, na ramie okiennej. To ten płaszcz właśnie wzięła za człowieka z krwi i kości, kiedy spojrzała z ogrodu.

Potem rozległ się charakterystyczny hałas otwieranych drzwi. Przeciąg poruszył czarnym płaszczem i w tej samej chwili pani Edna wydała swój donośny jęk.

W tym momencie Rick trącił Julię, dając jej znak, żeby uciekać. Zbiegli błyskawicznie po schodach, ale kiedy znaleźli się na parterze, zobaczyli mężczyznę stojącego nieruchomo w drzwiach. Miał na sobie długą pelerynę od deszczu i ciemny kapelusz, zsunięty na twarz. W jednej ręce trzymał ich buty, w drugiej - długi nóż.

Znalazłszy się nagle przed nim, Julia krzyknęła i spróbowała bezskutecznie wyhamować rozpęd, ale skarpety ślizgały się po gładkim parkiecie. Szczęśliwie Rick błyskawicznie zareagował: jedną ręką przytrzymał się poręczy, a drugą chwycił przyjaciółkę i przyciągnął ją do siebie.

- Hej! - krzyknął mężczyzna od progu. - Co wy tu robicie?

Rick był tak przestraszony, że nawet nie podniósł wzroku. Popchnął Julię do tyłu, w stronę drzwi do piwnicy. Moment później otworzyli je i wpadli na schody prowadzące na dół.

- Kim był ten mężczyzna? - spytała Julia zadyszana.

- Nie wiem! - odparł Rick. - Ale nie mam zamiaru teraz go o to pytać.

Smuga światła niespodziewanie oświetliła piwnicę: Rick zauważył kilka pudeł ustawionych rzędem na podłodze, stojak na wino oparty o ścianę na wprost, do połowy pusty, rząd salami

zawieszonych na sznurkach, które zwisały z sufitu. I otwarte drzwi na wprost tych, przez które weszli.

Piwnica miała grube kamienne ściany. A ślady błota widniały wszędzie.

- Tędy! - krzyknęła Julia i jednym skokiem znalazła się przy otwartych drzwiach. Sądziła, że były to drzwi do garażu albo do drugiego pomieszczenia i że stamtąd da się...

- STAC, WY DWOJE! - krzyknął mężczyzna w pelerynie, który zszedł do połowy schodów do piwnicy. Upuścił nóż na ziemię. - NIE MOŻECIE!

Ze wszystkiego, co mógł ten człowiek wykrzyczeć, to były chyba słowa najbardziej zdumiewające. Ale nie wpłynęły na zmianę ich koncepcji. Dzieci błyskawicznie pokonały przestrzeń dzielącą ich od drzwi i weszły. Dopiero kiedy przekroczyły próg, dotarło do nich, że popełniły błąd: drzwi były niezwykle masywne, jakby opancerzone. A jaki sens miało instalowanie opancerzonych drzwi, by oddzielić piwnicę od garażu?

Gdzie zatem... wbiegli?

- SAMIŚCIE TEGO CHCIELI! - krzyknął za nimi mężczyzna. Rzucił się na opancerzone drzwi niczym sęp i zatrzasnął je obiema rękami.

Rick rozejrzał się dokoła. Zatrzymał się. Obrócił.

- Pan doktor Bowen? - wyszeptał z niedowierzaniem, kiedy zaczął rozumieć.

Poprzez szparę zamykanych właśnie drzwi zdążył jeszcze zobaczyć twarz doktora oświetloną piwnicznym światłem. Potem zaraz szpara znikła.

- TERAZ SOBIE TU POSIEDZICIE! - usłyszał krzyk, zanim drzwi całkiem się zatrzasnęły z hukiem.

Znaleźli się w maleńkim pomieszczeniu.

W pułapce.

Rozdział 6

SPOTKANIE

- Ja was znam... - wyszeptał mały Flint, mrugając powiekami.

Przyjrzał się uważnie twarzy kędzierzawego, roztarga-nego bruneta, a potem temu drugiemu, o jasnych wyblakłych włosach.

- To wy... od tego astona martina DB7 rocznik... 1997.

- Ściślej biorąc, rocznik 1994, chłopcze. Ale, zgadza się, to my.

Chłopiec spróbował dźwignąć się na nogi, ale natychmiast odczuł przejmujący ból w żebrach.

- Oj! - krzyknął, próbując chwycić oddech. - Co... co się stało?

- Mamy nadzieję, że tego dowiemy się właśnie od ciebie - odpowiedział blondyn.

- Ledwieśmy ci odczepili od tej latarni - dorzucił kędzierzawy.

Mały Flint pomacał się po bolących żebrach. Nie wyglądało na to, żeby miał coś złamane, chociaż potężny siniec rozlewał się po ciele od szyi aż do pępka.

- OKROPNIE! - zawył ktoś kilka kroków obok. -OKROPNIE MNIE BOLI!

- Nie ruszaj się, ty mazgaju jeden! - odezwał się drugi głos. - To tylko zadrapanie!

- NIEPRAWDA! TO ZŁAMANIE! NIE CZUJĘ GO!

-Jakie tam złamanie! Zdrętwiało ci ramię, jak tyle czasu leżało uciskane pod twoim brzuszyskiem!

Mały Flint zerknął zdumiony między nogami swoich ratowników. Kilka kroków od nich sprzeczwały się zawzięcie dwie żywe statuy z błota (jedna nieco większa od drugiej), zanurzone po pas w szarobrazowej kałuży, pryskając szlamem na wszystkie strony. Nie miał wątpliwości: to byli jego kuzyni.

- Wygląda na to, że wracają do życia... - uśmiechnął się ironicznie kędzierzawy. - A ty, możesz chodzić?

- Myślę, że tak, dziękuję.

- A pamiętasz, jakeście się tu znaleźli?

Mały Flint zerwał sobie z pleców kartkę z książki Panienci dorastają. - Jasne, że pamiętam. Pracowaliśmy dla was w księgarni.

Dwaj mężczyźni spojrzeli po sobie zdumieni. - Pracowaliście dla nas?

- Powiedzieliście nam, żeby śledzić Covenantów i my to robiliśmy. Odkryliśmy, że... - chłopak pomacał się po kieszeni. - O, do diabła! Musiałem go zgubić.

- Co zgubić?

- Jak to co? Klucz z wielorybem!

Bracia Nożyce patrzyli na niego z pytającą miną. Najwidoczniej nie mieli zielonego pojęcia, o czym mówi.

- W porządku, jeśli macie cierpliwość, wszystko wam wytłumaczę. Ale najpierw musicie mi pokazać, gdzie zaparkowaliście waszego wypasionego astona martina.

- A co ma do tego nasz aston martin? - zapytał osłupiały kędzierzawy.

- Ja nie zapominam o umowach. Umowa brzmiała: informacje w zamian za przejazdkę autem.

- Ach, o to ci chodzi! - blondyn się trochę zmieszał. - Jak tak, to będziesz musiał jechać z nami aż na lotnisko w Londynie, bo tam zaparkowaliśmy samochód.

- A poza tym - dodał kędzierzawy - jeśli myślałeś, że tak utyłanego w błocie wpuścimy cię do naszego samochodu, myliłeś się i to bardzo!

Mały Flint jawnie zawiedziony tą wiadomością, spojrzął na swoich dwóch „wybawicieli” krytycznym wzrokiem.

- Nie wydaje mi się, żebyście wy wyglądali wiele lepiej.

Co się wam przydarzyło? Jechaliście może przez dżunglę ze spuszczonej szybami?

- Bardzo dowcipne, chłopcze - zauważył drwiąco blondyn. - A teraz, gdy już wyjaśniliśmy sobie pewne sprawy, czy nie zechciałbyś nam powiedzieć, co się tu u licha stało?

- Masz na myśli powódź? - Mały Flint rozejrzał się dokoła. Potem, bez wahania, wyciągnął palec w stronę kuzyna średniego wzrostu i oznajmił: - To on.

Na te słowa średni Flint, który masował sobie bolące kolano, podniósł gwałtownie głowę. - Nieprawda! To nie ja!

- Właśnie, że to ty! - odpowiedział mu natychmiast wielki Flint, który nigdy nie przepuszczał okazji do kłótni. - To ty! To ty!

- Skończcie z tym! - uspokoił ich szybko kędzierzawy. Potem, już na spokojnie, zapytał cichym głosem: - A jak niby miał to zrobić, jeśli wolno zapytać?

- Kluczem z wielorybem - odpowiedział po prostu mały Flint. - Użył go do otwarcia drzwi na tyłach księgarni.

- Ach, tak. Więc to ja. - Średni Flint nagle spochmur-niał.

- To właśnie powiedziałem! - wrzasnął zadowolony wielki Flint, otrząsając sobie z pleców wodę jak jakiś czworonóg. Na koniec powrócił do oglądania swego prawego ramienia.

Dwaj Podpalacze drapali się w zamyśleniu po głowach. Potem blondyn zabrał głos: - Zrobimy tak: jeżeli wasz gruby kuzyn nie ma nic złamanego, to czy nie uważacie, że moglibyśmy zajrzeć do tej księgarni, o której mówicie?

Po wymianie spojrzeń i wątpliwości oraz kilku wzruszeniach ramionami trzej Flintowie zdecydowali, że ostatecznie może tak być.

- Rozmawialiśmy z waszym szefem - odezwał się nagle mały Flint.

- Z panem Wojniczem? - zapytał zdumiony kędzierzawy. - Gdzie?

- W mieście, przed gospodą Windy-Inn. Chwilę przed tym jak... O, kurczę.

Zatrzymali się w miejscu, z którego po raz pierwszy mogli wyraźnie zobaczyć szkody w porcie i na placu w Kilmore Cove. Wszystkich zatkało.

Potem mały Flint podniósł rękę, wskazując fragment szosy wzdłuż morza zniszczonej przez wodę i powiedział: - O, dokładnie tam. Tam stały stoły i krzesła, a on siedział i rozmawiał z dwoma panami z miasteczka. Jego czarny samochód stał w tym miejscu, gdzie teraz jest jama...

Dwaj Podpalacze podążyli za spojrzeniem chłopca. Tam, gdzie była Windy-Inn, teraz widać było koślawy szkielet budynku zniszczony przez wodę, zatopiony w błocie i otoczony mnóstwem śmieci. A na miejscu szosy, piętrzyła się sterta ziemi wymieszanej z asfaltem.

- Hmm... Zmieniamy program, chłopcy - odezwał się blondyn, przyglądając się temu zniszczeniu. - Uważam, że przed pójściem do księgarni, powinniśmy zdobyć wiadomości o naszym szefie.

Gdziekolwiek skierowali spojrzenie, nie było śladu po Malariuszu Wojniczu, po mężczyznach, z którymi rozmawiał, ani po jego czarnej limuzynie.

Rozdział 7

TELEFON

Nestor kuśtykał w stronę Willi Argo, kiedy drzwi wychodzące na ogród nagle się otworzyły i stanęła w nich bardzo wzburzona pani Covenant.

- Och, Nestorze, całe szczęście, że jesteś!

Chwilę potem rozdzwonił się uparcie telefon.

- Jadę do miasta, żeby zobaczyć, co się stało. Nie mogę odnaleźć męża i bardzo się martwię!

- A nie sądzi pani, że to on może właśnie telefonować? - odparł stary ogrodnik, trochę zgryźliwie, jak zawsze.

Na te słowa pani Covenant zrobiła gwałtownie w tył zwrot i wołając, żeby wszedł, już biegła do telefonu. - Halo?

Chwilę słuchała, po czym odpowiedziała: - Nie, tutaj pani Covenant, ale oddam mu słuchawkę, bo akurat tu jest, stoi obok.

Obróciła się w stronę Nestora i przekazała mu słuchawkę z czarnego bakelitu.

- To do pana.

- Do mnie? - zdziwił się. - I dlaczego mnie tu szukają?

- Nie znaleźli gdzie indziej - odpowiedziała niecierpliwie pani Covenant, wruszając ramionami. - Idę wyprowadzić samochód z garażu. Proszę pozamykać wszystkie drzwi!

Nestor przesunął się, by umożliwić jej przejście. Czuł ciężar czterech kluczy w kieszeni.

Całkiem nie miał ochoty zamykać drzwi, przeciwnie, chciał je otworzyć. Z niechęcią podniósł słuchawkę do ucha. - Halo? - odezwał się.

- Nestor?

Dopiero po chwili rozpoznał głos po drugiej stronie linii. To był głos doktora Bowena, przerywany gwałtownymi oddechami. Głos bardzo przejęty.

- Co ci jest, doktorze?

- Jak to, co mi jest? Niczego nie widziałeś tam w dole? Jest powódź!

- Ach tak. O to ci chodzi.

- Jak możesz być tak spokojny? Dopiero co rozmawia-

Chwilę słuchała, po czym odpowiedziała: - Nie, tutaj pani Covenant, ale oddam mu słuchawkę, bo akurat tu jest, stoi obok.

Obróciła się w stronę Nestora i przekazała mu słuchawkę z czarnego bakelitu.

- To do pana.

- Do mnie? - zdziwił się. - I dlaczego mnie tu szukają?

- Nie znaleźli gdzie indziej - odpowiedziała niecierpliwie pani Covenant, wruszając ramionami. - Idę wyprowadzić samochód z garażu. Proszę pozamykać wszystkie drzwi!

Nestor przesunął się, by umożliwić jej przejście. Czuł ciężar czterech kluczy w kieszeni. Całkiem nie miał ochoty zamykać drzwi, przeciwnie, chciał je otworzyć. Z niechęcią podniósł słuchawkę do ucha. - Halo? - odezwał się.

- Nestor?

Dopiero po chwili rozpoznał głos po drugiej stronie linii. To był głos doktora Bowena, przerywany gwałtownymi oddechami. Głos bardzo przejęty.

- Co ci jest, doktorze?

- Jak to, co mi jest? Niczego nie widziałeś tam w dole? Jest powódź!

- Ach tak. O to ci chodzi.

-Jak możesz być tak spokojny? Dopiero co rozmawiałem z ojcem Feniksem. Potrzebuje pomocy, Nestorze. Są ranni i co najmniej dwadzieścia osób zaginionych. Jest...

- Ja nie mogę teraz zejść - przerwał mu gwałtownie Nestor. Słyszał, jak pani Covenant uruchamia silnik i wyjeżdża z garażu.

- W klinice sam nie dam sobie rady. - Głos Bowena nabrał teraz tonu błagalnego.

- Nie ma Pinklewira?

- Nestor, błagam cię...

- Doprawdy, Bowen - przerwał mu znowu stary ogrodnik, który poczuł się winny - przyjdę, jak tylko tu skończę.

Doktor chwilę pomilczał i dodał: - Właśnie mi przynieśli Blacka.

Coś ścisnęło Nestora w żołądku. - Znaczy że?...

- Żyje, ale kto wie, jak długo. Myślę, że sprawiłaby mu przyjemność wizyta starego przyjaciela.

Nestor z wściekłością zacisnął pięść. To, o co go prosił Bowen, brzmiało całkiem rozsądnie. Miało sens i należało go posłuchać. Chodziło przecież o Blacka, towarzysza tysięcy przygód...

Przez szybę w oknie wychodzącym na park Nestor zobaczył, jak pani Covenant otwiera drzwiczki i wysiada z samochodu.

Śledził ją wzrokiem aż do drzwi kuchennych.

- Nestor? Przypilnujesz dzieci, dobrze? - powiedziała, wysuwając głowę na korytarz. - Julia powinna być w swoim pokoju, a Jason na całe szczęście jest jeszcze na szkolnej wycieczce.

- Pani Covenant, proszę na mnie poczekać! - krzyknął do niej Nestor. Potem podniósł do ust słuchawkę: - Zaraz będę. Gdzie cię szukać?

- Dzięki. Urządziliśmy infirmerię w klinice weterynaryjnej. Jeśli mnie nie znajdziesz między łózkami, będę w swoim biurze na piętrze. Albo w aptece.

- Za pięć minut.

Nestor odłożył słuchawkę. Potem zmuszając się, by nie myśleć o czterech kluczach w kieszeni i o tym, że jedyną rzeczą, którą naprawdę chciałby w tym momencie zrobić było otwarcie Wrót Czasu i udanie się na poszukiwanie Penelopy, pokuśtykał w stronę pani Covenant stojącej niespokojnie przy aucie z włączonym już silnikiem.

- Jadę z panią do miasta - powiedział krótko.

- Ale... a dzieci?

- Dzieci potrafią sobie doskonale radzić same. Proszę na mnie chwilkę poczekać.

Stary ogrodnik wszedł do swego domu, chwycił myśliwską torbę i wsunął do niej pudełko z pozostałymi Kluczami Czasu.

„Po tym, co się zdarzyło z kluczem z wielorybem, lepiej nie ryzykować, że jakiś inny szalony chłopaczek wbije sobie dziwny pomysł do głowy” pomyślał. Potem przekręcił klucz w zamku dwa razy i wrócił do parku.

- Zamknął pan też nasz dom? - spytała go pani Covenant, gdy sadowił się na siedzeniu obok niej.

- Zamkniemy bramę - odpowiedział niezbyt uprzejmie. - W każdym razie w Willi Argo nie ma już niczego naprawdę ważnego do ukradzenia.

Rozdział 8 PRZEZ ŚCIANY

Rick zbadał po omacku ściany izdebki, w której zostali zamknięci, aż natrafił na kontakt. Kiedy go nacisnął i kiedy w świetle rozejrzał się po pomieszczeniu, poczuł się załamany. - Nie ma drugiego wyjścia - szepnął. - Trafiliśmy do czegoś w rodzaju więzienia.

Julia pokręciła głową, przeczesując włosy palcami. Poszukała sobie krzesła i przygnębiona opadła na nie ciężko. Neonowe lampy, brzęcząc, świeciły zimnym światłem.

Sądząc po jeszcze świeżej farbie na ścianach, znajdowali się w starej izbie urządzonej niedawno na nowo. Była tu klimatyzacja i małe, dziesięciocentymetrowe okrągłe okienko wychodzące na łąkę przed domem. Ale

nawet to okienko było hermetycznie zamknięte szklaną płytą.

Julia zrobiła pół obrotu na kręconym krześle. - Dokąd u licha, trafiliśmy, Rick?

Również Rick zadawał sobie to pytanie. Pamiętał, że doktor zbudował swój okropny drewniany dom na miejscu wyburzonego starego domostwa pochodzącego jeszcze z czasów Napoleona. Najwidoczniej jednak zachował dawne kamienne fundamenty. I kilka pomieszczeń, jak ta izdebka, do której trafili. - Rodzina Bowenów od pokoleń jest zasiedziąca w miasteczku... - powiedział. - Przypominasz sobie Thosa Bowena?

Julia przytaknęła. - To ten typ, co wyrysował mapę Wrót Czasu, którą próbowaliśmy odnaleźć w Egipcie? Tak?

- Tak. Zaczynam myśleć, że to nie przypadkiem mapa się znajdowała właśnie tu...

- Co masz na myśli?

- Założyliśmy z góry, że nikt w miasteczku, z wyjątkiem nas i przyjaciół Nestora, nie był świadomy istnienia Wrót Czasu. A jeśli tak wcale nie było? Może i doktor Bowen coś wiedział.

Rick podszedł do korkowej tabliczki zawieszanej na ścianie piwnicznej izby: były tu, przypięte ciasno koło siebie, dziesiątki małych żółtych karteczek przymocowanych żółtymi pineskami. Kaligrafia była tak regularna i jednoli-

^ PRZEZ ŚCIANY

ta, że wyglądała jak drukowana. Na każdej karteczce słowa biegły w pięciu liniijkach; niektóre były podkreślone zwy-^{*} kłym piórem tylko jedną kreską, inne dwiema.

Julia wstała z krzesła i podeszła do przyjaciela stojącego przy tabliczce. - Przesunęła palcami po powierzchni kartek. - Przechodzi mnie dreszcz... - szepnęła. Potem spostrzegła, że pod każdą z karteczek znajdują się inne. Przeczytała jakąś na chybił trafił. - Tu jest mowa o Kilmore Cove...

Zaczęła przebiegać wzrokiem dalsze, aż natrafiła na znajome słowo, dwukrotnie podkreślone.

- Tu jest moje imię!

- Tak - mruknął Rick. - A tu moje. Chwileczkę... Pod nim są wymienione wszystkie choroby, jakie przechodziłem od urodzenia i nawet kości, jakie połamałem!

Julia była oszołomiona. - Tu są moje... stopnie. Ale dlaczego?

- Ta dotyczy siostr Biggles - czytał dalej Rick. Przejrzeli szybko karteczki dotyczące większości

mieszkańców Kilmore Cove. Wyglądało na to, że doktor założył istne archiwum, gromadząc informacje o każdym z nich i kompletując je pod kątem nauki w szkole, stanu zdrowia, hobby i działalności zawodowej.

Jednak ze wszystkich osób, które z jakiegoś powodu zwróciły uwagę doktora, największe zainteresowanie przyciągał ostatnio Fred Spiczuwa.

Karteczki, które dotyczyły właśnie jego, miały szczególnie dużo podkreśleń. Wyglądało na to, że Fred nigdy nie uczęszczał do miejscowej szkoły. Przed posadą w urzędzie miejskim, przy dziwacznej maszynie ze spisem mieszkańców, nie przepracował w całym swoim życiu ani jednego dnia. Dziwne jednak, że potrafił tak się świetnie zgrać z tą piekielną maszyną. Może dlatego, że była skonstruowana z materiału z recyklingu pochodzącego z zakładu jego kuzyna.

- Popatrz popatrz... - szepnął Rick, przeglądając ostatnie zapiski. - Wydaje się, że doktor istotnie coś wie.

- Dlaczego? Co tam napisane?

- Fred Spiczuwa nie może mieć Pierwszego Klucza. Sprawdzić. Pogadać z Ulyssesem Moore. Spytać Agarthi.

- A kto to może być, ta Agarthi?

- Myślę, że to błąd - odparł Rick. - Agarthi, którą ja znam, nie jest osobą, lecz miastem ukrytym gdzieś w Himalajach.

W tym momencie Julia sobie przypomniała, gdzie już słyszała tę nazwę: natrafiła na nią podczas lektury dzienników Ulyssesa Moore'a. Łączyła się z jednym z Wrót Czasu w miasteczku, z tymi, które otwierał klucz ze smokiem.

- Obok jest inne słowo - ciągnął chłopiec o rudych włosach. - Doktor podkreślił je trzykrotnie. „Odpowiedzi”. Może myślał, że je znajdzie w Agarthi...

- A jak on zamierzał udać się aż do... - Julia poczuła ciarki na plecach. „Nie” powiedziała sobie. „To nie może być!”

- SŁYSZYCIE MNIE? - dokładnie w tym momencie zachrypiał nagle metaliczny głos. Dziewczynka aż podskoczyła ze strachu.

- Tak! Słyszemy cię! Kto mówi? - krzyknął Rick, rozglądając się dokoła, żeby zrozumieć, z jakiego zakamarka izby pochodzi ów głos.

- Wypuść nas! - krzyknęła Julia.

- Cicho! - zakrzyknął głos z głośnika. - Bądźcie grzeczni i nie hałasujcie, a nic się wam nie stanie.

Ręka Julii poszukała ręki Ricka i mocno ją uściśnęła.

- Nie wiem, z jakiego powodu weszliście do mego domu, ale wiem, że chcieliście tego sami. Nie należy nigdy wtykać nosa w nie swoje sprawy!

- Panie doktorze! - zawołał w odpowiedzi Rick. - To ja, Rick! Zaszło nieporozumienie! Głośnik wychrypiał jakieś niezrozumiałe słowa.

- Nie chcieliśmy nigdzie wtykać nosa - ciągnął chłopiec. - Szukaliśmy tylko pana! Julia ma jakąś paskudną infekcję i... w dodatku wydarzyła się katastrofa w miasteczku, na dole. Nastąpiła dalsza seria niezrozumiałych dźwięków, a po niej ogłuszający gwizd.

- A jak on zamierzał udać się aż do... - Julia poczuła ciarki na plecach. „Nie” powiedziała sobie. „To nie może być!”

- SŁYSZYCIE MNIE? - dokładnie w tym momencie zachrypiał nagle metaliczny głos. Dziewczynka aż podskoczyła ze strachu.

- Tak! Słyszemy cię! Kto mówi? - krzyknął Rick, rozglądając się dokoła, żeby zrozumieć, z jakiego zakamarka izby pochodzi ów głos.

- Wypuść nas! - krzyknęła Julia.

- Cicho! - zakrzyknął głos z głośnika. - Bądźcie grzeczni i nie hałasujcie, a nic się wam nie stanie.

Ręka Julii poszukała ręki Ricka i mocno ją uściśnęła.

- Nie wiem, z jakiego powodu weszliście do mego domu, ale wiem, że chcieliście tego sami. Nie należy nigdy wtykać nosa w nie swoje sprawy!

- Panie doktorze! - zawołał w odpowiedzi Rick. - To ja, Rick! Zaszło nieporozumienie! Głośnik wychrypiał jakieś niezrozumiałe słowa.

- Nie chcieliśmy nigdzie wtykać nosa - ciągnął chłopiec. - Szukaliśmy tylko pana! Julia ma jakąś paskudną infekcję i... w dodatku wydarzyła się katastrofa w miasteczku, na dole. Nastąpiła dalsza seria niezrozumiałych dźwięków, a po niej ogłuszający gwizd.

- Proszę zejść nas wypuścić! - błagała Julia.

Zakłócony dźwięk stopniowo wrócił do normy i stał

się na powrót zrozumiały. - Przykro mi, ale chwilowo nie mogę was wypuścić. W izbie jest mała lodówka, są w niej podstawowe lekarstwa. Jeżeli Julia źle się czuje, daj jej coś, Banner. Możesz też regulować temperaturę w izbie, gdyby Julii było zimno. Każ jej dużo pić. To ważne.

- Dlaczego nie chce pan nas wypuścić?

- Zachowujcie się grzecznie, dzieci, a ja wam obiecuję, że nic się wam nie przydarzy. Rick podniósł pięść w stronę opancerzonych drzwi. -Dlaczego? Co niby miałyby się nam stać, doktorze Bo-wen?

- Wciągnąłem was w tę historię, nie pytając was o zgodę. Wiem. Ale poczekajcie tam trochę, a ja was wydostanę!

- SAM PAN NIE WIE, CO MÓWI! - krzyknęła wyprowadzona z równowagi Julia.

Rick próbował ją uspokoić, ale dziewczynka wybuchnęła:

- Nie zostaniemy tu w zamknięciu! Nasi przyjaciele po nas przyjdą! I wtedy będzie pan musiał się ze wszystkiego wypowiadać!

- Wasi... przyjaciele? - Z głośnika rozległ się drwiący śmiech. - A kim są ci wasi „przyjaciele”? Morderca, który zepchnął swoją żonę z urwiska, kiedy stanęła mu na drodze w realizacji jego planów? Czy ten złodziej skarbów, miejscowy latarnik? A może... Zaczekajcie, nic nie mówcie, może do waszych „przyjaciół” można by dołączyć tego kryminalistę Blacka Vulkana, który pozwolił swojej córce zginąć na pełnym morzu? Albo wiecznego dzieciaka, Petera Dedalusa, który zamierzał manipulować ludźmi jakby to były mechanizmy, a potem, na końcu zdradził wszystkich tych, którzy poruszali się niezgodnie z jego oczekiwaniami? To mieliby być wasi „przyjaciele”?

Powodzenia, zatem! Doprawdy, powodzenia!

Głos w głośniku nagle się urwał, pozostawiając w powietrzu pobrzęk, który stopniowo ucichł. Julia i Rick przytulili się, trzymając się kurczowo za ręce w zimnym świetle neonu.

- Nie ma żdźbła prawdy w tym wszystkim, co powiedział... - szepnęła Rick. Ale jednak słowa doktora zapadły mu w serce jak kłujące punkty zapytania.

- Morderca?

-Złodziej?

- Kryminalista?

- Zdrajca?

Potem nad ich głowami rozległ się odgłos kroków, a w ślad za nimi - dźwięk otwieranych drzwi, hałas uruchamianego silnika i w końcu coraz to cichszy skrzyp opon na żwirze.

- Co się dzieje, Rick? - wyszeptała Julia, kiedy hałas całkiem ucichł.

Potem nad ich głowami rozległ się odgłos kroków, a w ślad za nimi - dźwięk otwieranych drzwi, hałas uruchamianego silnika i w końcu coraz to cichszy skrzyp opon na żwirze.

- Co się dzieje, Rick? - wyszeptała Julia, kiedy hałas całkiem ucichł.

- Nie wiem, nic z tego już nie rozumiem. Naprawdę -odparł, głaszcząc ją po włosach.

W ciągu ostatnich godzin niesamowite wypadki odmieniły wszelkie ich przekonania równie gwałtownie i z taką samą siłą, jak wysoka fala przeorała Kilmore Cove: szef Podpalaczy pomógł Rickowi i Jasonowi rozwiązać zagadkę Labiryntu, podczas gdy jego dwaj asystenci ocalili im życie. Penelopa, którą wszyscy uznali za zmarłą, zatarła jedynie za sobą ślady, sygnalizując istnienie zdrajcy w grupie Wielkich Wakacji... I jakby tego wszystkiego było mało, poczciwy doktor z Kilmore Cove uwięził ich w piwnicznej izbie, utrzymując, że Nestor jest mordercą, Leonard złodziejem, a Peter egoistycznym dzieciakiem.

- Wiem tylko, że musimy znaleźć sposób, żeby się stąd wydostać.

Rozdział 9 LEPSI I GORSI

Anita i Jason pozostawili panią Biggles pod opieką wo-lontariuszki, z którą starsza pani od razu się dogadała (może dlatego, że sobie przypomniła, że ta swego czasu zatroszczyła się o jej koty). W związku z czym bez trudu udało się ją przekonać, by położyła się na jednym z łóżek przygotowanych na parterze kliniki weterynaryjnej. Zaledwie pani Biggles przyłożyła głowę do poduszki, natychmiast usnęła.

Dzieci skorzystały z tego, żeby obejść szybko całą salę w poszukiwaniu przyjaciół i rodziców, którzy w momencie katastrofy znajdowali się w miasteczku: taty Anity, taty Jasona, Tommasa, Blacka...

Jednak, choć rozglądali się uważnie, nie dostrzegli znajomych twarzy i woleli myśleć, że to dobry znak.

Posłyszeli za to pierwsze głosy na temat tego, co zaszło: ktoś mówił, że pękła rura, ktoś inny o przecieku w akwedukcie, jeszcze inni, że spod ziemi wytrysnęło niespodziewanie źródło wody. Najbardziej prawdopodobna była wersja, że wybuchła fontanna przy May Square, to jest na placu, przy którym mieściła się księgarnia Kalipso i urząd pocztowy, i że woda stamtąd wpłynęła w zaułki Starego Miasta. Nikt jednak nie miał pewności, jak to naprawdę było.

Kiedy tak Jason krążył między łózkami, poczuł, jak ktoś go delikatnie dotknął. Obrócił się gwałtownie, żeby zobaczyć kto to taki. - Cindy? - W spuchniętej twarzy rozpoznał rysy jednej z koleżanek swej siostry. Blondynkę, niezmiennie uśmiechniętą.

- Cindy, to ty?

- Byli Flintowie... - wyszeptała dziewczynka słabym głosem.

- Flintowie? Znaczą... jak?

- Przyszli do księgarni... z dziwnym kluczem...

Chłopiec wytrzeszczył oczy.

- ... i otworzyli tylne drzwi. Woda... chlusnęła stamtąd.

„Drzwi na zapleczu księgarni...” powtórzył w myśli Jason. I nagle wszystko stało się jasne. Oto skąd pojawiła się cała ta woda! Zza Wrót Czasu w księgarni Kalipso, zza drzwi, których nigdy nie powinno się otwierać. A klucz, o którym mówiła Cindy, to musiał być klucz z wielorybem. Ale jak Flintowie go zdobyli?

- Jason? - posłyszał dokładnie w tej chwili znajomy głos za plecami. Obrócił się i zobaczył... mamę Ricka, stojącą po przeciwnej stronie sali z tacą i kubkami gorącej herbaty. Spoglądała w jego stronę.

„O kurczę.”

- Musimy zmykać. Grożą kłopoty! - zdążył szepnąć do Anity, chwytając ją za ramię i wybiegając z kliniki.

- Kto to był? - spytała dziewczynka, kiedy przystanęli pod osłoną bramy, żeby sprawdzić, czy ktoś za nimi nie idzie.

- Mama Ricka - odpowiedział Jason, rozglądając się dokoła z przejęciem. -

Zapomnieliśmy, że nasi rodzice uważają, że jesteśmy jeszcze na szkolnej wycieczce!

Anita pokręciła głową. - Słyszałam, co mówiła ta biedaczka, Cindy. Czy ja się mylę, czy powiedziała, że woda wpłynęła przez drzwi na tyłach księgarni? Jak to możliwe?

Ach, prawda. Nieoczekiwane spotkanie z matką Ricka spowodowało, że Jason niemal zapomniał o usłyszanej dopiero co rewelacji. Jeżeli Cindy miała rację, to całe to zdarzenie stawało się jeszcze bardziej groźne i intrygujące niż do tej pory. Młody Covenant starał się nie myśleć o niebezpieczeństwie, jakie wynikało z faktu, że kuzyni

Flint posługiwali się wedle swego widzimisię Kluczami Czasu (ze skutkami, jakie było widać), układając w myślach plan działania.

- Musimy wrócić szybko do kościoła i pomówić o tym z naszymi - zwrócił się poważnie do Anity. - Tu się dzieje za wiele dziwnych rzeczy... A poza tym trzeba zawiadomić Ricka, że jego mama jest cała i zdrowa i że... czeka go wkrótce godzina szczerości!

Dziewczynka spojrzała na Jasona i kiwnęła głową z przekonaniem, ale zaledwie uszli kilka kroków od swego schronienia w bramie, chłopiec gwałtownie się zatrzymał. Dostrzegł z daleka, w głębi ulicy, znajomą postać doktora Bowena. Doktor, i zarazem aptekarz miasteczka, sunął szybkim krokiem, łapiąc równowagę na belkach, które ktoś rozsądnie przerzucił niczym mostki, żeby móc jakoś poruszać się w tym głębokim błocie.

- Doktorze Bowen! - krzyknął Jason, biegnąc mu naprzeciw.

Mężczyzna podniósł wzrok w jego kierunku, ale natychmiast go spuścił, wpatrując się w belki i minął chłopca, jakby go w ogóle nie widział.

- Hej! Panie doktorze! - nalegał Jason, goniąc go. - To ja, Jason!

Doktor w końcu się obejrzał, a w jego wzroku chłopiec dostrzegł mieszaninę zakłopotania i niechęci, co kazało mu instynktownie zwolnić.

- Jason Covenant? Dawno się nie widzieliśmy... - odezwał się doktor Bowen, zmuszając się do uśmiechu.

- Tak - odparł chłopiec, kiedy już podszedł kilka kroków bliżej. - Czy przypadkiem nie widział pan Julii?

Doktor jakby nieco pobladł. - Znaczy... twojej siostry? N... nie, a dlaczego, czy powinienem? - odpowiedział z wahaniem.

- Ona z Rickiem Bannerem poszli do pana do domu, bo Julia poczuła się niedobrze...

- Ba, możesz sobie chyba wyobrazić, że wiele osób dzisiaj czuje się niedobrze! - odparł cierpko doktor, jakby go coś nagle zirytowało. - A teraz wybacz, chłopcze, właśnie pędzę do kliniki...

- Ale... panie doktorze... - nalegał Jason. - Może wie pan, jak się ma mój ojciec? A Black Wulkan...?

Na te słowa Bowen najwyraźniej całkiem się rozczłowił.

- Nie, nie wiem nic o twoim ojcu ani o waszych zaprzyjaźnionych „znajomkach”, jasne? - wybuchnął, patrząc pogardliwie na chłopca. - I jeśli chcesz dobrej rady, dla ciebie też byłoby lepiej, gdybyś trzymał się z dala od pewnych osób i od ich talentu ładowania się w kłopoty... Spójrz, do czego nas doprowadzili!

Co powiedziawszy, odwrócił się gwałtownie i skierował do kliniki krokiem jeszcze szybszym niż poprzednio. Jason, do którego tymczasem podeszła Anita, obserwująca tę scenę z oddali, wrósł niemal w ziemię, patrząc z niedowierzaniem na doktora, jak odchodzi, kołysząc się na belkach i znika z oczu pochłonięty przez cień budynku.

- Czekam na ciebie! - wykrzyknął doktor Bowen parę minut później.

Nestor dopiero co pojawił się w miasteczku i już siedział w prowizorycznym gabinecie doktora, na piętrze kliniki weterynaryjnej. Bowen wpadł rozpedzony do gabinetu, odgarniając sobie włosy ze spoconego czoła. - Zajrzałem do ojca Feniksa, żeby dowiedzieć się, jak wygląda sytuacja z zaginionymi. Katastrofa, Nestorze, istna katastrofa!

- A gdzie Black?

Bowen umył sobie szybko ręce pod kranem, spryskując je mydłem w płynie, potem wysuszył dłonie ciepłym powietrzem z suszarki na ścianie. - Dasz mi trochę odetchnąć, dobrze? Jak zauważyłeś, jest trochę zamieszania. Brakuje jeszcze Peacocków, ale może pojechali do Zen-nor po córkę...

- Powiedziałeś mi, że Black jest w okropnym stanie.

- Tak. - Bowen spuścił głowę, jakby go ogarnęło nagle wielkie zmęczenie. - I nie on jeden, niestety. - Przeszedł kilka kroków przez gabinet i zagłębił się w fotelu po drugiej stronie biurka, zamknawszy oczy i uciskając palcami powieki.

Nestor przyglądał mu się w milczeniu.

- Więc mówiliśmy... - westchnął doktor, kiedy po kilku sekundach jakby się ocknął. Kolejny raz przyglądał sobie opadający na czoło kosmyk i sprawdził na kartce rozkład zajęć.

- Black. Tak. Stary poczciwy Black Wulkan... - Następnie oparł ręce na kolanach i dźwignął się z wysiłkiem teatralnym ruchem. - Chodźmy do niego, śmiało.

Stary ogrodnik szedł za Bowenem przez korytarz, gdzie powietrze było nasiąknięte przenikliwymi zapachami lekarstw. „Sam taki zapach może wpędzić w chorobę nawet najzdrowszego człowieka” pomyślał Nestor, zatykając sobie nos ze wstrętem. Spojrzał w dół, zobaczył zabłocone spodnie i buty doktora, który pozostawiał ciemnoszare ślady na podłodze.

- Nie schodzimy do kliniki? - zapytał po chwili, kiedy zobaczył, że doktor kieruje się w przeciwną stronę.

Bowen nawet nie odpowiedział.

- Edna jest z tobą? - spytał, kuśtykając z tyłu.

Tym razem Bowen zareagował. - Nie. Jest w domu, biedactwo. Miała atak. Dałem jej leki uspokajające i tlen. Teraz, jeśli wszystko idzie dobrze, odpoczywa w spokoju.

Nestor wiedział, że Edna Bowen cierpi na chorobę o trudnej nazwie nie do wymówienia, która zmusza ją do spędzania długich tygodni w łóżku i faszrowania się lekami. Rodzaj astmy na podłożu nerwowym, jednak z bardzo groźnymi objawami.

„Biedaczka” pomyślał, ale że- nie był z tych, którzy uwielbiają rozmawiać o lekarstwach, operacjach i chorobach, ograniczył się do spuszczenia głowy w zamyśleniu.

- Nie jest jednak jak zwykle - dorzucił doktor, ciągle idąc.

- Proszę?

- Tym razem jest o wiele gorzej.

Nie wiedząc dobrze, o czym Bowen mówi: czy o swej żonie, czy o stanie Blacka, czy też o powodzi, Nestor nadal szedł za nim w milczeniu, dopóki doktor nie zatrzymał się przed drzwiami z wielką szybą z matowego szkła, już na końcu korytarza. Na tabliczce z lakierowanego drewna widniał napis: ARCHIWUM

Bowen wyciągnął z kieszeni klucz i wsunął go w zamek. Potem nagle zatrzymał się, jakby tknięty jakąś niespodziewaną myślą i obrócił się, by spojrzeć w oczy staremu ogrodnikowi. - Czy kiedykolwiek się zastanawiałeś nad konsekwencjami naszych działań, Nestorze? Nawet nad tak nieszkodliwym gestem, jak na przykład otwarcie drzwi?

Nestor spojrzał na niego speszony: co to miało znaczyć? Zaszyfrowane przesłanie? Parsknął zdenerwowany.

- Słuchaj, Bowen, ty i ja...

- Ty i ja - przerwał mu doktor - jesteśmy z tego samego rocznika: 1956. Rocznik chwalebny i szczęśliwy. I mieszkamy w tym samym miasteczku w Kornwalii. Ale... poza tym, nie mamy ze sobą wiele wspólnego, prawda? Ty masz swoje życie, ja - swoje.

- Nie rozumiem, do czego zmierzasz...

- Więc zaraz ci to wyjaśnię. Ostatnim razem, kiedy zostały otwarte te wrota (a wiesz dobrze, które mam na myśli), i zalało połowę miasta, wyszliście z tego okrutnie pokiereszowani. Tej niedzieli... pamiętasz ją? Penelopa przyprowadziła mi Leonarda, żebym spróbował ocalić mu oko, podczas gdy ty, ty... uparty jak muł, ukryłeś swoją ranę za cenę kulenia jak stary inwalida przez resztę życia, jak to teraz rzeczywiście ma miejsce. A dlaczego? Dlatego, że nie chciałeś, żebym ci zadawał pytania, na które nie miałeś chęci odpowiadać! Nie chciałeś, żebym cię pytał, jakim cudem dorobiłeś się takiej rany w lesie Kilmore Cove, czy jakim cudem Leonarda mógł ugryźć rekin!

- Bowen, przestań. Przesadzasz.

- To ty przesadzasz z tymi twoimi śmiesznymi sekretami! - Doktor wpatrywał się w niego przez kilka niekończących się sekund. Potem odwrócił się, skierował wzrok na klucz i otworzył drzwi archiwum. - Teraz, proszę, wejdź.

Nestor posłuchał go i wszedł automatycznie. Włączył światło i dopiero wtedy zobaczył na noszach Blacka Wulkana i pana Bloom, uśpionych i zakneblowanych. Odwrócił się gwałtownie. - A co do diabła, tu się dzieje?

- Dzieje się to, że mam dosyć twoich sekretów!

Chwilę potem Nestor poczuł leciutkie ukłucie w ramię.

Doktor wyciągnął małą strzykawkę i podniósł ją do góry, żeby jego ofiara mogła w niej zobaczyć resztki płynu w kolorze szafranu. - Nie musisz się martwić, to porcja nasenna całkiem naturalna. Produkują ją w jednym z tych światów, które tak bardzo lubisz. Nie chcę ci zrobić nic złego. Chcę tylko, żeby ta historia skończyła się raz na zawsze.

- Bowen, ja...

Świat wokół Nestora zaczął wirować, obrazy się zamazywały. Były właściciel Willi Argo poczuł się nagle słaby i znużony. Zatoczył się gwałtownie, szukając jakiegoś oparcia, żeby ustać na nogach, ale nie znalazł. W końcu uczeplił się czegoś, co mu poleciało na plecy: kartki, skoroszyty. Poczuł, że duszą go papiery, które się na niego sypią, a doktor, coraz to odleglejszym głosem, gada, gada...

- Nie masz bladego pojęcia, jak wiele wycierpiałem przez te twoje sekrety. I twoje wykluczenia. Kiedy spotykaliście się w parku, pamiętasz? Mieliśmy po dziesięć lat. Dziesięć lat! I już wtedy byłeś takim samym okrutnym człowiekiem, jakim jesteś obecnie!

- Roger...

- Ach, więc pamiętasz jeszcze moje imię!

Nestor odgarnął sobie z twarzy papiery i spojrzął z ziemi na doktora Bowena, który stał nad nim.

- Ale tamtego lata moje imię nie przyszło ci nawet do głowy, czyż nie? Może dlatego, że uważałeś, że będę ci zawadzał, bałeś się, że przeszkodzę wam w zabawie, w waszych... odkryciach.

Raz jeszcze Nestor powrócił w myślach do Wielkich Wakacji, kiedy to on i inni podzielili się po raz pierwszy Kluczami Czasu. Rogera Bowena przy tym nie było, bo jego rodzice nie pozwalali mu wychodzić. Z tego powodu został wykluczony z grupy. Nie mógł nigdy nic robić wspólnie z innymi. - Roger, ale... co ty gadasz... ty nie...

- I sprawy się ciągnęły zawsze dokładnie tak samo, Ulyssesie. Zawsze ta sama gierka, żeby nigdy nie schodzić do miasteczka i trzymać twój elitarny klub na urwisku, w Willi. Ekskluzywny salon, do którego nigdy nie zostałem zaproszony. Ani razu w ciągu całego mego życia!

Nestor zaczął się dźwigać z podłogi, podpierając się na łokciach, ale siły całkiem go opuściły. Odpowiedzi, jakich chciał udzielić Bowenowi, krążyły mu po głowie, nie mogąc przedostać się przez usta. Roger nigdy nie został zaproszony do Willi Argo, ponieważ Penelopa nie mogła znieść jego żony i krytyki prowadzenia domu, z jaką by niewątpliwie wystąpiła. A sam Roger nigdy nie dał im do zrozumienia, że chciałby w ich spotkaniach uczestniczyć. Ale skąd o wszystkim... wiedział? I co dokładnie zamierzał teraz zrobić?

- Nadszedł moment wyrównania rachunków, mój stary. Przekroczyliście wszelkie granice. Wciągnąć młode pokolenie, dzieciaki z Londynu, które trzymają sekret zamknięty na klucz w swoich szkatułkach... A czemu nie moja córka? Albo Cindy? Albo młody Pinkewire ze swoimi krzywymi zębami? Ale nie, Ulysses Moore zdecydował inaczej: bliźniacy z Londynu i Rick Banner. Co oni mają w sobie takiego, że są lepsi od innych dzieci w miasteczku? Kim jesteś ty, żeby decydować, kto może użyć Kluczy Czasu, a kto nie?

Nestor obrócił twarz ku górze, łapiąc oddech. Widział wirujące kolory, od fioletu do szarości.

- To nie ja... decyduję. .. - wycharczał.

- Kogo jeszcze chcesz oszukać? Odpowiedz mi, jeśli masz odwagę: dlaczego nie moja córka?

Nestora to pytanie tak ubawiło, że uśmiechnął się szyderczo: pamiętał, że córka Bowenów przy pierwszej okazji wyrwała się z domu do Londynu. I odtąd nigdy nie wróciła do Kilmore Cove, nawet by odwiedzić rodziców. Rozumiał ją. Rozumiał ją doskonale.

Poczuł, jak Bowen go szarpnął i uniósł mu głowę, tak że znalazł się z nim twarzą w twarz. - Chce ci się śmiać

Nestorze Moore, zanim zapadniesz w sen? Chcesz, żebym cię rozśmieszył? Czy wolisz jakiś piękny koszmar przygotowany specjalnie dla ciebie? To pomyśl o tym: ja wiem, gdzie jest twoja żona. Zawsze wiedziałem. I wiem również, dlaczego nie wróciła do ciebie. A może zapomniałeś już, jak próbowałeś ją zabić, spychając z urwiska?

Nestor poczuł gwałtowne rwanie w sercu, ostre, przenikliwe, ranę głęboką i bolesną, czarne rozdarcie, które go połknęło, pożerając od wewnątrz. Ostatnie słowa, jakie do niego dotarły, to były gorzkie życzenia doktora, który mu bluznął w twarz: - Pięknych koszmarów, Moore. Potem zapadła ciemność.

Nestor zapadł w sen.

Rozdział 10

LEKI OD APTEKARZA

- Gdzie oni wszyscy się podzieli? - pytała siebie zmartwiona Anita.

Po dziwnym spotkaniu z doktorem Bowenem Anita i Jason Wrócili pędem do kościoła, żeby zobaczyć, czy Julia z Rickiem już tam na nich czekają. Ale nie natrafili na żaden ich ślad.

Wydawało się, że się rozplynęli w niebycie, całkiem jak tata Anity, Tommaso, Black Wulkan...

Spróbowali nawet skontaktować się z Julią poprzez zeszyt Morice'a Moreau, ale bez skutku.

W tej akurat chwili szli wzdłuż hangaru przez straszliwie zaśmiecony, ogrodzony żelazną kratą dziedziniec, niezdecydowani, co robić. Jakiś pies ujadał wściekle na mewy przycupnięte na dachu.

Jason zaczął nerwowo chodzić tam i z powrotem. - Coś im się stało, czuję to!

Anita oparła się o żelazną kratę i wypatrywała błękitnego nieba nad dachami miasteczka. - Skąd masz tę pewność?

Jason przystanął. - Nie mam - odpowiedział marszcząc czoło. - Ale odkąd wróciliśmy do Kilmore Cove, za dużo się dzieje dziwnych spraw. Najpierw powódź, potem Cindy, która oskarża Flintów o jej spowodowanie przez otwarcie Wrót Czasu w księgarni Kalipso, a teraz jeszcze do tego wszystkiego Rick i Julia znikają, całkiem jakby zostali porwani przez obcych! Anita poczuła przyspieszone bicie serca. - Ostatni raz, kiedy ich widzieliśmy, byli z nimi bracia Nożyce. Nie sądzisz, że...

Jason spojrzał na nią. Potem pokręcił zdecydowanie głową. - Nie, to wykluczam. Ci dwaj nie skrzywdziliby nawet muchy.

Anita w zamyśleniu przygryzła wargę. - A co powiesz o doktorze Bowenie? Rick i Julia właśnie szli do niego, a kiedy go spotkaliśmy wyglądał na bardzo... wzburzonego.

- Tak - odparł zadumany Jason. - Zupełnie nie wyglądał na zadowolonego ze spotkania ze mną i miałem głębokie przekonanie, że usiłował uniknąć odpowiedzi na moje pytania. I potem... to, co powiedział a propos naszych „znajomków”... Myślę, że to się odnosiło do Blacka. Zachowywał się jakby... jakby coś wiedział.

- Co o nim wiesz?

Jason spróbował uporządkować myśli. - Nic poza tym, że jest pocziwcem, który żyje z żoną pedantką, zakochaną w swoich krasnalach w ogrodzie. On z kolei uwielbia krzyżówki, jak wszyscy starszycy, którzy chcą zachować jasny umysł. Jest również aptekarzem w miasteczku. Jego apteka znajduje się na głównej ulicy i jeśli nie została zmieciona przez wodę, powinna tam jeszcze stać. Wszyscy ją znają i... - Jason nagle urwał. - zaczekaj. Może coś mam.

- Znaczący, co?

- W swoim domu, w kuchni, ma mapę narysowaną przez swego przodka, niejakiego Thosa Bowena... Mapa Kilmore Cove z 1800 roku, a nawet wcześniejsza. Szukaliśmy jej, ponieważ sądziliśmy, że są na niej zaznaczone wszystkie Wrota Czasu.

Anita spojrzała na Jasona wielkimi oczami. - Chcesz powiedzieć, że w domu doktora Bowena jest mapa Wrót Czasu w Kilmore Cove?

Jason ubawiony pokręcił głową. - Och, nie! To nieco bardziej skomplikowane. Na mapie doktora Bowena Wrota Czasu nie były zaznaczone. Naniósł je tam później Penelopa.

Anita wykrzywiła usta. Wyglądała na zbitą z tropu. -Sprawdźmy, czy dobrze zrozumiałam.

Mówisz mi, że Bowen ma w kuchni starą mapę Kilmore Cove, którą ktoś mu zabrał, żeby na nią nanieść jakieś bazgroły?

- No tak. Mniej więcej.

- Cóż, powiedziałabym, że to trochę mało, żeby go podejrzewać, nie wydaje ci się?

Jason wznosił oczy ku niebu i parsknął. - Wiem, niestety. - Ale to jedyny punkt zaczepienia, jaki mi przyszedł do głowy. Ostatecznie... cała ta sytuacja jest doprawdy szalona. Przestaję to wszystko rozumieć, wydaje mi się, że błędzę w ciemnościach i to wcale nie jest miłe uczucie!

Anita uśmiechnęła się z wyrozumiałością. Wychyliła się zza rogu magazynu, żeby spojrzeć na ulicę i jakiś czas potem spytała: - Nadal myślisz, że doktor Bowen coś ukrywa?

- Tak - przyznał Jason. - Tak właśnie myślę.

- No to może musimy go śledzić.

- Co chcesz mi powiedzieć? - zapytał ją Jason, zaintrygowany i on także wychylił się, by spojrzeć.

Anita wskazała mu postać w nieprzemakalnym płaszczu i kapeluszu, przechodzącą po belkach rozrzuconych w błocie. - Oto i on: znowu wyszedł z kliniki.

Doktor Bowen obszedł kilka domów, wszedł w ulicę równoległą do głównej, minął dom, w którym mieściła się

klinika weterynaryjna i doszedł do tylnego wejścia do swojej apteki. Wyciągnął z kieszeni płaszcza pęk kluczy i otworzył drzwi. Ale nie wszedł od razu. Rozejrzał się najpierw uważnie dokoła, jakby chcąc się upewnić, że nikt go nie widzi.

Anicie i Jasonowi udało się skryć w cieniu zaułka. A kiedy doktor ostatecznie zniknął w

aptece, podeszli na czworakach pod drzwi na tyłach. Obok znajdowało się okienko. Z największą ostrożnością Jason wspinał się i zerknął do środka.

Patrzył przez chwilę, po czym szybko zeskoczył.

- Co widziałeś? - spytała niecierpliwie Anita.

- Nie rozumiem. Pakuje coś... do plecaka.

Dziewczynka pokręciła głową. - Może stajemy się pomału paranoikami.

Potem jednak i ona wspinała się do okienka, żeby zajrzeć do środka.

- Wszedł na drabinkę - powiedziała - i przeszukuje słoiki na wyższych półkach.

- Wchodzę - zaproponował Jason.

- I co na tym zyskasz?

- Coś więcej niż jak zostanę tutaj.

Anita zastanowiła się chwilę. - Nie. Zaczekaj. Może mam pomysł.

Wyłożyła go naprędce Jasonowi, który natychmiast zaprotestował: - Ależ to jest dla ciebie zbyt ryzykowne!

- Bardziej ryzykowna jest twoja część - zauważyła dziewczynka. - A poza tym ja nie ryzykuję, że zostanę zdemaskowana. On mnie nie zna. Niczego nie będzie podejrzewał. Jason miał jednak wątpliwości. - Zgoda - wymruczał w końcu. - Zrobimy, jak chcesz: jak usłyszę, że pukasz, wejść.

Pospiesznie się uścisnęli, a po pewnym wahaniu dali sobie szybkiego buziaka, który zapiekl go w usta i wywołał wypieki na policzkach.

Anita przebiegła przez ulicę jak szalona. Okrążyła budynki, wpadła na główną ulicę, minęła klinikę weterynaryjną i kilka częściowo zalanych sklepów. Wskoczyła zwawo na belki i wyminęła przechodniów, przepaszając za pośpiech i w końcu, sapiąc, przystanąła przed głównym wejściem do Apteki Bowena z 1862 roku.

Wysoka fala w krytycznym momencie dosięgła i zalała witrynę sklepową, ale ta jakoś oparła się naporowi wody i tylko pozostała zatopiona w błocie i oblepiona kartkami z książek. Drzwi wejściowe, naturalnie, były zamknięte.

Anita zaczęła walić dłońmi w szybę, potem znalazła mosiężny dzwonek, na którym widniał napis: W NAGŁYM WYPADKU i nacisnęła, nie odrywając palca.

- Doktorze Bowen! Doktorze Bowen! - wołała. - Doktorze Bowen, proszę otworzyć!

Hałas był na tyle donośny, że doktor podszedł do drzwi. Anita zobaczyła, jak odsuwa o parę centymetrów czarną zasłonę, która zakrywała podwójną szybę, i zauważyła niezadowolenie na jego twarzy. Uśmiechnęła się do doktora niewinnie, wskazując coś, co się znajdowało poza ulicą, ale czego doktor nie mógł widzieć.

- Proszę otworzyć! To pilne!

Bowen dał jej znak rękami, że nie może otworzyć, bo drzwi się wypaczyły od wody, ale Anita uparcie stała. W końcu zrezygnowany obrócił klucz w zamku i przyciągnął do siebie drzwi, które po trzech gwałtownych szarpnięciach, ostatecznie uchylły się ze strasznym piskiem.

- Można wiedzieć, dziewczyno, czego u licha chcesz? - wybuchnął, czerwony na twarzy jak złodziejaskę przyłapaną na kradzieży ofiary w kościele.

Anicie udało się wsunąć rękę w szparę w drzwiach i złapać doktora za mankiet płaszcza, wyszarpując go na zewnątrz. - Niech pan przyjdzie, panie doktorze, proszę! - zawołała. - Mój ojciec wpadł do morza! Mój ojciec wpadł do morza!

Doktor wyrwał się zdecydowanym szarpnięciem. -1 co z tego? - odezwał się cierpko. - Nie mogę biec na pomoc każdemu, kto wpadnie do morza! Zanieś go do kliniki, do tej tam bramy, widzisz? Przyjdę go obejrzyć, jak tylko zaopatrzę się w lekarstwa! A teraz, za pozwoleniem... I doktor Bowen oparł się całym ciężarem o drzwi apteki i za drugim pchnięciem udało mu się drzwi zamknąć. Następnie obrócił wywieszkę zapisaną złotymi literami, wiszącą na szybie, na której można było przeczytać:

ZAMKNIĘTE, PRZEPRASZAMY. W NAGŁYCH WYPADKACH ZWRACAĆ SIĘ DO OJCA FENIKSA W KOŚCIELE ŚW. JAKUBA PO DRUGIEJ STRONIE ULICY. ,

Anita postąpiła jeszcze chwilę, czytając wywieszkę, Po czym przeszła z powrotem po belkach. - Teraz twoja kolej, Jasonie - szepnęła.

Rozdział 11

UKRYTE LEKARSTWA

Jason Covenant, znieruchomiały w komórce przeznaczonej na szczotki i szmaty do sprzątania apteki, wstrzymał oddech. •

Wemknął się przez drzwi na zapleczu dokładnie wtedy, kiedy doktor Bowen mocował się z drzwiami głównymi, usiłując je otworzyć. Będąc w środku, wcisnął się w ciasny zakamarek osłonięty za ledwie jakąś zasłoną w niebiesko-kremowe paski. Cudem boskim udało mu się nie wyrzucić tych wszystkich szczotek i pustych wiader, jakie tam stały, i zaczął

podłuchiwać właśnie w momencie, kiedy doktor przekreślił wywieszkę na drzwiach wejściowych i wymruczał wiązkę przekleństw pod adresem Anity. Potem zaś, wstrzymując oddech, odczekał w swej kryjówce, aż hałas szorującego po podłodze stołka go upewnił, że Bowen zabrał się do roboty.

Jason przełknął ślinę, zanim ośmielił się wysunąć głowę zza zasłony.

Apteka doktora Bowena zachowała oryginalne staroświeckie wyposażenie: starą podłogę z orzechowych desek, ogromną szafę z szufladami na specjalnych prowadnicach, która służyła do przechowywania rozmaitych lekarstw, regały z czarnego drewna, wyszlizgane od długich lat używania i uginające się pod ciężarem ogromnej liczby słoików na zioła, o różnych wymiarach, z białą--niebieskiej porcelany. Na suficie wielkie lustro w złożonych ramach odbijało ładę i światło lampy ze szklanym kloszem w kształcie kuli.

Doktor zdjął zabłocone buty i wdrapał się na stół obity materiałem w kratkę. Stojąc na czubkach palców, sięgał po słoiki z najwyższej półki, które następnie ustawiał na ladzie. W końcu, sapiąc jak lokomotywa, zszedł ze stołka.

Jason cofnął głowę do schowka.

- Więc tak... - mruknął doktor, otwierając i zamykając różne słoiki. - Gdzie ja to wsadziłem? Jego dłonie gmerały niecierpliwie, odwijając papier i bibułki, i w końcu natrafiły na szeleszczący pakiecik.

- No i jest - odezwał się zadowolony. - Rzekłbym, że się udało... Świetnie. Trochę tego... Jason posłyszał metaliczny brzęk, jakby jeden metal ocierał się o jakiś inny. Łyżeczka w cynowym kubku? Ciężarek aptekarskiej wagi? Potem posłyszał szufladę, wysuwaną i zasuwaną, i znowu zaszeleścił papier, a ręce zanurzyły się w pojemniku z suchymi liśćmi.

- I oczywiście trochę tego. Lepiej być przewidującym.

Sądząc z odgłosów, doktor z powrotem złożył papier w słoikach, zamknął je i znowu wszedł na stół, żeby je odstawić na swoje miejsce. Jason ośmielił się zerknąć po raz drugi, żeby móc w razie potrzeby rozpoznać te słoje wśród tysiąca innych zapełniających półki apteki. Potem jego wzrok padł na tobolek oparty o ładę. Poczował, jak serce podchodzi mu do gardła: dałby sobie rękę uciąć, że to plecak Nestora!

Ale skąd on się tu wziął?

Jego podejrzenia w stosunku do doktora nabierały konkretnych podstaw.

Skrzypienie podłogi dało mu znak, że doktor Bowen zszedł ze stołka, ale dalsze odgłosy były raczej tajemnicze, więc Jason postanowił uchylić odrobinę zasłonę i zaryzykować jeszcze jedno zerknięcie.

Doktor stał za ladą tyłem do głównego wejścia. Przesunął obraz z wizerunkiem lekarza założyciela apteki, odsłaniając mały sejf wmurowany w ścianę.

Znienacka obrócił głowę i rzucił ukradkowe spojrzenie za siebie, aż Jason cofnął się odruchowo do swej kryjówki.

Posłyszał, jak doktor pogwizduje, obracając jednocześnie pokrętłem szyfru.

„Jasonie, licz kliknięcia... Licz je!” powiedział do siebie, ale nie udało mu się zapamiętać niczego ponad serię klik-klik-klik. Następnie rozpoznał odgłos otwieranego sejfu i usłyszał, jak doktor Bowen mówi do siebie: - Teraz, moje śliczne, ukryję was w bezpiecznym miejscu. Jason znowu się wychylił i zobaczył w rękach doktora przedmioty metalowe, które wyjmował pośpiesznie z plecaka Nestora i wkładał do sejfu. Nieomal krzyknął na widok klucza z główką jeżozwierza.

Jak to możliwe?

Odczekał z sercem w gardle, aż ta niegodziwa kradzież się zakończy, następnie obserwował Bowena, jak wyciąga z sejfu jakiś przedmiot owinięty w ciemny materiał.

- Oto co się przyda na ostateczne spotkanie - szepnął doktor z zadowoleniem. W rękę trzymał rewolwer z czarną, lśniąca lufą. Jason go rozpoznał w lot: to był stary luger, taki sam, jakiego używał główny wróg doktora Me-smera, jego ulubionego bohatera kreskówek.

Rewolwer w Kilmore Cove!

Czając się w swojej kryjówce, skulony między szczotkami, wiadrami i pojemnikami z rozpuszczalnikami, posłyszał jak doktor Bowen zamyka sejf... klik-klik, klik--klik-klik... i mruczy coś całkiem niezrozumiale. Stare deski zaskrzypiały pod jego krokami. Podchodził coraz bliżej, jeszcze bliżej i w końcu jego kroki przystanąły tuż--tuż przed kryjówką... Jason był pewien, że z tej odległości każdy usłyszałby bicie jego serca.

- Popatrzcie tylko, jakiego narobiłem nieporządku! -zawołał doktor z drugiej strony zasłony. - Gdyby Edna zobaczyła to błoto na podłodze, zabiłaby mnie.

„Och, nie! Nie, doktorze Bowen, nic to! Gwiźdź sobie choć raz na błoto!”

- Może jednak należałoby sprzątnąć...

Kiedy zasłona nagle drgnęła, Jason w mroku kryjówki zdrętwiał; dosłownie skamieniał. Doktor znajdował się o trzydzieści centymetrów od niego, z zasłoną w ręku, wpatrzony w ziemię, sprawdzający podłogę. Jason był pewien, że pod płaszczem doktora zauważył wypukłość od rewolweru.

Po chwili, dokładnie wtedy, kiedy chłopiec spodziewał się już najgorszego, doktora opanował gwałtowny śmiech

I odjął dłoń od zasłony, porzucając myśl o sprzątnaniu.

- A kto by się tym przejmował! - śmiał się głośno, odchodząc od komórki.

Chwilę potem Jason usłyszał, jak wychodzi przez drzwi na tyłach starej apteki.

Chłopiec spróbował szybko wygrzebać się ze schowka, poślizgnął się i wpadł siedzeniem w kubek pod ścianą.

Anita musiała wiele razy walić w drzwi, zanim się zebrał na tyle, by móc jej otworzyć.

- W końcu! No i jak ci poszło? - uśmiechnęła się do niego. - Wszystko dobrze? Ale co ty robisz z tym kubkiem uczeptionym do siedzenia?

Jason nie odpowiedział. Zerknął tylko na ulicę: niebo spowijało mroczne szare światło, a drewniane domy Kilmore Cove wyglądały jak wałace się baraki.

Dał znak Anicie, żeby szybko weszła. Odczepił wiadro i odstawił je na miejsce, a następnie po cichutku opowiedział jej, co odkrył.

- Nie mogę w to uwierzyć! - zawołała dziewczynka. -I co teraz zrobimy?

- Cokolwiek chcemy zrobić, musimy to zrobić szybko - powiedział Jason - Zanim on tutaj wróci.

Wprowadzając natychmiast słowa w czyn, chłopiec przebiegł przez aptekę, zatrzymując się pod lustrem na suficie. Przesunął obraz, który przedstawiał fundatora apteki i zarazem założyciela dynastii aptekarzy. - Miał wszystkie nasze klucze i tu je schował! - powiedział, wskazując mały sejf na szyfr ukryty za obrazem. - Tylko że nie zdołałem zapamiętać cyfr szyfru...

- A zrobił coś jeszcze poza otwarciem i zamknięciem sejfu? - spytała Anita.

W aptece nie było śladu nieporządku, była doskonale wysprzątana (nie licząc błota na podłodze), jakby przygotowana do fotografii.

- Oprócz wypakowania plecaka Nestora... najpierw zaczął myszkować na półkach wśród tych słoików.

Naśladując doktora Bowena, chłopiec wszedł bez butów na stołek i zdjął z półki te same trzy pojemniki, które podpatrzył wcześniej u doktora. Ustawił je na ladzie i oboje przyjrzeni się im uważnie. Były białe-błękitne, jak wszystkie inne. Wszystkie też miały naklejone duże etykiety, na których widniały napisy staranną kaligrafią:

Jałowiec Dziurawiec Pięciornik kurze ziele

Otworzyli pierwszy słoik, ten z etykietką Jałowiec, i zobaczyli, że był pełen ciemnych jagód. Jason bez zbytnich ceregieli wpakował do środka rękę.

- Ten sam odgłos, co wtedy! - zawołał triumfalnie. -Słyszałem jak grzebał w środku!

Potem jego palce natknęły się na przedmiot o dziwnej konsystencji, ukryty pod warstwą jagód. Ku ogromnemu zdziwieniu obojga, Jason wyciągnął ze słoika pakiecik: był zawinięty w nasączony olejem bardzo stary papier, który osłaniał małe dzwoniące przedmioty. Na opa-

kowaniu starannym pismem doktora Bowena był wykaligrafowany napis: Napój nasenny. W środku znajdowały się dwie fiołki z płynem w kolorze szafranu.

- Spróbuj poszukać jeszcze w tamtych dwóch... - szepnęła Anita, pełna niedowierzania. Wewnątrz słoika z dziurawcem znaleźli cztery flakoniki z Napojem Szybkiego Przebudzenia. Pięciornik kurze ziele ukrywał natomiast kilka porcji Napoju Wielkiego Bólu Brzucha.

- Rozumiesz? - zawołał Jason. - Pod postacią zacnego doktora ukrywa się niebezpieczny handlarz starymi preparatami!

Anita podniosła fiołkę w kolorze fioletowym ze środkiem wywołującym Wielki Ból Brzucha.

- Ty naprawdę wierzysz, że to działa? Takie rzeczy zdarzają się tylko w bajkach...

- Albo w innych Miejscach z Wyobraźni - dodał Jason w zamyśleniu. - Kto wie, kiedy i gdzie zostały przygotowane.

I kto wie, jak udało się doktorowi wejść w ich posiadanie...

W tym momencie niespodziewany hałas z ulicy wystraszył ich tak, że aż podskoczyli.

- Musimy się pospieszyć - powiedziała Anita, podnosząc zawiniątko w oleistym papierze. - Co my z tym zrobimy?

- Zabierzemy je - zaproponował Jason. - I odstawimy słoiki na swoje miejsce.

Zrobili to szybko. Ale ciągle pozostawał problem kluczy ukrytych w sejfie.

Przeszukali szuflady w szafie. Jednak z wyjątkiem kwi-tariusza, katalogu wysyłkowego z meblami ogrodowymi, całkiem nowego blok-notesu i pisma z krzyżówkami niczego nie znaleźli.

- Podejrzewam, że nie znajdziemy drobiny kurzu, nawet gdybyśmy na to patrzyli przez mikroskop - zauważyła Anita pod wrażeniem nieprawdopodobnej czystości wokół.

Jason przeglądał pospiesznie blok, katalog i pismo z krzyżówkami. Miał nadzieję, że jeśli nawet nie uda mu się otworzyć sejfu, to znajdzie gdzieś parę zapasowych kluczy od apteki, żeby mógł do niej wejść innym razem. Ale nic z tego, kluczy nie było, a oni nie tylko stracili z oczu doktora, lecz nie odkryli nawet, gdzie przebywa Rick z Julią ani co się stało z innymi.

- A może by tak spróbować z zeszytem? - zaproponowała w pewnej chwili Anita. - Może jest teraz otwarty? - Sięgnęła energicznie do kieszeni plecaka, wyciągnęła zeszyt Morice'a Moreau i otworzyła go.

Kolejny hałas dochodzący z ulicy, kazał im skryć się za ladą. I pozostali tam, siedząc na podłodze ze skrzyżowanymi nogami, studiując zeszyt francuskiego rysownika oparty na kolanach. Kiedy Anita kartkowała pospiesznie zażółcone kartki z chińskiego papieru o właściwościach nadnaturalnych, słyszała delikatny szelest i czuła w palcach lekkie mrowienie.

Potem, zgodnie z oczekiwaniami, w ramce na jednej ze stron zobaczyła twarz Julii.

- Jest twoja siostra! - zawołała podniecona, spiesznie kładąc dłoń na ilustracji.

Jason wydał westchnienie ulgi. - Świetnie! - Spyta ją, jak się czuje!

Anita Bloom zamknęła oczy i zaczęła porozumiewać się z Julią za pośrednictwem zeszytu, którego egzemplarz każda z nich trzymała przed sobą. Istniały jeszcze tylko dwa takie egzemplarze. Tak, że tylko czterech czytelników mogło się kontaktować poprzez rysunki. Rozmowa tym razem była raczej krótka.

- Złe wieści, Jasonie - powiedziała od razu Anita. - Doktor zamknął ich w piwnicy na klucz!

Apteka Bowena
PempleyRoad

Rozdział 12

KLUCZ W ZAMKU

May Square przestał istnieć.

Piękny plac w starej dzielnicy Kilmore Cove, starannie wybrukowany i z fontanną pośrodku, zamienił się w zawałony błotem śmietnik. Urząd pocztowy po jednej stronie placu został całkowicie zalany. Po drugiej stronie księgarnia Kalipso uległa całkowitemu zniszczeniu. Nie pozostały ani witryny, ani drzwi z dzwonkiem zawieszonym nad nimi, ani ławeczka przed wejściem. Tylko sterta gruzu i gołe futryny.

Wszędzie leżały porzucane książki, zbita papka z papieru pokrywała płyty chodnika, okładki fruwały w powietrzu, kartki bieleły się poprzyklejane tu i tam do ścian starych kamiennych domów.

Dużo ludzi uzbrojonych w łopaty, miotły i inne narzędzia uwijało się przy uprzążaniu ulic. Murarze zaczęli już podpierać zagrożone, uszkodzone przez impet wody, mury. Dwaj hydraulicy w miasteczku, który zawsze ze sobą rywalizowali w łapaniu klientów, teraz zawarli cichy rozejm i krążyli od domu do domu, reperując, co tylko się dało. Dla uniknięcia większych problemów, zaczęto prawie wszędzie odłączać prąd elektryczny. Przestały działać telefony.

Bracia Nożyce i kuzyni Flint spoglądali z niedowierzaniem na nędzne szczątki, jakie pozostały z księgarni.

- Naprawdę byliście tam w środku? - zapytał ich jeszcze raz kędzierzawy, wskazując ciemną jamę zaraz za stertą gruzu.

Blondyn oparł się o resztki ściany, by zajrzeć do środka, i wtedy jej część runęła.

- Tak, a drzwi są tam, na tyłach - powtarzał uparcie mały Flint, wyciągając rękę przed siebie.

- Właśnie tak, są na tyłach - powtórzył średni Flint słowa i gest ręki małego kuzyna.

- A teraz możemy pójść do Chubbera? - odezwał się płacząco wielki Flint, któremu wraz z używalnością ramienia wróciła chęć użycia żołądka.

Wnętrze budynku wyglądało jak po jakimś wybuchu: ścianki działowe runęły, zniknęły skrzydła okien i drzwi. Na piętrze nie ocalało ani jedno okno.

- Nie sądzę, żeby stały jeszcze te drzwi, o których mówicie - odezwał się blondyn, zerkając w głąb ciemnej jamy, świecąc sobie zapalniczką do papierosów. Po czym odkopnął kupę gruzu i wszedł wśród strumieni wody i kawałków tynku pod sufit, z którego nieustannie kapwały krople wody. Z trudem próbował się zorientować, gdzie mogą znajdować się tyły księgarni, o których mówią chłopcy, bo nie ocalała żadna ścianka działowa. Zdeptał szkło i pokruszone cegły i przystanął.

Uniósł zapalniczkę. I odkrył, że w ciemności sklepu ktoś stoi.

Ktokolwiek to był, nie sprawiał wrażenia, że zauważył czyjaś obecność. Stał tyłem do blondyna i z rękami splecionymi na plecach kontemlował jedyny ocalały fragment muru tkwiący na swoim miejscu. I drzwi osadzone pośrodku.

- Widać bardzo dobrze i bez światła - odezwał się nieznajomy, nie odwracając się. Zdumiony blondyn rozpoznał oschły głos swego szefa.

- Pan doktor Wojnicz? To... naprawdę pan?

Posłyszawszy swoje nazwisko, szef Podpalaczy obrócił lekko twarz. - Ach, to ty, Nożyc. Co ty tu robisz?

Blondyn stąpnął na coś rozbitego na posadzce i potknął się o zwal mokrego papieru.

- Obawialiśmy się, że został pan porwany przez wodę! Wszędzie pana szukaliśmy!

- A czy pan nie powinien być we Francji?

- Istotnie byłem tam, proszę pana, ale potem...

- Nieważne - uciał krótko Malariusz Wojnicz i powrócił do wpatrywania się w stare drzwi. Nieustanne kapanie wody podkreślało ciszę, jaka nastąpiła po krótkiej wymianie zdań.
 - Cieszę się ogromnie, że woda nie porwała pana do morza, panie Wojnicz - dodał po chwili blondyn.
 - Och, kwestia szczęścia. Zauważyliśmy falę w samą porę, żeby zdążyć umknąć. Gnębi mnie raczej pytanie, skąd ta woda się wzięła.
 - Nasz informator utrzymuje, że woda wytrysnęła spoza tych drzwi, kiedy przekrecono klucz w zamku.
 - A pan go uważa za wiarygodnego informatora, panie Nożyc?
 - Gdyby pan zechciał z nim porozmawiać... jest tutaj.
- Kawałki tynku chrzęściły pod butami Wojnicza.
Z wyrazu jego twarzy nie dało się odgadnąć, co naprawdę myśli.
- Wie pan, co mi to wszystko przypomina? - odezwał się po dłuższym milczeniu. - Pewną bajkę, którą czytałem jako dziecko. Taka dosyć poważna historyjka. Pewien chłopczyk położył się spać, nie zakręciwszy kranu w łazience, a w nocy miasto nawiedziła powódź. Nazajutrz, kiedy dzieciak się zbudził i zobaczył zalane miasto, był przekonany, że to z jego winy.
 - Bardzo piękna historia - zauważył blondyn.
- Wojnicz jęknął cicho. - Tak? Doprawdy uważa pan ją za piękną? Niewinne dziecko, które czuje się odpowiedzialne za świat dorosłych?
Blondyn przełknął ślinę, niezdolny do odpowiedzi. Słysząc było tylko tę nieustającą kapaninę z góry.
- Czuję się zagubiony - podjął Wojnicz po chwili. -Przybyliśmy tu, żeby się pozbyć książeczki dla dzieci i pewnego charyzmatycznego autora, nie przypadkiem potomka tej samej rodziny ekscentryków, która swego czasu posiadała w Londynie kamienicę, w której znajduje się nasza siedziba. A teraz stoimy tu, pan i ja, i rozmawiamy o niesamowitych drzwiach w zatopionej księgarni, jakby to było całkiem normalne. Nie uważa pan, że to absurd?
 - Jeszcze jaki! - zawołał w tym momencie kolejny przybysz, który stosunkowo łatwo wsunął się przez rumowisko do środka. -I ten absurd musi raz na zawsze przestać istnieć! Kiedy dotarł już do stojących tam dwóch mężczyzn, przedstawił się. - Jestem doktor Bowen, bardzo mi miło - zwrócił się do blondyna. Właśnie szukałem was, panowie.
 - O, przyjaciel mojej siostry - pozdrowił go dosyć chłodno Wojnicz, przypominając sobie niemiłe spotkanie przed kilku godzinami w gospodzie na plaży.
 - Właśnie, ale muszę panu wyznać, że pańska siostra była tylko pretekstem do zawarcia znajomości. Kiedy pana zobaczyłem z Blackiem Wulkanem, nie mogłem uwierzyć własnym oczom i chciałem się upewnić, że chodzi naprawdę o pana, panie doktorze Mariuszu Wojnicz. Czy może powinienem nazywać pana Malańszem?
Wojnicz zmierzył go wzrokiem z kamiennym spokojem.
 - Sądzę, że wiem, czym się zajmujecie... - ciągnął doktor Bowen. -I w związku z tym potrzebowałbym waszych usług.
 - Proszę mi to wyjaśnić, doktorze Bowen - odezwał się Malariusz Wojnicz. - Z jakiego powodu powinniśmy panu oddać nasze „usługi” i o jakich to usługach pan myśli?
 - Znam szczegółowo historię tych drzwi... - odparł doktor z miłym uśmiechem. - I jeszcze wielu innych. Mogę wam ją opowiedzieć, jeśli chcecie.
 - Z przyjemnością posłuchamy - odezwał się blondyn.
 - Ale najpierw, jak mówiłem, potrzebowałbym waszej pomocy.
 - Jeśli to nie jest niedyskrecja, to chciałbym wiedzieć, w czym - nalegał Malariusz Wojnicz.

- To bardzo proste - wyjaśnił doktor. - Żeby ta historia miała pozytywne zakończenie, musimy spalić dom nad urwiskiem.

Rozdział 13 SEJF

Pomyślmy... - szepnął Jason. Razem z Anitą siedzieli w aptece ukryci za ladą. Dziewczynka ciągle jeszcze trzymała na kolanach otwarty zeszyt Morice'a Moreau i strapiona wpatrywała się w Jasona. A on, z głową odchyloną do tyłu, walił się w czoło zwiniętym w rulon pismem z krzyżówkami, jakby to miało mu ułatwić narodziny jakiegoś pomysłu.

- Do licha! Wszyscy czworo jesteśmy zablokowani! - zawołał po chwili, zgnębiony i zły. - Oni potrzebują, żeby ktoś ich wypuścił z piwnicy, a my musimy odzyskać klucze z sejfu, zanim wróci tu doktor. A mnie, choć się staram, nic nie przychodzi do głowy.

- Powiedzieli, że w tej izbie, w której zostali zamknięci, jest mnóstwo notatek. Może znajdzie się wśród nich jakaś z szyfrem do sejfu? - rzuciła bez przekonania Anita.

- No cóż, nie zaszkodzi spróbować...

Dziewczynka znowu położyła dłoń na ramce z wizerunkiem Julii i zamknęła oczy. Po kilku męczących sekundach oczekiwania otworzyła je. - Mają poszukać, ale... wydaje się, że niczego takiego nie ma. Za to mówią, że są prawie pewni, że doktor przygotowuje się do opuszczenia miasta.

-Co?

- Wydaje się, że właśnie sprzedał niedawno dom i jest gotów do przeprowadzki - przekazała wiadomość Anita.

- Jasne! - zawołał Jason, uderzając ręką w pismo z krzyżówkami. - Zabrał wszystkie Klucze Czasu i teraz... bierze nogi za pas.

- Jest jeszcze jedna sprawa... - dodała dziewczynka. - Znaleźli jakąś dziwną muszlę. Jason otworzył pismo i zaczął je automatycznie przeglądać. - Dziwną? W jakim sensie?

- Była w lodówce, za butelkami z wodą i...

- Zaczekaj chwilę! - przerwał jej nagle Jason. Zauważył coś dziwnego między stronicami pisma z krzyżówkami. Albo może nie tyle dziwnego, ile coś wartego uwagi. - Krzyżówki... Doktor jest maniakiem krzyżówek!

- No i co?

- No i spójrz tutaj - odpowiedział Jason, kartkując pismo przed nosem Anity. - Doktor ma swoisty system rozwiązywania krzyżówek: nie zaczyna i nie kończy każdej po kolei, lecz najpierw zaczyna wszystkie... a potem je kończy kolejno. Rozwiązuje po trzy, cztery na raz.

- Jason, nie ma już czasu... - szepnęła Anita, kiwając głową. - Musimy stąd wyjść: doktor Bowen może tu wrócić w każdej chwili.

- Ja nie zostawię Kluczy Czasu w sejfie!

Dziewczynka spojrzała na niego z wyrzutem. - Myślę, że w tej chwili mamy poważniejsze zmartwienia od kluczy! Julia i Rick potrzebują naszej pomocy! A poza tym musimy odkryć, gdzie się podziali wszyscy inni: czy są zdrowi, czy może są jeszcze... - dziewczynka urwała, niezdolna do dokończenia zdania.

Jason przygryzł nerwowo wargę. Anita miała rację, naturalnie, jednak... było coś w tych krzyżówkach doktora Bowena... Coś, czego nie potrafił uchwycić, ale co w jego przekonaniu było ważne. Postanowił zignorować protesty przyjaciółki i pochylił się nad pismem, by je uważnie przestudiować.

„Jest metodyczny i rozwiązuje zawsze w jednakowej kolejności” zauważył. „I to sprawia, że jest przewidywalny. Pierwsze rubryki są całe wypełnione...”

Przerzucił szybko stronicę.

Anita zamknęła zeszyt. - Jason, teraz już koniec. Musimy się stąd wynosić.

„Zaczęte, do połowy...”

- Jason?

„Tylko zaczęte. Tylko zaczęte. I tylko zaczęte”.

Dziewczynka szturchnęła go w rękę. - Musimy iść uwolnić twoją siostrę i kogoś uprzedzić - szepnęła dziwnie spokojna.

- Anita, proszę, daj mi tylko sekundę - odpowiedział błagalnym tonem Jason. - Spójrz: Bowen nie rozwiązuje nigdy krzyżówek, zaczynając od jedynki. Kiedy rozwiązujesz jakąś ty, zaczynasz od jedynki. Wpisujesz najpierw słowa poziomo, a jak ci nie idzie, próbujesz z pionowymi. Tak się robi normalnie. A on nie...

- Ma po prostu swoją metodę, jak wszyscy...

- Tak, ale to metoda maniakalna! Widzisz tu? Zaczyna od połowy... i tu też... i tu też! I zaczyna zawsze od tego samego numeru. Który to...?

Chłopiec porównał szybko ostatnie rubryki z krzyżówkami zaledwie rozpoczętymi. Potem podniósł wzrok na pokrętko sejfu. - Spróbujemy, Anito.

- Co spróbujemy? - spytała dziewczynka nieco sceptycznie.

Jason wziął ostatnią krzyżówkę w piśmie, gdzie było wpisane tylko jedno słowo, i powiedział: - Jeżeli odgadłem, na czym polega jego metoda, to by znaczyło, że Bowen zaczyna zawsze od tego samego numeru: trzynastce. Pionowo albo poziomo, to bez znaczenia. A zatem, ustaw pokrętko sejfu na trzynastce.

- Jason, to nie ma sensu!

- Co nam szkodzi spróbować? I tak nie mamy wyboru. Rób, co mówię.

Anita, parszając, wstała, podeszła do sejfu i obróciła pokrętkiem z numerami, aż zatrzymała je na trzynastce. -Gotowe.

Jason przekartkował pismo do tyłu. - Teraz nastaw na dwadzieścia siedem.

Anita obróciła znowu pokrętkiem. - Potem?

- Trzydzieści dziewięć.

- To wszystko to absurd, Jason.

- Zrobiłaś?

- Tak, zrobiłam.

Klik, piknął sejf.

- A nie mówiłem? - krzyknął Jason i skoczył na równe nogi, odrzucając pismo.!

Trzydzieści siedem, trzydzieści dziewięć: szczęśliwe liczby pana doktora. Jego sposób na rozwiązywanie krzyżówek. I zarazem szyfr do jego sejfu.

Anita oniemiała z wrażenia. Otworzyła metalowe drzwiczki sejfu i wyciągnęła to, co tam doktor ukrył: pudełko z kluczami, w tym również cztery klucze od Wrót Czasu w Willi Argo i ten z wielorybem, jeszcze wilgotny.

- Najpierw poszedł zabrać ten klucz... - odezwał się zgorszony Jason. - Zamiast pomyśleć o rannych, poszedł najpierw odzyskać klucz z wielorybem!

- Nie ma teraz czasu na komentarze! - przypomniała mu Anita. - Uciekamy, szybko! •

Wsunęli klucze do plecaka, uważając, żeby nie stłuc fiolek z płynem, jakie znaleźli w słoikach z ziołami. Następnie zamknęli sejf, odwiesili na miejsce portret fundatora i wymknęli się przez drzwi na zapleczu.

Zanim je otworzyli, Anita odwróciła się do Jasona. -Idziemy uwolnić twoją siostrę i Ricka, tak?

- Nie jestem pewien, czy to jest pierwsza sprawa do załatwienia - odparł Jason.

- Ale stanowimy dla nich jedyną szansę wydostania się z tej izby! - zaprotestowała dziewczynka.

- Tak, ale może być zbyt niebezpiecznie iść... ot tak. Musimy najpierw zaopatrzyć się w coś.

- Znaczący, w co?

- Środek szybkiego transportu, na początek... - Jason urwał na krótko. -1 broń. Anita nie mogła uwierzyć własnym uszom. - Żartujesz chyba?
 - Wcale! Przypominam ci, że on ma rewolwer.
 - A ty, co chcesz zdobyć? Karabiny?
- Jason uśmiechnął się do niej chytrze. - Nie całkiem, ale coś w tym rodzaju... Idziemy! Wyszli w zaułek za apteką i stamtąd skierowali się żwawo w stronę hangaru, koło którego już wcześniej przechodzili.
- A poza tym wiesz, co ci powiem? - podjął Jason, kiedy doszli do kraty ogradzającej wewnętrzny dziedziniec zawalony oponami. - Rickowi i mojej siostrze nie zaszkodzi spędzić trochę czasu razem, bez świadków.
- Anita roześmiała się mimo woli. - Jesteś doprawdy strasznym bratem, Covenant!

Rozdział 14

W STRONĘ URWISKA

- Kto zatem skonstruował te drzwi? - zapytał leniwie jeden z braci Nożyców, siedząc w samochodzie, który jechał pod górę wzdłuż wybrzeża drogą prowadzącą prosto do Willi Argo.
 - Łatwe pytanie: konstruktorzy drzwi! - odpowiedział ze śmiechem doktor Bowen, kierowca samochodu.
 - Pańska odpowiedź przypomina mi znane powiedzonko: „Był żywy chwilę przedtem, zanim zmarł” - wtrącił kędzierzawy.
 - Pan La Palice? - odezwał się blondyn, rozpoznając w lot autora powiedzonka.
 - W każdym razie teraz nie jest ważne, kto te drzwi skonstruował... - dodał doktor, zmieniając ton na poważny. - Teraz sprawą naprawdę ważną jest, żeby one zniknęły raz na zawsze. Nie zbudowano ich w celach rozrywki dla turystów. Albo dla szukania żony... - To ostatnie zdanie wypowiedział niemal ze złością. - To drzwi ogromnie niebezpieczne, jak mieliście możliwość zobaczyć, do których kluczy nie wolno powierzać dzieciom! Dzieciom, zdajecie sobie z tego sprawę?
 - A propos dzieci... - przypomniał sobie w tym momencie blondyn, obracając się, by spojrzeć przez tylne okienko na drogę, jaką samochód już pokonał. - Myślicie, że ci trzej ruszą za nami?
- Ci „trzej”, których miał na myśli, to byli naturalnie kuzyni Flint, dla których zabrakło już miejsca w małym służbowym mlecznokawowym samochodzie doktora (a zresztą, nawet gdyby było, i tak by nie wsiedli, zważywszy warstwy błota, jakie mieli na sobie).
- Dałem im dziesięć funtów - odezwał się kędzierzawy ze złośliwym uśmiechem. - I obiecałem im następne dziesięć, jeżeli pomogą nam dokończyć robotę.
 - A propos... - podjął blondyn, chwytając rękami za przednie siedzenie ze sztucznej skóry, na którym obok kierowcy siedział Wojnicz. Przez całą drogę szef Podpalaczy milczał jak zakłęty, pogrążony w smętnej kontemplacji morza usłanego śmieciami... - Dlaczego jest pan przekonany, że to konieczne, doktorze Bowen? Mam na myśli spalenie całego domu?
 - Czy dacie temu wiarę, czy nie - odparł spokojnie doktor - ale to wy właśnie podsunęliście mi ten pomysł. Aż do wczoraj ograniczałem się tylko do zbierania informacji na temat całej tej historii i osób w nią wmieszanych. Włączając w to was, „Podpalaczy”, naturalnie. Ale po spotkaniu z waszym szefem, na plaży, stało się coś, jakbym otrzymał znak od przeznaczenia! A powódź, zaraz potem, stała się tą przysłowiową kroplą, która przelała kielich, jeśli mogę tak się wyrazić. Potężną kroplą, która mnie przekonała, że czas zacząć działać.
 - A dlaczego, jeśli wolno spytać - odezwał się drugi - uważa pan naszą pomoc za konieczną?

- Ba, co za pytanie! - odparł doktor. - To wy jesteście specjalistami w odpowiedniej dziedzinie, jak sądzę. Ja w swoim życiu nie zapaliłem ognia bodaj nawet w kominku i nie wiedziałbym, od czego zacząć, by podpalić cały budynek! - Dodał gazu. - W każdym razie, jeśli to pana gnębi, jedyny prawny właściciel nie zgłosi zastrzeżeń: już ja się o to postarałem - dodał złośliwie.

Blondyn zdecydował, że lepiej nie zgłębiać tematu i opadł z powrotem na oparcie. - Ojoj! - zawołał po chwili. - Coś ostrego w bagażniku uwiera mnie w plecy przez oparcie!

- Sądzę, że to wieszaki specjalne mojej żony... - odparł doktor, skręcając gwałtownie na serpentynie. Niebo i morze zastąpiły teraz krzaki błękitnej lawendy i biała skała urwiska. - Nigdy nie podróżujemy bez tego.

- A szykujecie się do podróży?

- Właśnie! - wykrzyknął doktor. - Jak tylko rozwiążę sprawę „Willi Argo”, wywożę moją żonę z tego okropnego miejsca... na zawsze!

Przyspieszenie, jakie przy tych słowach nastąpiło, zmusiło trzech Podpalaczy do złapania się za uchwyty zamontowane nad oknami.

Potem z kolei kędzierzawy zaczął drażnić szczegóły czekającego ich zadania. - Pan wybaczy, ale... skoro pan wraz z żoną szykujecie się do wyjazdu, czemu aż tak leży panu na sercu sprawa domu nad urwiskiem, drzwi i kluczy?

Tym razem doktor utracił swoją zwykłą powściągliwość i wyładował całą swoją złość. - Ma pan rację! Ale ja nie jestem jak inni! Nie udaję, że coś nie istnieje, odwracając się od tego. To kwestia zasad! Od lat ich obserwuję! Od lat! Wysłuchuję chorych, starych, umierających i szalonych. I wszystkich, którzy lepiej czy gorzej znają jakiś fragment tej historii. Drzwi tu, drzwi tam. Te stare klucze trzymałem w szufladzie i oto nagle zniknęły! Właściciel Willi Argo, który nigdy nie opuszcza domu! Zwariowany zegarmistrz, który z dnia na dzień ucieka! Kobieta, która spada z urwiska! Dwoje bliźniaków z Londynu, którzy się wszędzie wciskają! I wie pan, co panu powiem? Nadszedł czas, by powiedzieć: dosyć!

- Dla kogo pan pracuje? - spytał w tym momencie Wojnicz, który dotąd cały czas milczał.

- Słucham?

Jak jakiś znak ukazała się na horyzoncie wieżyczka Willi Argo, odcinając się na tle zachmurzonego nieba.

- Spytałem pana, dla kogo pan pracuje. Bo, widzi pan, wszystkie te piękne słówka o zasadach nie robią na mnie najmniejszego wrażenia. Osobiście uważam za dużo bardziej logiczne, że został pan przez kogoś zatrudniony, żeby zabrać klucze, zniszczyć dom na urwisku, otrzymać za to całkiem niezłą sumkę i zmienić... klimat.

Twarz doktora Bowena nagle spurpurowiała. - Co pan insynuuje?

- Nic riie insynuuję, drogi panie doktorze. Ja tylko pytam. Jeżeli pan i pańska małżonka zdecydowaliście się na wyjazd, odłożona sumka mogłaby się bardzo przydać.

Słowa Wojnicza zirytowały Bowena do tego stopnia, że nie był w stanie wyrazić całej swojej złości i wołał zacisnąć usta w pełnym goryczy milczeniu, ściskając kierownicę jak alpinista linę, po której się wspina.

Wojnicz ze swej strony, uzyskawszy tak upragnioną ciszę, wrócił do przyglądania się morzu, hen, aż po horyzont, wdychając ciężko na myśl o swojej limuzynie pochłoniętej bezpowrotnie przez morze wraz z całą zawartością. W tym z jego bezcennym rękopisem. Zatrzymali się przed zamkniętą bramą Willi Argo. Bowen odpiął pas, wyciągnął kluczyk ze stacyjki i chciał właśnie otworzyć drzwiczki.

- Zatem - powstrzymał go Wojnicz przed opuszczeniem samochodu - jeśli pan chce, żebyśmy mu pomogli w spalaniu tego domu, niech nam pan załatwi, albo każe załatwić tym, dla których pan pracuje, środek transportu, żebyśmy stąd odjechali, kiedy już skończymy robotę.

Rozdział 15

WARSZTAT ZŁOTEJ RĄCZKI

- Złota Rączka ma w środku stare rowery - wyjaśnił Jason, wskazując hangar. - Właścicielem warsztatu jest kuzyn Freda Spiczuwy, który właściwie powinien być szewcem. Ale jego prawdziwą pasją są opony, porzucone części maszyn, złom i takie tam różności.

- Właśnie widzę - zauważyła Anita z nosem przytkniętym do kraty otaczającej dziedziniec hangaru, zawalony oponami, kadłubami łodzi, sterami, tłumikami i drzwiczkami samochodów. - I proponujesz mi kradzież rowerów?

- Nie, proponuję ci pożyczkę rowerów - odpowiedział szczerze Jason. - Gdyby właściciel wiedział, że ich pilnie potrzebujemy, na pewno dałby je nam sam. Ale teraz go nie ma. A nie mamy czasu, by go poszukać. - Wsunął palce między pręty i pociągnął. - Bramy się nie otworzy z zewnątrz...

- Niezbyt podoba mi się takie załatwianie sprawy... - szepnęła Anita z pewną dezaprobatą.

Przeskoczyli ogrodzenie tak, żeby ich nikt nie zobaczył i znaleźli się po drugiej stronie.

Potem błyskawicznie wpadli w przejście pomiędzy stertami opon.

- Może należałoby zostawić bilecik, że odstawimy te rowery jak najszybciej będziemy mogli... - zaproponowała Anita, kiedy kręcili się między stertami opon, jak odkrywcy w lesie wulkanizowanej gumy. Opony leżały jedne na drugich według rozmiarów: opony samochodów osobowych, opony od ciężarówek, od traktorów, koła motocykli i rowerowe, zardzewiałe obręcze kół, ale też tłumiki, które sterczały z tych stosów niczym suszone kwiaty. Jason doskonale się orientował między tym wszystkim, jakby miał kompas. Zrobili z dziesięć zakrętów i na końcu doszli do hangaru pod blaszanym dachem.

- Tu znajduje się warsztat - objaśnił chłopiec.

W cieniu dachu stały rowery, leżały kawałki motocykli, podwozia samochodowe i dziurawe fotele pokryte psią sierścią.

- Ale co on robi, ten Złota Rączka, z taką masą tych gratów? - zapytała Anita, przyglądając się trochę z podziwem, a trochę z niesmakiem temu stosowi przekładni, dętek, tłoków i zębatach kół.

- Rick uważa, że można tu znaleźć każdą część jakiegokolwiek modelu pojazdu, jaki kiedykolwiek poruszał się po drogach. I prawdopodobnie ma rację. Tędy, chodź.

Doszli do bramy warsztatu i zajrzeli do środka w poszukiwaniu kogoś. Brama była zamknięta, a w warsztacie nie widać było żywej duszy. Wewnątrz, jak i na dziedzińcu, znajdowało się mnóstwo różnych części. Widać też było zwalone na stos rowery. Spróbowali pchnąć furtkę przy bramie - o dziwo, otworzyła się. Weszli.

- Spróbujmy załatwić sprawę szybko... - odezwał się Jason, kierując się w stronę stosu z rowerami, które wydawały się mniej od innych uszkodzone. - Peter Dedalus czuł się tutaj jak rybka w wodzie... - powiedział, zabierając się do rozdzielenia rowerów. - Za każdym razem, kiedy pracowałem nad konstrukcją jakiejś swojej maszyny, przychodził tu po części. Ale ty go nie znałaś, nie możesz tego zrozumieć.

- Ale podróżowałam jego balonem - przypomniała Anita.

Jason, z roztarganymi włosami, ustawił jeden z rowerów przed sobą i oceniał go fachowym spojrzeniem. - Ten by się spodobał Rickowi. Bierzemy go.

Przekazał go Anicie, radząc, by oparła go blisko furtki, gdzie zobaczył przycisk do otwarcia bramy. Potem spróbował znaleźć drugi i wybrał rower w kolorze rdzawo-czerwonym.

-Może i nie jest najnowszy... - powiedział - ale ujdzie.

- Jest bardzo dobry, Covenant - uznała dziewczynka, ustawiając go obok tego pierwszego. Dopiero teraz obok dziurawego fotela zauważyła porzucony łańcuch i wielką kałużę. - Coś mi mówi, że powinniśmy się uwijać...

Ale Jason tymczasem przeszedł przez szczególnie wysoki stos złomu i podniecony zaczął raz za razem wydawać jakieś dziwne dźwięki: - Ojoj! Rany! Kurczę!

Anita podeszła do niego i zapytała, co też takiego zobaczył.

Chłopiec klęczał przed starym motocyklem w kolorze jaskrawoczerwonym. Rozrzucone po ziemi narzędzia wskazywały, że Złota Rączka nad nim pracował: motocykl miał wielką okrągłą lampę reflektora, kadłub zwarty i rurę wydechową lśniącą jak ze srebra.

- Ale чудо! - zawołał Jason, głaszcząc długie, atramen-towoczarne siodełko. - To oryginalna MV augusta!

- Mnie przypomina sympatyczne żelazko do prasowania - zauważyła Anita ze znudzoną miną.

- Chyba żartujesz? Ten klejnot jest po prostu najlepszym motocyklem istniejącym na świecie!

I zręcznie wskoczył na siodełko.

Dziewczynka popatrzyła na niego sceptycznie. - Lepiej, żebyś zaraz zsiadł, bo zrobisz sobie krzywdę. Jesteś za lekki, żeby prowadzić tego typu motocykl.

- Bądź spokojna, wiem, co robię - odparował nieco dotknięty.

Zbliżył rękę do kluczyków pozostawionych w stacyjce i...

HAU! HAU!

Anita obróciła się gwałtownie w stronę dziedzińca. Ale nie zdążyła nawet spytać Jasona, czy i on to słyszał, kiedy z jednego z korytarzy labiryntu opon wypadł potężny pies, coś pośredniego między dzikiem a słoniątkiem. Był jak pocisk o gęstej i zjeżonej sierści niczym kolczasty drut, z dwoma czarnymi gwoździami na miejscu oczu i czerwoną rozwartą jamą w miejscu mordy.

- Dziewczynka popatrzyła na niego sceptycznie. - Lepiej, żebyś zaraz zsiadł, bo zrobisz sobie krzywdę. Jesteś za lekki, żeby prowadzić tego typu motocykl.

- Bądź spokojna, wiem, co robię - odparował nieco dotknięty.

Zbliżył rękę do kluczyków pozostawionych w stacyjce i...

HAU! HAU!

Anita obróciła się gwałtownie w stronę dziedzińca. Ale nie zdążyła nawet spytać Jasona, czy i on to słyszał, kiedy z jednego z korytarzy labiryntu opon wypadł potężny pies, coś pośredniego między dzikiem a słoniątkiem. Był jak pocisk o gęstej i zjeżonej sierści niczym kolczasty drut, z dwoma czarnymi gwoździami na miejscu oczu i czerwoną rozwartą jamą w miejscu mordy. .

- O NAJŚWIĘTSZA KORNWALIO! - krzyknął chłopiec, zapalając odruchowo motor.

- REGAN JEST SPUSZCZONY Z ŁAŃCUCHA!

Silnik 125 w motorze wybuchł jak granat z pierwszej wojny światowej, ale się zapalił.

- Hej, co ty robisz? Zwariowałeś? - krzyknęła Anita.

Jason spojrzał na nią desperacko i zawołał:

-Wciśnij przycisk! Wciśnij przycisk!

Przycisk znajdował się pięć kroków od dziewczynki. Anita słyszała z jednej strony ujadanie Regana, z drugiej ogłuszający huk motoru i nie wiedziała, co było gorsze, czy roztrzaskanie się o ścianę, czy schrupanie przez wściekłą bestię.

Nie czekając na wykonanie polecenia przez Anitę, Jason kopnął podstawkę centralną i dodał gazu. Motocykl uniósł się jak spłoszony ogier i opadł na ziemię. Jasonowi udało się utrzymać go i zakreślić półkole, nie gasząc silnika. Wypuścił masę czarnego dymu i rozpryskał promieniście żwir, rozjuszając tym psa jeszcze bardziej.

Anita tymczasem dobiegła do przycisku od drzwi. Nacisnęła go jeden raz, obróciła się w stronę Jasona, starającego się poskromić swego rumaka wypuszczającego petardy.

- WSKAKUJ! WSKAKUJ! WSKAKUJ! - krzyknął do dziewczynki, kręcąc w kółko motocyklem.

Brama zaczęła się nieprawdopodobnie wolno otwierać i Regan już właściwie sięgał kostek Jasona, ale bezładne ruchy chłopca najwyraźniej go ogłupiały.

Skoro tylko motor znalazł się obok dziewczynki, Anita wskoczyła na siodło. Przez moment sądziła, że stoczy się na drugą stronę prosto w spienioną paszczę tej bestii, jednak udało się jej jakoś utrzymać na siodle i oprzeć stopami o podstawkę. Schwyciła Jasona za koszulę.

Jakimś cudem udało się im nie wywrócić.

- TRZYMAJ SIĘ! - krzyknął Jason.

Anita nie kazała sobie tego dwa razy powtarzać i z sercem w gardle chwyciła się za cokolwiek, co dało się uchwycić, akurat w samą porę, żeby nie spaść, gdy motocykl niespodziewanie przyspieszył.

Celowali w bramę w nadziei, że zdąży się na czas otworzyć. Opony i inne części złomu migają im po bokach, ledwo rejestrowane kątem oka.

- DAMY RADE, DAMY RADE, DAMY RA... - wykrzykiwał Jason, jakby recytował mantrę, podczas gdy Anita wpatrywała się przerażona w bramę, która była coraz to bliżej i bliżej, i bliżej...

Zamknęła oczy, kiedy już-już mieli się roztrzaskać o pionowe kraty. Zacisnęła powieki.

Potem, kiedy otworzyła oczy, pojęła, że naprawdę dali radę.

Obejrzała się i zobaczyła jedynie czarną chmurę. A wewnątrz tej czarnej chmury potwora, który biegł za nimi, szczekając jak oszalały z wściekłości. Anita przywarła jeszcze bardziej do pleców Jasona. Wyjechali na ulicę, kierując się w stronę morza, z tym demonem zjeżonym, pędzącym koło ich stóp. Ulice, szyldy, domy zostawały za nimi.

Przy pierwszym zakręcie Jason za późno nachylił motocykl i pojazd pomknął prosto, ocierając się o barierkę ochronną po przeciwnej stronie jezdnii.

- MÓWIŁEŚ MI, ŻE UMIESZ PROWADZIĆ! - krzyknęła Anita, kiedy się zbliżali do kolejnego zakrętu.

Ale tym razem Jason zwolnił, pochylił się nad asfaltem i pokierował motocyklem tak, że zakreślił tor wprost doskonały. A potem dodał gazu. - Jest jeszcze? - spytał głośno Anitę, trzymając mocno kierownicę.

Anita się obejrzała na moment. Za nią wiała się droga asfaltowa i pojawiały się ostatnie domy miasteczka. Re-gan stał się już tylko małym punkcikiem, wściekłym i dyszącym. Ale ciągle ich gonił.

- Tak! - jęknęła.

- Nie siedź tak sztywno! - zwrócił jej uwagę Jason.

Jakimś cudem wykonali jeszcze trzeci zakręt, ocierając się o kamieniste wybrzeże. Motocykl mknął z hukiem, domy miasteczka oddalały się, a droga wzdłuż wybrzeża zaczęła mocniej pięć się w górę, w stronę cypla z latarnią. Silny wiatr owiewał im twarze.

W połowie podjazdu Anita raz jeszcze rzuciła okiem za siebie: żadnego ujadającego stworzenia już nie widziała.

- Został! - krzyknęła, lecz na wszelki wypadek spojrzała jeszcze dwukrotnie. Wyglądało na to, że pies wreszcie dał im spokój. Anita głęboko westchnęła. - Nie ma go już! Zwolnij! Jason zwolnił, manipulując pokrętłem kierownicy i pozwolił sobie na rzut okiem za siebie. - Zgubiliśmy go! - zawołał uszczęśliwiony.

Milczeli, ciesząc się wiatrem na twarzach, pędząc wzdłuż południowego wybrzeża. Motocykl błyskawicznie pokonał ostatni zakręt przed latarnią: stąd biegła żwirowana dróżka, prowadząca aż na skalisty cypel, na którym wznosiła się biało-czerwona wieża stojąca na straży portu. Jason zwolnił, wysunął kierunkowskaz i wjechał wolno na dróżkę.

Wiatr nagle się wzmógł, podnosząc tumany kurzu. Wydał żagle na łodziach, które wypłynęły na morze w poszukiwaniu osób uniesionych daleko przez wysoką falę, i przyniósł ze sobą rzenie konia Leonarda.

Jason zatrzymał motocykl na placyku między białą wieżą latarni i niskim kamiennym domem Leonarda i Kalip-so. Poklepał karoserię i uśmiechnął się z zadowoleniem.

Anicie drżały kolana. - Byłeś lekkomyślny, Covenant! - ofuknęła go, lecz przycisnęła mocno policzek do pleców chłopca, nie zwalniając uchwytu.

Pod latarnią, gdzie morze wyładowywało swą siłę, uderzając o spienione skały, podniosła się gigantyczna fala piany.

Rozdział 16 UZBROJONY

Wewnątrz latarni morskiej, na krętych schodach biegnących w dół, było zimno i wilgotno. Biały tynk osypywał się ze ścian zżeranych przez morską sól. Jason błyskawicznie zbiegł po stopniach i wpadł do podziemnego pomieszczenia, gdzie Leonard zgromadził swój sprzęt do nurkowania. Była to okrągła izba, o tej samej średnicy co latarnia, mająca dwa wyjścia: jedno na kręte schody, przez które właśnie tu wszedł, i drugie, zamknięte, z przeciwnej strony. Jason bywał w tej lodowatej izbie wielokrotnie i już się przyzwyczyił do widoku swego oddechu w postaci gęstej pary, bez względu na temperaturę, jaka panowała na zewnątrz. Ten ziąb syberyjski, lodowaty przeciąg ciągnący od zamkniętych drzwi, a u progu na posadzce półkole szronu - brrrr...

Chłopiec skierował się w stronę półek, które Leonard umocował na ścianie, przebiegł je wzrokiem, pogrzebał między kombinezonami do nurkowania, butlami i płetwami, aż w końcu, za sprężarką, maszynериą z zardzewiałego żelaza wielką jak dzik i o równie groźnym wyglądzie, znalazł to, czego szukał. Była to wielka drewniana skrzynia, z potężnymi okuciami. - To będzie tu - szepnął.

Przykłęknął obok tej skrzyni opasanej grubymi skórzanymi rzemieniami. Popchnął ją trochę, żeby mieć łatwiejszy dostęp, i sięgnął do solidnych sprzączek, potem je rozpiął, sapiąc z wysiłku. Kiedy ostatecznie udało mu się otworzyć wieko, był zlany zimnym potem, ale bardzo zadowolony: znalazł kusze używane do polowania w morskich głębinach.

Wziął jedną, wsunął metalową strzałę wzdłuż rowka i nacisnął spust. Strzała wyleciała z płaczliwym piskiem, upadając zaledwie kilka kroków od jego stóp: kusza była rozładowana. Odzyskał strzałę, ciągnąc ją za linkę, i ponowił próbę z innymi kuszami. Znalazł wśród nich dwie dostatecznie naładowane, a inne dwie podłączył do sprężarki. Sprawdził zawór powietrza, żeby się upewnić, że ci-

śnienie jest wystarczające, potem ją włączył. Motor starej maszyny zacharczał i zadygotał, zanim zdecydował się zaskoczyć, a jego warkot napełnił wkrótce całą izbę: Jason, z zagryzioną z przejęcia wargą, mając za wzór staranność Ricka, naładował kolejno obie kusze sprężonym powietrzem.

Gdy skończył, powrócił do przeszukiwania skrzyni. Przeglądając uważnie różne zawiniątka na dnie, wyciągnął z dziesięć ostrzy, które można było nasadzić na strzałę. Leonard miał ich wiele najrozmaitszego rodzaju: zaokrąglone, w kształcie strzałki, dwu lub trójzębne, jak trójząb boga morza. Niektóre były ostre i spiczaste niczym noże.

Jason wybrał te najcieńsze. Przebiegł mu zimny dreszcz po krzyżu, ale tym razem nie z powodu przeciągu od drzwi: co innego było wyobrazić sobie nurkowanie w lazurowej toni i polowanie na rybę, a całkiem czymś innym - użycie tych ostrzy... jako prawdziwej broni. „Może to nie jest dobry pomysł” - powiedział do siebie, ogarnięty wątpliwościami. Potem jednak przypomniał sobie rewolwer w rękach doktora Bowena i doprowadził robotę do końca. Kiedy wyłączył sprężarkę, w izbie ukrytej w głębi latarni zapadła dziwna cisza. Jason rozejrzał się dokoła, czujny i uważny jak prawdziwy myśliwy. Chwycił kuszę, przerzucił sobie przez ramię dalsze trzy, po czym pod-

szedł do drzwi, przez które przedostawały się lodowate podmuchy. Przycisnął gorący policzek do ich zimnej powierzchni.

Skóra przykleiła się do drewna jak do metalu. Zaczął nasłuchiwać: niekiedy można było coś posłyszeć zza Wrót Czasu. Czasami ktoś stukał.

- Jaasoon... - wołał go daleki głos. Tak odległy, że prawie niedosłyszalny. Odruchowo mocniej zacisnął dłoń na kuszy.

- Jaasoon... - powtórzył głos. Tym razem wydawał się znacznie bliższy i... nie pochodził zza tych drzwi, lecz zza jego pleców!

Chłopiec wyskoczył gwałtownie i spojrzał w górę schodów. Drzwi wyjściowe z latarni nagle się otworzyły. - Anita? - spytał. - Wszystko w porządku?

- Jason! - zawołała go po raz trzeci dziewczynka. - Koń chyba całkiem oszalał! Jason nie kazał sobie tego dwa razy powtarzać. Przeskakując po dwa stopnie, wybiegł na zewnątrz: przed nim stała Anita i wskazywała na stajnię, gdzie koń Leonarda rżał i bił wściekle kopytami o ziemię.

- Można wiedzieć, co go napadło?

- Nie mam pojęcia! Zrobiłam wszystko, co mi poleciłeś, a potem, ni stąd ni zowąd... Jason pobiegł do stajni. Spojrzał na morze, które ciemniało na horyzoncie: niebo nabierało koloru ciemnosinego, co zwiastowało burzę. Wielka fala uderzyła o falochron z groźnym hukiem.

„Zły znak” pomyślał Jason. „Doprawdy zły znak.”

Tommaso Ranieri Strambi poczuł, że coś go uszczypnęło w policzek. Otworzył oczy i znalazł się oko w oko z krabem. Mały, brązowy krab zaczął sprawdzać czułkami konsystencję jego nosa. Tommi musiał kilka razy zamrużyć, żeby zdać sobie sprawę, że to się dzieje naprawdę. Podniósł gwałtownie głowę, powodując, że stworzonko odpełzło daleko, umykając wielce obrażone.

„Plaża!” pomyślał chłopiec. „Wyrzuciło mnie na plażę!

Zerwał się na równe nogi i natychmiast zapadł się w piasek zmieszany z wilgotnym żwirem. Fale obmywały mu kostki.

Czuł zimno. Zgubił oba buty i był całkowicie przemoczony, od stóp do głów.

I... gdzie się znajdował?

Zrobił kilka kroków do przodu, rozglądając się dokoła zdezorientowany. Zauważył, że kipiela morska pchała po piasku wielką walizkę, której się uczepił, żeby się utrzymać na powierzchni. Walizka opleciona ciemnozielonymi algami kołysała się powoli w pianie.

Tommaso starł sobie piasek z twarzy. Niebo na horyzoncie ponad morzem miało groźny kolor fioletu. Z jednej strony horyzont opierał się o długi cypel, na końcu którego znajdowała się latarnia morska.

Obrócił się dokoła siebie i spojrzał w górę: nad nim, kilka metrów od plaży, na której się ocknął, wznosiło się urwisko z białej skały. Dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści metrów pionowej ściany. W mgnieniu oka rozpoznał zarys wąskich schodków wiodących do Willi Argo.

„Salton Cliff...”

Nie mogąc powstrzymać radości, zaczął skakać po plaży. Nie mógł wprost uwierzyć w swój szczęśliwy los: prąd zniósł go do Kilmore Cove!

Potem, kiedy tak sobie podskakiwał, napadł go gwałtowny atak kaszlu, który zaparł mu dech. Zaczął rozpaczliwie szczełować zębami. Mokre ubranie kleiło mu się do ciała i przesuwalo po skórze jak lodowate ręce.

Jak długo pozostawał w morzu? Spojrzał na dłonie: zbiełałe opuszki palców były całe pomarszczone i sprawiały mu ból przy byle dotknięciu.

„Ale jestem ocalony!” powiedział do siebie. Poczul na nowo narastającą euforię; powstrzymał się od krzyku i wołania o pomoc: musiał się skupić na swoim głównym problemie, na zimnie. Na ubraniu. Na butach.

Napadł go drugi atak kaszlu, jeszcze gwałtowniejszy od poprzedniego, i powalił go na kolana na piasku.

„Spokojnie, zastanów się...” Powinien wbiec na górę po schodkach w skale i poprosić Jasona czy Nestora o jakieś ubranie. To dobry pomysł. Ale od morza wiał silny wiatr, a przy każdym podmuchu lodowaty chłód mokrego ubrania, przyklejonego do grzbietu jak druga skóra, sprawiał, że cały drżał.

Rozebrać się i biec nago po schodkach? Wykluczone.

Kiedy się tak zastanawiał nad jakimś rozwiązaniem, podszedł wolno do walizki, na której dopłynął aż tutaj i przyjrzał się jej uważnie. Była to walizka solidna, z tych produkowanych w odległych czasach, odporna na wszystko. Może nawet nieprzemakalna.

Tommaso uklęknął przy niej i chwilę potem spryskała go pianą fala potężniejsza od innych, która rozbiła się o ścianę skalną. Ostatkiem sił przeciągnął walizkę na suchy piasek, gdzie fale już nie sięgały.

Była zamknięta na szyfr. Przypomniał sobie, że kiedyś, w piśmie z ciekawostkami, wyczytał, że większość walizek podróżnych ma niezwykle prosty szyfr, ponieważ właściciele obawiają się, że zapomną kombinacji, więc stosuje się kolejne najprostsze numery.

Spróbował kombinacji z czterema cyframi: jeden, dwa, trzy, cztery. Potem spróbował odwrotnie: cztery, trzy, dwa, jeden. I otworzył walizkę bez najmniejszego problemu. Czuł się trochę zażenowany, ale to było niczym otwarcie wieczka szkatułki ze skarbem.

Niepozbawione pewnej magii.

Dwa skrzyżowane ściągacze przytrzymały bardzo starannie ułożone ubrania. Tommaso powiódł po nich ręką i ogarnęła go wielka radość, kiedy odkrył, że są suche. Cudownie suche! Najpierw wyciągnął parasol. Długi i groźny czarny parasol, który od razu rozpoznał. - To walizka Podpalacza!

Zważył parasol w rękach: był ciężki, z masywną rączką i groźnym czarnym czubkiem.

Doskonale wiedział, co z tego szpicu może wystrzelić: mógł buchnąć płomień.

Ciągle trzęsąc się ze zmęczenia i z zimna, odłożył na bok parasol i powrócił do szperania w walizce. Zażenowanie z powodu grzebania w cudzych ubraniach jakoś mu całkiem przeszło.

Czarna kamizelka. Druga kamizelka. Koszula, którą przyłożył do siebie, żeby przymierzyć: była tylko trochę za duża, więc natychmiast się przebrał. Znalazł też parę spodni w czarno-szare paseczki, które musiał trochę podwinąć u dołu, i ciemne skarpety z grubej wełny.

Wsadził aż dwie pary tych skarpet na nogi, żeby nie pływać w lakierowanych mokasynach za dużych na jego stopy.

Ciepłe i suche ubranie dało mu natychmiast poczucie komfortu, chociaż był teraz ubrany jak śmieszna kopia swych nieprzyjaciół.

Wytarł ręce, zadowolony, i już chciał zamknąć walizkę, kiedy na jej dnie wyczuł jakiś sztywny pakunek.

Sięgnął po niego i marszcząc czoło, odwinął: wyglądał na rękopis. Pierwsze czterdzieści stron było zapisanych na maszynie, a następne prawdopodobnie zostały zapisane odręcznie, jakkolwiek pismem kaligraficznym, dokładnym i starannym niczym druk, i całkiem bez skreśleń.

Na stronie tytułowej można było przeczytać: SERCE NIE SŁUGA

Napis pod spodem był umyślnie zatarty, ale Tommaso-wi udało się rozróżnić kilka liter.

„Wojnicz? Czy to możliwe?”

Po chwili szczególnie wysoka fala zagroziła mu znowu zmoczeniem od stóp do głów.

Uskoczył dosłownie w ostatniej sekundzie, przyciskając do siebie rękopis. Zdażył też

pochwycić z piasku parasol tuż przed nadejściem morskiej kipieli. Nie tylko miał szczęście, że znalazł tę walizkę. Ona stała się dla niego prawdziwym znakiem przeznaczenia. W końcu podniósł niespokojne spojrzenie na schodki w skale prowadzące do Willi Argo. I ruszył biegiem.

Rozdział 17

OPERACJA KRÓLEWNA ŚNIEŻKA

Czerwona augusta MV 125 mknęła ulicami Kilmore Cove.

Jason z Anitą kilka minut wcześniej z głębokim niepokojem w sercu opuścili latarnię morską na cyplu po przeciwnej stronie zatoki. Niespokojne zachowanie konia Leonarda, jak również chmury gromadzące się nad horyzontem, jeszcze wzmagaly ich niejasne obawy. Dlatego cały czas jechali w milczeniu, oboje pogrążeni w zadumie nad tajemniczymi zdarzeniami tego dnia, swoimi bliskimi rozproszonymi nie wiadomo gdzie i niebezpieczeństwami, jakie ich czekały.

Motocykl zatrzymał się przed pomalowanym na niebiesko ogrodzeniem, otaczającym posiadłość przy Humming Bird Alley. Za parkanem widać było starannie skoszony trawnik, który przecinała zadbana alejka z białego żwiru. Na trawie stały porozrzucane swobodnie cementowe kolorowe krasnoludki. W głębi ustawiono huśtawkę z przywiązanyymi do linek kokardami. A w oknach widniały zasłony z białego płótna.

- Nie wygląda to specjalnie przerażająco... - zauważyła Anita, zdejmując kask. Znaleźli jakieś dwa kaski w latarni i postanowili je sobie wypożyczyć. Wyglądały na nieco starawe, ale spełniały swoje zadanie.

- Zaczekaj, aż wejdziemy do środka - doparł Jason, który zachował jeszcze kask na głowie i szedł na czworaka wzdłuż parkanu, jakby ze strachu, że w każdej chwili ktoś może go podziurawić kulami. Potem poprawił sobie na ramieniu kuszę pneumatyczną i gwałtownym pchnięciem otworzył furtkę.

Po niebie przetoczył się grzmot.

Bezszelestnie podeszli pod dom. Był pogrążony w ciszy, jeśli nie brać pod uwagę jakiegoś odległego chrapania. Znaleźli od razu okrągłe okienka z grubego szkła, wpuszczające światło do piwnicy, i zaczęli w nie stukać, dopóki nie usłyszeli odzewu z drugiej strony. Julia z Rickiem nadal tam tkwili, zamknięci.

Jason zastanawiał się, czy stłuc szybę, ale okienka były za małe, żeby przyjaciele mogli się przez nie przecisnąć. -Musimy wejść do domu... - postanowił.

- Ale jak? - spytała Anita. - Wygląda, że wszystko pozamykane.

- W takim razie - rzucił rezolutnie - rozpoczynamy operację Królowa Śnieżka.

Chwilę potem usadowili się pod oknem pokoju dziennego, trzymając wspólnie oburącz cementowego krasnala, Gburka.

- Ja bym wybrał Mędrka albo Śpieszka - marudził Jason, ważąc Gburka w rękach.

- Powiedziałeś, że mam wybrać, to wybrałam - odparowała Anita.

- Zgoda, niech i tak będzie. - Jason cmoknął krasnala w opadający kapturek, po czym rzucił nim z całej siły w okno. I natychmiast padli płasko na ziemię. Cementowy krasnal rozbił szybę na kawałki i potoczył się z hałasem po podłodze pokoju.

Odczekali kilka dłużących się potwornie sekund, podczas których nic się nie wydarzyło ani nie włączył się żaden alarm.

Jason odgarnął sobie włosy z czoła, wstał i oznajmił: -Wchodzimy, uważaj na szkło.

Przeszli przez parapet i już w środku przysunęli się bliżej jedno do drugiego, wyciągając kusze przed siebie. Na palcach przeszli przez tyrolski salonik doktora Bowena, przemykając wśród krzesel z rzeźbionego drewna, i doszli do kuchni.

Jason otworzył lodówkę i przytrzymał otwarte drzwiczki strzałą od kuszy. Następnie wolną ręką wyciągnął ogromny kawał sera i ugryzł kęs.

- Mniam mniam... - zamlaskał zadowolony. Anita spojrzała na niego ze zgrozą. - Już chyba tydzień nic nie jadłem! Chcesz kawałek? - zapytał, ofiarowując dziewczynce rycerskim gestem nadgryziony kawałek. Wobec pogardliwej odmowy, wzruszył tylko ramionami i zjadał ser dalej.

Kiedy doszli do schodów, posłyszeli wyraźnie odgłos dyszącego, ciężkiego oddechu. Jakby ktoś na piętrze potężnie chrapał.

- Spójrz, to musi być tu! - szepnęła Anita po chwili, zauważywszy ślady błota, prowadzące do drzwi do piwnicy. Podeszła do nich i ostrożnie je otworzyła, a kusza w dłoniach lekko jej drżała.

Wąskie schodki wiodły w dół i ginęły w ciemności.

Na ścianie po lewej stronie był włącznik i Anita nacisnęła go: parę metrów poniżej rozbłysło z sykiem neonowe światło, ukazując obszerną przestrzeń na wpół pustą. Kilka sekund potem światło zgasło.

Spróbowali je kilkakrotnie włączać i wyłączać, ale w końcu zrezygnowali. Neonowa lampa w piwnicy była uszkodzona. A może włączała światło gdzieś poza domem.

Na piętrze osoba chrapiąca zaczęła chrapać dziesięć razy głośniej.

Dzieci zeszły po schodach bardzo ostrożnie. Piwnica była pogrążona w całkowitej ciemności. Zaledwie można było rozróżnić zarysy różnych rzeczy, jakie w niej zgromadzono. Była raczej wilgotna. I stara.

Po drugiej stronie pomieszczenia widać było jakieś pokaźne drzwi. - Muszą siedzieć za tymi drzwiami - wyszeptała Anita.

Julia krzyknęła, kiedy zgasło światło.

Odkąd posłyszała stukanie w okienko, ogarnęło ją podniecenie. Godziny spędzone w tej wilgotnej izbie wyczerpały ją, a poza tym pogłębiły jeszcze kaszel, i teraz nie mogła się doczekać wyjścia na świeże powietrze.

Rick tymczasem odczepiał z korkowej tablicy karteczki Bowena i wkładał je do plecaka, do którego już wcześniej wsunął dziwną śnieżną muszlę, którą znalazł w lodówce.

Potem, gdy zapadła ciemność, oboje ogarnął niepokój. Co się mogło stać? Czy światło zgasło z winy Jasona i Anity? Czyżby je odcięli?

Ucichł szum wentylatora, który wdmuchiwał powietrze do prowizorycznego więzienia, ucichła też lodówka.

Rick pchnął na próbę opancerzone drzwi, ale poczuł, że są sztywne i nieruchome jak poprzednio: ich zamek musiał mieć jakiś skomplikowany mechanizm. Spróbował powiedzieć to Julii, która chodziła tam i z powrotem po izbie jak tygrys w klatce.

- Brak tu powietrza - powiedziała, kiedy przystanąła.

Nie była to do końca prawda, ale Rick musiał przyznać, że izba rzeczywiście wydawała się duszna. Pomieszczenie było małe, drzwi szczelnie zamknięte, okienka hermetyczne i tylko mały wentylator do niedawna zapewniał dopływ świeżego powietrza.

- Zaraz nam otworzą - odpowiedział z nadzieją. - Przestań się tak kręcić, proszę.

- Nie mogę - odparła Julia i znowu zaczęła się tłuc w ciemności tam i z powrotem, przystając co trzy kroki przy napadach kaszlu.

Rick westchnął. Po czym po omacku powrócił do odczepiania karteczek.

W pewnej chwili ktoś zastukał mocno w opancerzone drzwi, aż oboje podskoczyli.

- Jason! Anita! - zawołali jednocześnie, podchodząc do drzwi.

Zaczęli stukać.

Z drugiej strony zaraz odpowiedziały im podobne uderzenia.

- Słyszycie nas? - doszedł ich ledwo słyszalny głos.

To był Jason.

- Tak! Jesteśmy tu! Otwórzcie nam! - krzyknęła zachrypnięta Julia, zwijając się natychmiast wół od okropnego napadu kaszlu.

^ _ operacja królewna śnieżka _ ,

Słyszeli, jak przyjaciele majstrują przy drzwiach. Słyszeli głucho uderzenia. Potem tykanie, jakby zaczynały się obracać jakieś kółeczka i tryby, a potem ustawały.

Potem gwałtowne walenie. Raz, drugi.

Ale drzwi się nie otworzyły.

Po kilku sekundach doszedł ich ponownie ten sam odległy głos:

- Są zamknięte na jakiś szyfr! - wyjaśnił Jason.

- Jaki szyfr? - zapytał Rick.

- Cyfrowy! - odpowiedział Jason zza drzwi.

- No nie! - jęknęła oparta o drzwi Julia, osuwając się na ziemię. - Jesteśmy zatrzaśnięci.

Umrzemy tu!

- Próbowałeś z numerami od sejfu? - krzyknął Rick, nie słuchając lamentów Julii.

- Od tego zacząłem! Tarcze się obróciły... i powróciły na miejsce.

- Znaczą, że wyszły inne cyfry?

- Tak: dwanaście, dziesięć i cztery.

Dwanaście, dziesięć i cztery... Musi być jakiś związek między nimi. Ale jaki? .

- To już koniec - szepnęła Julia, chwytając się rękami za głowę.

- Wysił szare komórki, zamiast biadolić! - skarcił ją Rick, który zaczynał mieć dosyć jej czarnowidztwa.

- Po co miałabym się wysilać? Są trzy liczby i już, co tu można wymyśleć?

Rick wziął głęboki wdech, przyklęknął obok Julii i pogłaskał ją po włosach. - Doktor Bowen

był entuzjastą szarad - szepnął do niej łagodnie. - Cyfry szyfru nie mogą być przypadkowe.

Posłyszeli tykanie. Kółka zębate, sprężyny, tłoki. Potem jakieś uderzenia.

Rick znowu przypadł płasko do drzwi. - Co się stało?

- Spróbowałem z innymi cyframi - wyjaśnił ledwo dosłyszalnie Jason. - Połówkami każdej z liczb. Sześć zamiast dwunastu, pięć zamiast dziesięciu i dwa zamiast czterech.

Ale, jak się okazało, to też nie zadziałało.

- Jakie liczby wyszły teraz?

- Te same co poprzednio! - zawołał Jason. - Dwanaście, dziesięć i cztery. Jakby to było jakieś hasło!

Rick zagryzł usta. - Zaczekaj chwilę... co powiedziałaś? Hasło? Gdzie ja to już słyszałem, taką historię z cyframi jako hasłem? Tobie to nic nie mówi, Julio?

Dziewczynka zrezygnowana pokręciła głową. - Nie. A powinno?

Rick zaczął się stukać w czoło. - A jednak jestem pewien, że ja to już gdzieś słyszałem. I

wydaje mi się, że liczby były takie same: dwanaście, dziesięć i cztery... To był rodzaj wyliczanki dla dzieci, naprawdę nie przypominasz sobie?

- Rick, mówisz o czymś, co znasz tylko ty! - zachrypiała zrozpaczona Julia.

^ _ operacja królewna Śnieżka t .

- Czeka! Mam! Jeśli się nie mylę, to było kiedyś na lekcji z panną Stellą, naszą wychowawczynią. Opowiadała coś, jakąś historyjkę... Pewien policjant miał wejść do lokalu o złej sławie, ale żeby tam wejść, musiał rzucić wykidajłom hasło. Stał więc przed lokalem i nasłuchiwał, co mówili wchodzący ludzie. Pierwszemu, który podszedł, wykidajło rzucił „dwanaście”, ten odpowiedział „sześć” i wszedł. Drugiemu wykidajło rzucił „dziesięć”, ten odpowiedział „pięć” i wszedł.

- To połowa liczby. Jason już tak próbował i nie wyszło!

- To wcale nie takie proste! Kiedy wykidajło rzucił policjantowi „cztery”, a on odpowiedział „dwa”, wykidajło go potraktował kopniakiem i wyrzucił. A wiesz, dlaczego?

- Nie - przyznała Julia.

- Ja też nie wiem - przyznał zmartwiony Rick. - Nie mogę sobie przypomnieć, dlaczego. Pamiętam tę historyjkę, ale nie pamiętam jedynej rzeczy, która jest nam potrzebna, rozwiązania!

Potem wykrzyczał tę historyjkę o policjancie przyjaciołom przez drzwi, w nadziei, że może chociaż im coś się przypomni.

- To prawda, kiedyś to słyszałam - przyznała Anita. - Wydaje mi się, że nawet miało to taki tytuł - „Hasło” czy też coś w tym rodzaju, ale...

Julia nagle jakby się ocknęła z letargu. - Ależ tak, jasne! - zaczęła coś liczyć na palcach. - Rick, powiedz Jasonowi - wychrypiła z trudem - żeby nastawił na sześć, pięć a potem... siedem!

- A dlaczego akurat siedem? - zapytał Rick.

- Dlatego, że liczby można zapisywać nie tylko cyframi! Również słowami! - odpowiedziała dziewczynka, cała rozpromieniona. Włoskie słowo „dodici” („dwanaście”) składa się z sześciu liter, „dieci” („dziesięć”) - z pięciu, a „quattro” („cztery”) - z siedmiu, nie zaś z dwóch!

- Jason! - krzyknął przez drzwi Rick. - Chyba rozwiązaliśmy zagadkę!

Po chwili posłyszeli powtarzające się tykanie, potem z metalicznym trzaskiem mechanizm się włączył.

I opancerzone drzwi stanęły otworem.

Rozdział 18

PLAN

Cztery postacie wymykały się cichaczem z posesji przy Humming Bird Alley po wypożyczeniu z szafki na buty dwóch par obuwia: zwykłych pantofli pani Edny i pary jej eleganckich półbutów wykończonych przy cholewkach białym futerkiem. Przypadły one biednemu Rickowi.

- Wyglądają raczej komicznie - rzucił z wątpliwą delikatnością Jason, rozdzielając kusze. Nie tracąc czasu na zbędne ustalenia, zaczęli się zgodnie wspinać na zbocze wzgórza Turtle Park w poszukiwaniu miejsca wystarczająco odosobnionego, by móc spokojnie pogadać. Przeskoczyli ceglany murek na szczycie szczególnie stromego wzniesienia i weszli do starego parku miejskiego.

Rozsiedli się na trawie w cieniu gałęzi, które splatały się ponad ich głowami, i od razu poczuli się bezpiecznie. Spokój starych drzew oplecionych bluszczem, szmer wiatru wśród listowia i wspaniałe kobierce ukwieconej łąki wpływały na nich kojąco.

Musieli ogarnąć natłok ostatnich wydarzeń.

Zaczęli rozmawiać. Na początku mówili pojedynczo, ale po chwili zaczęli się coraz głośniej przekrzykiwać, nieustannie sobie przerywając, tak że żadne nie mogło wypowiedzieć się do końca.

- Chwileczkę! Tak się nie da rozmawiać! - zaprotestowała w pewnym momencie Julia, próbując opanować ten chaos. - Od czego zaczniemy?

- Od pana doktora! - odpowiedział jako pierwszy Jason. - To on stoi za całą tą historią! I, o ile mi wiadomo, być może tylko my to odkryliśmy. Zachodzę w głowę, jakim cudem przywłaszczył je sobie - dodał, wskazując na pudełko z kluczami, które położył na trawie u swoich stóp. - I co zamierzał z nimi zrobić...

- Musimy uprzedzić Nestora - odezwał się Rick.

- No właśnie, Nestor. Gdzież on się podział? - zapytała Julia.

- To jest pierwsza sprawa do wyjaśnienia - powiedział Jason.

Nie było to łatwe zadanie, zważywszy, że nie mogli tak po prostu zatelefonować: linie telefoniczne były uszkodzone w większej części miasta.

- Ja radzę wrócić do Willi Argo - zaproponowała Julia.
- Nie zgadzam się - zaproponowała Anita. - Uważam, że lepiej byłoby zejść na dół, do miasteczka. Zbyt długo już nie mamy żadnych wiadomości o pozostałych. A poza tym plecak Nestora był w aptece Bowena, więc możliwe, że i on sam jest w Kilmore Cove. Chwilę posiedzieli w milczeniu. Istotnie, jedyną osobą, o której mieli pewne wiadomości, była mama Ricka, którą Anita z Jasonem widzieli w klinice. Pozostali jakby rozplynęli się w powietrzu, w tym także Podpalacze. Jason ułamał trzy gałązki i położył je przed sobą, używając ich dla zobrazowania ciągu zadań.
- Poszukać naszych. Zdemaskować Bowena. A dalej...?
- Rick wyciągnął z plecaka stos karteczek, które pozrywał z korkowej tablicy. Zabrał je wszystkie, tak na wszelki wypadek. Położył je teraz na pudełku z kluczami i przycisnął śnieżną, białą muszlą.
- Należałoby jeszcze rozpatrzeć i to... - wyjaśnił. - Jak już wam mówiliśmy, doktor Bowen wydaje się ostatnio najbardziej przejęty dwiema sprawami: Fredem Spiczu-wą, który jego zdaniem nie mógł mieć Pierwszego Klucza, i Agarthi, gdzie spodziewa się znaleźć odpowiedź na swoje pytania.
- Zapisał słowa „Agartha” i „tam szukać odpowiedzi” na co najmniej dziesięciu różnych karteczkach - dodała Julia, która, blada jak trup, była już całkiem wyczerpana. Spiczasta, kręcona muszla przechodziła z rąk do rąk.
- Zimna - zauważył Jason. Potem spojrzął na swoje palce: były wilgotne. Jakby zroszone. Jakby tajemnicza śnieżnobiała muszla powoli się rozpuszczała.
- Na jednej z karteczek jest napisane... - Rick zaczął je szybko przeglądać. - Ale gdzie ona się zapodziała? O, jest: Udając się do Agarthi, pamiętać o zabranii muszli ze śniegu. Spojrzeli na niego, milcząc. Wiedzieli, że Agartha jest Miejscem z Wyobraźni, do którego można dotrzeć przez Wrota Czasu. Miejscem, w którym żadne z nich nie postawiło stopy. W swoich notatkach Ulysses Moore odradzał podjęcie takiej podróży. Nieliczne wzmianki wspominały o strasznym klimacie, prawie całkowitym braku tlenu z powodu dużej wysokości, monotonii pejzażu z połączeniami zdradliwego śniegu, którego warstwy topią się w słońcu. Była też mowa o dziwnych legendach, opowiadanych przez na wpół zamarzniętych podróżników, o niesamowitych stworach ze śniegu i lodu, które nawoływały ich nocą gwizdem syren, i o miastach, które ukazywały się i znikwały w blasku słońca.
- Coś miał na myśli... - szepnął Jason, przeglądając notatki doktora Bowena.
- To na pewno. Ale co? - zapytała go siostra.
- Nie wiedzieli. Już samo znalezienie w domu Bowena wskazówek dotyczących Miejsc z Wyobraźni, Wrót Czasu i Pierwszego Klucza zmusiło ich do zrewidowania większości swoich dotychczasowych poglądów. Poczynając od założenia, że - jak do tej pory byli przekonani - tylko przyjaciele z grupy Wielkich Wakacji wiedzieli o istnieniu niezwykłych wrót.
- Kto jeszcze w miasteczku mógłby o tym wiedzieć? - dopytywał się Jason. - I przede wszystkim, jak to możliwe, żeby doktor Bowen wiedział o tym więcej od nas? Pozostała trójka patrzyła na niego. Trudno im przychodziło wyobrazić sobie lekarza i aptekarza, tak logicznego i racjonalnego, człowieka stąpającego twardo po ziemi, jak przekracza Wrota Czasu. Jason przypomniał sprawę napojów, których składniki ukryte w słojach z ziołami znaleźli wspólnie z Anitą w aptece. Czyż to nie był wystarczający dowód, że doktor Bowen przynajmniej raz przeszedł na... „drugą stronę”?
- Albo może ktoś mu je przyniósł? - zasugerował Rick.
- Ostatnie wydarzenia wzmagaly dodatkowo ich liczne wątpliwości. A było ich sporo.

- Proponuję, żebyśmy się rozdzielili - powiedziała na koniec Julia. - Któryś z nas musi zajrzeć do Willi Argo, żeby się upewnić, że Nestorowi nic się nie stało, i uprzedzić go o doktorze.

Rick przytaknął. -I odnieść klucze na miejsce.

- Moglibyście podjechać we dwoje na motorze - zaproponował Jason. - Rick, ty przecież potrafisz prowadzić, prawda?

Chłopiec o rudych włosach ponownie przytaknął. - A wy?

- Ja z Jasonem moglibyśmy zjechać do miasteczka -odpowiedziała Anita.

To wyglądało na dobry plan.

- A jeśli Nestora nie będzie w Willi Argo - odezwała się Julia - albo doktor was zaskoczy w mieście...

- ... to wtedy możemy zawsze skontaktować się za pośrednictwem tego - uprzedziła ją Anita, pokazując zeszyt Morice'a Moreau.

Jason pokrótce przedstawił plan najlepiej realizujący to, co uradzili: odwiozłby na motorze Anitę do miasteczka, żeby jak najprędzej zaczęła szukać swoich, potem wróciłby i przekazał motor Rickowi, żeby z Julią mogli dotrzeć do Willi Argo.

- A potem zbiegłbym sam na dół do miasta - zakończył. - Uważając, żeby nikt mnie nie zobaczył, zważywszy że... oficjalnie jestem jeszcze na szkolnej wycieczce!

Jason był zdecydowany i przekonujący. Jednak, kiedy się podnieśli z trawnika, nikt z pozostałej trójki nawet nie podejrzewał, co chłopiec z Londynu zamierzał naprawdę zrobić.

Rozdział 19 UCIECZKA

Jason Covenant przystanął na skraju placu w miasteczku, siedząc okrakiem na auguście 125. Stopy miał w błocie, dłonie zaciśnięte na kierownicy.

Dopiero co wysadził Anitę.

Wydawało się, że miasteczko powraca do normalności. Dzwony kościoła św. Jakuba przestały bić. Woda spływała w stronę zatoki coraz to węższymi strumykami, a mieszkańcy zaczęli się organizować, by oczyścić miasto z błota, alg, książkowej papki i innych śmieci. Plac i kościół stały się centrum spotkań, gdzie wszyscy mogli uzyskać potrzebną informację i zgłosić chęć pomocy przy pracy. Ojciec Feniks wymachiwał rękami, wydając polecenia. Ranni byli natychmiast odstawiani do kliniki.

Ale po doktorze Bowenie nie było ani śladu.

Jason rozejrzał się dokoła. W głowie tłoczyły mu się rozmaite myśli. Zadawał sobie po raz nie wiadomo który pytanie, czy jego ojciec jest cały i zdrowy, nawet jeśli go trochę uspokajała myśl, że mama z pewnością się nim zajęła. A Nestor? Gdzie on się podział? Co robiło pudełko z kluczami w jego plecaku i dlaczego trafiło w ręce doktora?

Zaklął pod nosem, patrząc znowu w stronę kościoła. Za wiele pytań bez odpowiedzi. I jeszcze tysiąc innych, o których nie miał nawet czasu pomyśleć.

„Co takiego wie Bowen, o czym my nie wiemy?”

Poczuł nagle, że musi coś pilnie zrobić. Wiedział, że Anita poszukuje swego ojca i innych. I wiedział, że nie może zrzucić wszystkiego na jej barki. Tommaso, Nestor, Black Wulkan, pan Bloom - wszyscy potrzebowali ich pomocy.

Ale do pomocy byli przecież jeszcze Rick i Julia.

Może było coś równie ważnego, o czym należało pomyśleć. Jeszcze inna tajemnica do odkrycia.

„Co takiego wie Bowen, o czym my nie wiemy?”

Jason westchnął ciężko pod ciężarem poczucia obowiązku. Zaciśnął dłonie na kierownicy.

Mimo wysiłku, nie mógł się opędzić od pewnych myśli.

Odpowiedzi. Potrzebował odpowiedzi.

Spytać w Agarthi..."

Zapalił motor i pomknął drogą, która wznosiła się ku Salton Cliff. Jeszcze kilka minut i przekaże motocykl Ric-kowi. A potem sam... wróci do Anity.

„Albo może nie?”

Właściwie wystarczyłoby mu kilka minut. No, może pół godzinki.

Najwyżej godzina.

Anita by zrozumiała. Inni też.

W gruncie rzeczy, nie opuściłby ich. Wyruszyłby na poszukiwanie odpowiedzi, których wszyscy potrzebowali.

Serce zaczęło mu bić coraz szybciej: zawsze tak było, kiedy mu przychodziło do głowy coś, co do czego nie był całkiem przekonany.

Zakręcił w pobliżu Humming Bird Alley i zatrzymał motocykl.

Jego siostra i Rick już po chwili byli przy nim.

Zsiadł. Zdjął kask i przekazał go chłopcu o rudych włosach, potem zsunął z ramienia kask Anity i podał go Julii. Pomógł siostrze wsiąść na motor. Przytrzymał jej plecak, podczas gdy najpierw Rick, a potem Julia sadowali się na siodło.

Następne czynności wykonał automatycznie, prawie bezwiednie. Wsunął szybko dłoń do plecaka siostry. Szperał w nim, mając twarz odwróconą ku morzu, żeby Julia i Rick niczego nie zauważyli.

Najpierw znalazł pudełko z kluczami. Otworzył je ukradkiem, wyciągnął jeden z kluczy, rozpoznając go po główce, po czym zamknął pudełko. Po omacku wyszukał jeszcze w plecaku drugą rzecz, którą postanowił wypożyczyć: była zimna jak śnieg.

- No to my jedziemy, Jasonie.

Jason się szybko odwrócił. Udał, że się potknął, kiedy ukrywał muszlę pod swetrem, a klucz w kieszeni dzinsów.

Podał Julii plecak, ale w ostatniej chwili przyszedł mu jeszcze do głowy pewien pomysł.

Kiedy podchodził do Julii, ponownie wsunął rękę do jej plecaka. I wymacał trzecią rzecz.

Niedużą. I bezcenną.

„To ich dopiero rozwścieczy” pomyślał, chwyciwszy w dłoń zeszyt Morice'a Moreau.

- Do zobaczenia - odezwał się, zakładając siostrze plecak, tak że Julia w ogóle niczego nie spostrzegła.

Rick obrócił głowę ku niemu i mrugnął. - Pierwszy, który coś odkryje, zwołuje pozostałych.

- Jasne - odpowiedział Jason, przygryzając usta.

Spojrzał na siostrę i Ricka, jak oddalali się szybko, machając mu jedną ręką. Wydawali się o wiele za mali na siodło tej starej przedpotopowej augusty. Zaledwie dzień wcześniej jeździli na rowerach! Julia rzeczywiście miała minę nieco wystraszoną, ale Jason wiedział, że jego siostra jest w dobrych rękach: Rick był chłopakiem bardzo odpowiedzialnym, z głową na karku. Nie jak on.

Postać chwilę wpatrzony w motocykl wspinający się pod górę wzdłuż wybrzeża.

Kiedy augusta znikła już za ostatnim zakrętem, pozostał sam.

Słońce akurat wychyliło się spoza chmur. Podmuch wiatru przywiał mu zapach świeżo upieczonego chleba dochodzący z piekarni i cukierni Chubbera, w dole, w miasteczku. Wydawało mu się, że doszły go też nawoływania: „Świeże ciastka dla wszystkich! Świeże ciastka dla wszystkich...!”.

Przypomniało mu się, że na tyłach cukierni kryły się Wrota Czasu. Pomyślał, że może i właściciele Chubbera wiedzą o nich? Może w ogóle wiedzą o tym wszyscy mieszkańcy Kilmore Cove. Tak jak doktor...

Myśl o tym, że może wszyscy w miasteczku to wiedzą i tylko udają, że nie wiedzą, aż nim wstrząsnęła, poczuł się tak, jakby otrzymał cios w twarz. Odpowiedzi. Potrzebował

odpowiedzi. Otworzył swój plecak, włożył do niego przedmioty, które podkradł siostrze. Potem, zamiast zbiec do Kilmore Cove, wspiał się ponownie na wzgórze w kierunku parku. - Wybaczcie mi, kochani - powiedział bardziej do samego siebie niż do kogokolwiek.

Rozdział 20 ZDRADA

Anita wyszła z kościoła i zobaczyła na niebie ciemnofio-letową warstwę chmur nadciągających nad miasteczko. Przysłoniła sobie oczy rękami. Słońce przeświecało silnie przez chmury, jakby chciało wykorzystać ostatni moment, zanim całkiem się skryje. Dziewczynka rozejrzała się wokół, ale mimo wyłożonej obserwacji otoczenia, Jasona nigdzie nie dostrzegła. Może się pospieszyła, a on jeszcze zbiegał w dół z parku koło posesji doktora. Właśnie, doktor. Wiele osób go szukało i nikt nie wiedział, gdzie się podział. O rannych troszczyła się głównie pani Pinklewire, lekarz weterynarii, przy pomocy swego młodego syna o krzywych zębach. Ale w zamieszaniu, jakie tu jeszcze panowało, przypuszczano, że doktor Bowen jest zajęty gdzieś indziej, gdzie go pilnie potrzebują. Anita weszła do kościoła, by dowiedzieć się czegoś o ojcu i o Tommim, bo to w kościele ludzie się spotykali i wymieniali informacjami. Ale chłopiec z Wenecji i pan Bloom nie pochodzili z Kilmore Cove, więc nikt nie wiedział, jak wyglądali i gdzie mogliby być, choć Anita starała się ich szczegółowo opisać. Dopiero kiedy zaczęła się dopytywać się o Blacka Wulkana, prawdopodobnie ostatnią osobę, która widziała jej ojca, uzyskała pierwszą odpowiedź.

Podobno Black został skierowany do kliniki kilka godzin wcześniej. Czuł się dobrze, mógł chodzić o własnych siłach.

I rzeczywiście, nie był sam.

Ta wiadomość wystarczyła, by Anicie powróciła nadzieja. I nie zajęło jej wiele czasu znalezienie odpowiedzi, jakiej szukała; klinika znajdowała się po drugiej stronie placu. W Kilmore Cove wszędzie można było dojść w kilka minut.

- Świeże ciastka! Świeże ciastka dla wszystkich! - dochodziło wołanie z cukierni Chubbera, gdzie zgromadziła się grupka chętnych.

W powietrzu roznosił się cudowny zapach świeżych drożdżówek, babeczek, croissantów i innych delicji o francuskich nazwach.

Anita przeszła przez plac już w lepszym humorze i pełna optymizmu. Gdyby się miała założyć, gdzie spotka Jasona, założyłaby się, że u Chubbera.

Tymczasem wcale nie.

Przeszła przed ludźmi zebranymi przed cukiernią, wróciła pod pomnik nieistniejącego króla Anglii, który stał pośrodku placu, i doszła na to samo miejsce, gdzie niedawno zsiadła z motocykla.

Tu też Jasona nie było.

„Można wiedzieć, gdzieś ty się podział, Covenant?”

Zastanawiała się, co powinna zrobić: czekać i nie ruszać się, czy udać się do kliniki bez Jasona?

W końcu zdecydowała się na klinikę i ruszyła w jej kierunku. Ale w tejże chwili zauważyła coś dziwnego: kilka kroków przed nią, na lekko zaschłym błocie pokrywającym bruk placu, był znak. Wyglądał jakby został zapisany butem.

Przyjrzała się uważniej i zobaczyła, że to litera, coś w rodzaju dużego „W”.

A obok dalsze znaki. Zbliżyła się i ze zdumieniem odkryła, że ktoś pozostawił prawdziwą wiadomość zapisaną na zaschłym błocie: /

WYBACZ MI, JEŚLI NIE WRÓCĘ

Przystanąła osłupiała przed tym napisem, jakby z trudem chwyciła sens zdania. Dlaczego Jason nie miałby powrócić? Czyż się nie umówili? I dokąd mógł pójść? Do Willi Argo z tamtymi?

I niby po co?

Potem, stopniowo przekonała samą siebie, że w gruncie rzeczy to nie takie ważne. Doznała tylko głębokiego zawodu. Myśl, że Jason ją opuścił, pozostawił samą, gdy ona szukała swego i jego ojca, zraniła ją głęboko, aż jej dech zaparło. »

- Jesteś egoistą... - wyszeptwała, zacierając ze złością napis na ziemi. - Ty i te twoje plany. Twoje pomysły. Twoje przygody!

Prawdą było, i to Anita zrozumiała już dawno, że Jason robił tylko to, co interesowało jego samego. Szedł za swoim instynktem. Chwilowymi pomysłami. Gwizdał na potrzeby innych. Także i przyjaciół.

- Musisz jeszcze dorosnąć, Covenant - mruknęła, kierując się ku klinice. - Bardziej, niż ci się zdaje.

Jej mama zawsze mówiła, że dopiero, kiedy przestaniesz myśleć o tym, czego sam chcesz, a zdasz sobie sprawę, czego chcą inni, dopiero wtedy stajesz się dorosły. To coś całkiem innego niż plany, tajemnice, sekrety i przygody!

- Ja ciebie potrzebowałam...

Zastanawiała się, czy powinna uprzedzić Ricka i Julię, nawet jeśli być może Jason jest z nimi. Albo zrobić jak on i gwizdać sobie na pozostałych? Tak dumając, weszła do kliniki.

Zobaczyła łóżka polowe z rannymi ustawione w sali przyjęć. Zobaczyła osoby krzątające się i krążące od łóżka do łóżka, by pocieszyć leżących. Zobaczyła pannę Biggles, jak szła przez salę, ciągnąc za sobą stojak z kroplówką.

Była potrzebna tu.

Nie do rozstrzygnięcia jakichś tajemnic. I w jednej chwili zapomniała o Jasonie Covenant.

Anita dokonała szybkiego obchodu między łóżkami w poszukiwaniu znajomej twarzy. Cindy spała. Kilka innych osób, z którymi się już spotkała w miasteczku, nie mogło udzielić jej żadnej wiadomości ani o ojcu, ani o Blacku czy Tommie.

Przy okazji swych poszukiwań, zaoferowała się z pomocą. Nosila tacę z herbatą z jednego końca pomieszczenia na drugi, potem karton z butlami z płynem fizjologicznym. Pomogła pewnej starej kobiecie usiąść na fotelu na kółkach, inną zaprowadziła do toalety.

W końcu natrafiła na mamę Ricka Banner. Ta powiedziała jej, że widziała zarówno Blacka, jak i pana, który mu towarzyszył.

- A pamięta pani, gdzie pani ich widziała? - spytała Anita głosem drżącym z niepokoju.

Mama Ricka wsunęła sobie sterczący kosmyk włosów za ucho, głęboko westchnęła i próbowała sobie to przypomnieć. Wyglądała na bardzo zmęczoną.

- Byli z doktorem - powiedziała po dłuższej chwili, podczas której Anita wstrzymała oddech.

- Ale wszyscy byli zdrowi, tego jestem pewna. Rozmawiali. Spacerowali. Potem, jeśli się nie mylę... doktor poszedł na piętro, tymi schodami, i... już ich więcej nie widziałam.

Anita jej podziękowała i poszła napełnić termosy gorącą herbatą (termosy stały pod posterem, który przedstawiał najpospolitsze choroby psów i kotów). Następnie weszła po schodach zgodnie ze wskazówkami mamy Ricka.

Znalazła się w korytarzu biurowym. Bez światła elektrycznego, przy niebie prawie całkowicie zachmurzonym, panował tu zupełny mrok. Światła dziennego, które wpadało tu przez okna, nieustannie i szybko ubywało.

Nie zobaczyła nikogo.

Zajrzała do różnych pokoi przez duże szyby w drzwiach. Mały stół do operacji. Półki z lekami. Poster z koźmi. Różne rasy krów Zjednoczonego Królestwa.

Anita przełknęła ślinę. Na dworze słońce znikło za ogromną burzową chmurą i w korytarzu zapadła ciemność. Z dołu dochodziły głosy ludzi zajmujących się chorymi i jęki rannych. Anita obejrzała się, jakby czuła, że ktoś skrada się za nią. Wydało jej się też, że zobaczyła ruchomy cień w półmroku.

Ale nie było nikogo.

Korytarz był pusty.

I właśnie się kończył.

Pozostały jej już tylko do sprawdzenia jedne jedyne drzwi z tabliczką z napisem:

ARCHIWUM.

Anita westchnęła.

Kolejny fałszywy trop. Żadnego śladu Blacka ani jej ojca czy doktora. Pani Banner najwyraźniej się pomyliła.

Podeszła jednak do drzwi archiwum i spróbowała je otworzyć: zamknięte. Próbowała pokręcić gałką klamki kilka razy: bez rezultatu. I już odwróciła się, by odejść z powrotem...
... kiedy coś ją zatrzymało, mroząc krew w żyłach.

Była pewna, że usłyszała jakiś jęk. Jakaś cichą skargę.

I wydawało się, że dochodzi z za tych właśnie drzwi.

Poczuła ciarki na karku i dziwny chłód na całym ciele, aż zjeżyły się jej włoski, na skórze.

Podeszła bliżej drzwi, żeby lepiej słyszeć i ponownie poruszyła klamkę.

Pchnęła lekko drzwi w przód i w tył, jakby nie wiedziała, że są zamknięte na klucz.

Światło wpadające przez okna znowu było trochę jaśniejsze.

Anita zaczęła nasłuchiwać. Gwar dochodzący z dołu nasilił się jeszcze. Poza tym nic. Cisza.

Pomyliła się. Zmęczenie i napięcie sprawiały jej dziwne figle.

Ale kiedy się właśnie odwracała, żeby odejść, ktoś znowu zajęczał: - MMMMMMMM...

I tym razem Anita była już całkiem pewna, że jęk dochodził z za drzwi archiwum.

- Jest tam kto...? - szepnęła przybliżając usta do dziurki od klucza.

Rozdział 21

DOM, KTÓRY ŻYJE

Trzej Flintowie, pokonawszy ostatni zakręt przy podejściu na Salton Cliff, ujrzeli przed sobą wieżyczkę Willi Argo na tle ciemnego i groźnego nieba. Brama do parku wokół Willi była otwarta, ale wzbudzała jakiś nieokreślony lęk. Po prawej stronie widzieli morze, wzburzone i jasne. Po stronie przeciwnej biegła dalej droga wspinająca się pośród zieleni w głąb Kornwalii. Jedyne dźwięki, jakie się tu rozlegały, to był szum fal rozbijających się o skały, piskliwe pokrzykiwania mew i odległy warkot motocykla.

- Co za miejsce! - wykrzyknął wielki Flint. - Nigdy tu jeszcze nie dotarliśmy!

Mały Flint zmierzył go gniewnym spojrzeniem. - Co ty wygadujesz? Byliśmy tu wczoraj!

- Właśnie - powtórzył trzeci kuzyn. - Dokładnie wczoraj! Jak możesz tego nie pamiętać?

Chłopak zamrugnął powiekami, szczerze przejęty. - Nieprawda!

- Twój kuzyn ukradł klucze! - prawie krzyknął zdenerwowany mały Flint. - A ty zszedłeś z urwiska, by ukraść łódź!

Wielki Flint podrapał się w głowę. - Tak, ale wczoraj... była już noc - bronił się. - Jak mogę rozpoznać, że to jest to samo miejsce?

- A jak sądzisz, ile takich Willi jest w Kilmore Cove?

- No, ile? - powtórzył średni Flint.

Nie czekając na jego odpowiedź (bo wielki Flint, wpatrzony nieruchomo w dal, zaczął liczyć coś bliżej nieokreślonego), mały Flint zwawo przekroczył otwartą bramę Willi Argo. W parku

jednak zwolnił i zaczął posuwać się bardzo ostrożnie. Było tu w powietrzu coś, co kazało mu mieć się na baczności. Jakby ktoś, ukryty wśród gałęzi starych drzew, szpiegował go. Podniósł wzrok. Przebiegł prędko spojrzeniem, od prawej do lewej. I był prawie pewien, że dostrzegł jakiś ruch... Wąski cień, jakby kogoś z długą laską w ręku, poruszającego się między liściastymi gałęziami. Kiedy jednak podszedł bliżej, żeby to sprawdzić, nie zobaczył niczego poza pnem wielkiego drzewa i zielonymi gałęziami poruszającymi się na wietrze. Mały Flint przeniósł spojrzenie z gałęzi na dach starego domostwa, a w końcu na wieżyczkę. Miał wyraźne poczucie zagrożenia. Jakby ten dom był czymś w rodzaju ranionego zwierzęcia gotowego do obrony zębami i pazurami.

Jedna z okiennic trzasnęła głucho, aż chłopak podskoczył. Niebo pomiędzy gałęziami pociemniało, przybierając mało zachęcający kolor tablicy szkolnej.

Mały Flint zadrzał i spróbował zorientować się, w jakim miejscu parku się znajduje.

Dostrzegł swoich kuzynów dosyć daleko, po drugiej stronie domu, i w tym momencie dotarło do niego, że obszedł już park dookoła, okrążając zygzakiem całą willę.

To było coś doprawdy zdumiewającego, zważywszy że tego zupełnie nie zauważył. Było tak, jak gdyby skrzyżowania alejek parkowych same „ruszyły” z miejsca, żeby odsunąć go jak najdalej od bramy wjazdowej.

Nagle zdał sobie sprawę z tego, że znajduje się w gęstej plamie cienia, niedaleko od składziku na narzędzia, częściowo ukrytego w gęsto porastającym go bluszczu.

Podszedł bliżej, żeby zajrzeć do środka przez okienko: w ciasnej i mrocznej przestrzeni stały koło siebie grabie, miotły, szczotki i duża taczka. Ale nie było nikogo, kto mógłby go obserwować. Posłyszał jak za nim zatrzeszczała gałąź, poruszyły się liście... Odwrócił się gwałtownie i wydało mu się, że znowu dostrzegł czyjś ruch.

Znowu ten sam obraz: długa ciemna laska (parasol?), która gdzieś znikła, połknięta przez zieleń.

Potem zza domu wyszedł jakiś mężczyzna w czarnym poszarpanym ubraniu: był to jeden z braci Nożyców.

Mały Flint zamachał ręką na powitanie. Może to tylko... jego widział?

Blondyn odmachnął mu i oznajmił komuś, kogo mały Flint nie mógł widzieć: - Chłopcy przyszli!

Weranda przed kuchnią Willi Argo była pogrążona w głębokiej i smętnej ciszy. Widoczna stąd wieżyczka rzucała długi cień, biegnący niczym południk ku bramie, jakby wskazując jedyne wyjście. Poza nią zatoka i Kilmore Cove w oddali, wydawały się nieomal nierealne, widziane poprzez stuletnie i nieco widmowe drzewa w parku.

Samochód doktora Bowena stał zaparkowany przed domkiem ogrodnika. Nie było porównania między nim a wspaniałym astonem martinem braci Nożyców. To było pospolite auto, takie jak na zakupy, niemieckie auto w kolorze kawy z mlekiem, wyprodukowane jeszcze przed upadkiem muru berlińskiego. Doktor próbował się dostać do mieszkania Nestora, podczas gdy Mariusz „Malariusz” Wojnicz, z rękami założonymi do tyłu, stał zatopiony w kontemplacji samej willi.

Kiedy trzej Flintowie doszli do nich, doktor Bowen spojrzał badawczo na kuzynów: - O, dobrze! - odezwał się. - Zjawiła się nasza „siła robocza” - stwierdził z zadowoleniem. - Dalej, spróbujmy to zrobić raz-dwa!

- Dokładnie... co mamy zrobić? - zapytał naiwnie średni Flint.

- Właśnie - mruknął doktor, dając gwałtownie kopniaka w drzwi domku Nestora, które jednak wcale się od tego nie otworzyły. - Od czego pan, doktorze Wojnicz, proponuje zacząć? Wojnicz obrócił się w jego stronę, unosząc brew. Po czym, nie odezwawszy się ani słowem, powrócił do obserwacji domu.

Mały Flint wzruszył ramionami i już miał podejść bliżej willi, ale coś mu w tym przeszkodziło. Coś nieuchwytnego, co kryło się w mroku za oknami.

Wpatrywał się długo w otwarte drzwi wejściowe. Przez chwilę spodziewał się, że zza tych drzwi usłyszy niski głos, rozkazujący mu, żeby się wynosił. Na samą myśl o tym przeszedł mu dreszcz po krzyżu.

Potem zdarzyło się coś naprawdę: drzwi zatrzasnęły się nagle, jakby od nieprzewidzianego podmuchu. Mały Flint uskoczył do tyłu. Był prawie pewien, że widział, jak coś się poruszyło w mroku Willi Argo: ta sama widmowa postać z długą ciemną laską bardzo podobną do parasola...

Od morza podniósł się wiatr, jakby przygnany jakąś niewidzialną siłą, i zatrzasnął jednocześnie wszystkie okna na pierwszym piętrze willi. •

Willa Argo „zamknęła się” niczym żółw we własnej skorupie.

Dom żył! Ktoś lub coś w nim mieszkało!

A oni nie byli tu mile widziani.

Rozdział 22

STARA ŚCIEŻKA

W szarym świetle późnego popołudnia Turtle Park wzdychał cichutko jak cierpliwy majordomus, podejmujący jedyne gościa w porze herbaty. Pnącza bluszczu, porastające stuletnie drzewa tak gęsto, że aż je dławily, i całe tkaniny z lian, przypominające zakurzone peleryny, kołysały się delikatnie na wietrze wiejącym od morza.

Jason wyobraził sobie, że znajduje się w staroświeckim salonie, gdzie zamiast cennych, już wytartych brokatów, są gałęzie i liście, a miejsce zaproszonych na tradycyjną filizankę herbaty gości, zajmują pnie uschniętych i ze-sztywniałych od starości drzew.

Chłopiec wspiął się ścieżką wiodącą na wzgórze, torując sobie z trudem drogę między bujnymi krzakami wrzосу, jakim pozarastały tu wszystkie przejścia. Minął wyschniętą już fontannę, zostawił po lewej stronie metalową konstrukcję przeszklonej • oranżerii, też już nieczynnej, która swego czasu gościła różnobarwne, mocno pachnące rośliny tropikalne, i wszedł w aleję wśród pinii.

Tu i tam na ciemnych pniach lśniły prostokątne blaszki: dawniej, zanim wszystko porosły chwasty, każde drzewo w parku miało tabliczkę ze swoją nazwą.

Na skrzyżowaniach ścieżek spod gęstej zasłony pnączy wystawały resztki posągów trudne do rozszyfrowania: tytani i starożytne bóstwa opiekuńcze rozstajnych dróg o obliczach zniszczonych przez sól i wiatr. Były też uskrzydłone konie, psy o kilku łbach, feniksy i inne mitologiczne stworzenia.

Park pobrzmiwał echem śmiechu i gwaru dawno minionych gości. Był nieczynny od wielu lat, jeszcze zanim tu się pojawił Ulysses Moore, kiedy odkryto groty. Mówiono, że całe posągi i może też jakieś ławki, zapadły się z dnia na dzień pod ziemię, połknięte przez ruchome podłoże wzgórza. Cały park założono na niekończącej się sieci podziemnych tuneli. To właśnie tam, z dala od oczu dorosłych, zbierała się grupa młodzieży w czasie Wielkich Wakacji. I to właśnie od tego parku Ulysses Moore z przyjaciółmi rozpoczął odkrywanie podziemi Kilmore Cove w poszukiwaniu tropów różnych zdarzeń.

W pewnym sensie zatem było całkiem logiczne, że punktem wyjścia dla wyjaśnienia ostatniej tajemnicy było to właśnie miejsce. Wrota Czasu prowadzące do Agarthi. Wrota, które otwierał tylko klucz ze smokiem.

Jason nigdy tu nie był, ale wiedział doskonale, jak tam dotrzeć. Wyjaśnił mu to kiedyś Black Wulkan, a jeszcze dokładniejsze wskazówki chłopiec znalazł w notatkach Ulyssesa Moore'a. Starając się nie myśleć o Anicie, Ricku i własnej siostrze, minął pomnik z trzema żółwiami, symbolicznym podpisem budowniczych wrót, i wszedł na ścieżkę wśród roślin o szerokich lancetowatych liściach w kolorze płomiennej czerwieni. Brzęczenie owadów krążących mu

wokół twarzy stawało się niemal ogłuszające. Światło padające spomiędzy chmur malowało na roślinach złociste plamy.

Jason utorował sobie przejście między gałęziami i doszedł do małej cienistej polany otoczonej wieńcem cyprysów, niczym kręgiem kapłanów.

Pośrodku polany znajdował się niski budynek w kształcie głowy, całkiem niewidoczny dla kogoś nieznające-go prowadzącej tu ścieżki. Zamiast zwykłej fasady miał monstrualną pomarszczoną twarz, trochę satyra, trochę demona, z wybałuszonymi oczami i gębą otwartą już na wieki jak do krzyku (albo do ziewania). To dziwaczne oblicze na polanie łagodziły trochę mchy i porosty, a zasłaniały gęsto splecione, boleśnie kłujące, cierniste krzewy.

Jason zbliżył się do otwartej gęby. Broniły do niej dostępu zwarte gęste krzaki, które z czasem rozrosły się tak, że utworzyły gąszcz niemal nie do przebycia. Chłopiec pokaleczył sobie ręce, usiłując się przez nie przedostać.

W końcu, po licznych próbach, utorował sobie przejście dostatecznie szerokie, by wejść do środka.

W głębi otwartej gęby znajdowały się niewidoczne z zewnątrz stare drewniane drzwi, których zarysy zaledwie można było w cieniu rozróżnić.

Jason podszedł do nich i zobaczył, że zostały zbudowane z solidnego drewna, starannie dopasowane i pokryte wyrytymi na nich tajemnymi symbolami: jednaście kręgów połączonych ze sobą siecią linii - korytarzy.

Widział już takie same znaki gdzie indziej: na niewykończonych drzwiach w Arkadii. Nie miał pojęcia, jak można by dokończyć budowę tych wrót, ale zamierzał to odkryć. Wszystko, co wiedział, albo co sądził, że o nich wie, to to, że Wrota Czasu są właściwie niezniszczalne: ich zawiasy oparłyby się atakowi nosorożca, a drewno wytrzymałoby każdy pożar.

Zamek, kuty z nieznanego metalu, lśnił groźnie. Otwór w nim, nieregularny, ciemny i głęboki, dawał dostęp do niesamowitego mechanizmu otwierającego wrota.

Jedynym kluczem zdolnym ten mechanizm uruchomić, poza uniwersalnym wytrychem, jakim był Pierwszy Klucz, był ten, który Jason Covenant ścisnął w wyciągniętej przed siebie dłoni. Klucz ze smokiem.

Jason długo ważył go w ręce, zanim zbliżył do zamka. Pomyślał o tym, co zapisał w swoich notatkach doktor Bowen i o tym, że za tymi drzwiami można znaleźć odpowiedź na każde pytanie.

Po raz ostatni obejrzał się na park.

Polana, widziana od strony otwartej gęby, otoczona wieńcem cyprysów, miała w sobie coś żalobnego. Cementarne drzewa nadały temu miejscu klimat melancholii. Złote pyłki przywoływały dawno minione czasy, legendarny złoty wiek, kiedy to drzewa rodziły złote jabłka, a rzeki płynęły miodem.

Oczywiście, Miejsce z Wyobraźni. Jak tyle innych.

Jason, nie ociągając się dłużej, wsunął klucz ze smokiem w zamek drzwi w Turtle Parku.

Mechanizm zadziałał doskonale z cichym kliknięciem.

Pchnął drzwi.

I wszedł.

Znalazł się w wilgotnym przejściu o nieregularnych ścianach. Była to niewielka grota, lekko nachylona ku górze, w której głębokim mroku słychać było nieustanne kapanie.

Jedynym kluczem zdolnym ten mechanizm uruchomić, poza uniwersalnym wytrychem, jakim był Pierwszy Klucz, był ten, który Jason Covenant ścisnął w wyciągniętej przed siebie dłoni. Klucz ze smokiem.

Jason długo ważył go w ręce, zanim zbliżył do zamka. Pomyślał o tym, co zapisał w swoich notatkach doktor Bowen i o tym, że za tymi drzwiami można znaleźć odpowiedź na każde pytanie.

Po raz ostatni obejrzał się na park.

Polana, widziana od strony otwartej gęby, otoczona wieńcem cyprysów, miała w sobie coś żalobnego. Cementarne drzewa nadały temu miejscu klimat melancholii. Złote pyłki przywoływały dawno minione czasy, legendarny złoty wiek, kiedy to drzewa rodziły złote jabłka, a rzeki płynęły miodem.

Oczywiście, Miejsce z Wyobraźni. Jak tyle innych.

Jason, nie ociągając się dłużej, wsunął klucz ze smokiem w zamek drzwi w Turtle Parku.

Mechanizm zadziałał doskonale z cichym kliknięciem.

Pchnął drzwi.

Pierwsze, co chłopca uderzyło, to zimno. Przenikliwe, wysokogórskie zimno.

Jason nie wiedział, czego się ma spodziewać, posuwał się więc bardzo ostrożnie, dopóki nie zobaczył przed sobą, za wylotem łuku skalnego sklepienia, wąskiej górskiej doliny.

Przebiegł z duszą na ramieniu ostatnie metry do wyjścia z grotty i przystanął oniemiały na widok krajobrazu, jaki mu się ukazał: w oddali szczyty gór pokryte śniegiem, a bliżej małe jezioro otoczone kamieniami lśniącymi od miki. Tuż za jeziorem wznosiła się stroma ściana skalna, która wydawała się sięgać nieba, rozkrojona na dwie części przez wąski kanion, którym płynął szumiący radośnie strumień.

W kanionie przysiadł mały kamienny domek, na którym powiewały jakieś białe chorągiewki, szarpane przez wiatr.

Chłopiec natychmiast skierował się ku tej budowli, jedyne go znaku obecności ludzkiej w tej nieprzystępnej dolinie, i już po chwili stał zadyszany przed drzwiami, rozcierając ręce.

Zastukał.

Przesuwając ręką po włosach Jason odkrył, że są zlepione nad czołem: powietrze było nasycone lodowatą parą wodną, unoszącą się wszędzie wokół.

Zaczekał, aż ktoś mu odpowie, zastukał ponownie, po czym spróbował drzwi otworzyć.

Ustały.

Wewnątrz było pusto, jeśli nie liczyć skromnego legowiska i maleńkiego ołtarzyka. Od ołtarza spływała kaskada zakrzepniętego wosku, rezultat tysięcy świec płonących tu w ciągu wielu lat. Wosk uformował zastygłą rzekę sięgającą podłogi. Wprost na ścianie ktoś wymalował postać mężczyzny siedzącego ze skrzyżowanymi nogami. Nieuszkodzone malowidło ukazywało oblicze ludzkie z niezmaconym spokojem kontemplujące to ubogie wnętrze.

Legowisko było twarde i zimne.

Musiały upłynąć lata całe, odkąd powstała tu czyjaś noga. Wewnątrz nie było niczego, co mogłoby się do czegoś przydać. Jason nie tracił czasu.

Wyszedł z powrotem na dwór, skulił się z zimna i ru-szył przed siebie w głąb kanionu.

W najszerszym miejscu kanion miał około dziesięciu metrów szerokości. Panował tu głęboki cień, rozproszony jedynie jasnym pasmem niebieskiego nieba, dziesiątki metrów nad głową. Od płynącego środkiem strumienia niosła się lodowata wilgoć, a w miarę jak Jason posuwał się w głąb kanionu, szum wody się nasilał, aż przeszedł w huk podobny do ryku przelatującego samolotu.

Chłopiec przeszedł tak kilkaset metrów. Chwilami oba brzegi potężnej szczeliny zbliżały się do siebie, het w gÓrze, tak że wydawało się, iż się ze sobą stykają. Ściany po bokach kanionu były gładkie i lśniące. Od czasu do czasu Jason dostrzegał nisze wydrążone w skale. Jakąś statuę. Szczątki ogni ofiarnych. Ślady po roztopionym wosku świec. Białe napisy wykonane kredą w jakimś niezrozumiałym języku.

To niegościnne miejsce musiało być kiedyś jakimś sanktuarium.

Posuwał się ostrożnie między kamieniami, a ubranie miał wilgotne i pokryte kroplami lodowatej wody. Ręce mu drżały, zimny pot zalewał oczy. W miarę jak szedł, powietrze stawało się coraz rzadsze i Jason zaczynał mieć trudności z oddychaniem. Musiał brać

podwójne wdechy, żeby zapewnić sobie dostateczną ilość tlenu, i miał wrażenie, że zamiast iść, powłóczy nogami.

Przy próbie podbiegnięcia, natychmiast doznawał zawrotów głowy.

Po kolejnych trzystu metrach w górę kanionu, zaczął dostrzegać białe odbłaski na pionowych ścianach skalnych. Nie rozumiejąc, co by to mogło być, pomyślał, że uległ złudzeniu i nie dawało mu to spokoju aż do momentu, kiedy droga gwałtownie się urwała.

Dotarł do czegoś w rodzaju lodowcowego amfiteatru. Ogromnej gładkiej muszli, białej i lśniącej. Wieczne śniegi lśniły oślepiająco w słońcu, aż łzy napłynęły do oczu chłopca, przyzwyczajonych do półmroku kanionu.

Dalej już drogi nie było.

Ściany tej kolosalnej bariery lodowcowej topniały, spływając mnóstwem małych strumyków, które następnie wpadały do potoku przemykającego wśród skał. Jakieś ścieżki pięły się śmiało wśród śniegu, ale trochę wyżej wszystkie nagle się urywały. Widok był majestatyczny i zarazem straszny.

Kiedy usiłował wspiąć się na podstawę lodowca co najmniej pięć razy wyższą od niego, kopnął niechcący kamień, który się potoczył, spychając następne i hałas małej lawiny odbił się dziesięciokrotnie od ścian amfiteatru.

Krzyknął: - Hej!

I natychmiast jego głos powrócił, powtórzony przez echo ze sto razy.

Jiej! Hej! Hej! Hej! Hej!"

Dopóki nie przestał odbijać się od lodowca i nie ucichł całkiem.

- Jest tu kto? - zawołał wtedy. - Słyszycie mnie? Szukam was! Jesteście tu? - A echo odpowiedziało mu tym samym pytaniem:

„Słyszycie... słyszycie... mnie... mnie... szukam... szukam... eście... eście...”

Wykonał jeszcze jedną próbę. Potem zmęczony usiadł na śliskim kamieniu wystającym z zamarniętego śniegu. Spojrzał uważnie na rozpadliny biegnące przez całą wysokość lodowca, tak ogromne, że mogłyby połknąć pociąg.

Zobaczył, albo wydało mu się, że zobaczył, ślady czyjejs wspinaczki pozostawione na lodzie. Porzucone haki i linki. Siady czekana. Stopnie.

Czyżby leżało tam zamarnięte ciało alpinisty? Jason potrząsnął głową i obraz zniknął.

Ciąg regularnych otworów. Schodki. Przejścia. Ile osób straciło rozum, a może i życie, usiłując wejść na ten lodowiec? Może próbowali tego nawet przyjaciele z grupy Wielkich Wakacji? Co napisał Ulysses Moore w swoich dziennikach? Piekielne miejsce, tak zimne, że sztywnieje twarz.

Jason dotknął zmarzniętych policzków i zdał sobie sprawę, że ich prawie nie czuje.

Czy powinien zawrócić? Może to nie była dobra droga? Może to tylko jakaś mistyfikacja?

Kolejne oszustwo ze strony doktora Bowena...

Na myśl o tym wyciągnął z plecaka śnieżnobiałą podłużną muszlę, którą Rick z Julią znaleźli w lodówce w piwnicy doktora. Potrzymał ją w ręce przed sobą, wpatrując się w nią długo i z uwagą: pomyślał, że przypomina mały róg obfitości. Kręcony róg z masy perłowej, śnieżnobiały, aż się prosił, żeby weń dmuchnąć.

„To szaleństwo” pomyślał, unosząc muszlę do ust. Z trudem zacisnął na niej skostniałe z zimna palce.

„Ostatecznie nic nie kosztuje spróbować.”

I dmuchnął.

Muszla wydała cichy świst, który jednak, odbity przez ściany lodowca, zamienił się natychmiast w skargę, a potem w coś w rodzaju nawoływania. Echo nałożyło swoje tony, jak coraz to bogatsze, rozbudowujące melodię akordy.

Jason przerwał dla nabrania tchu, po czym dmuchnął mocniej w muszlę, zanim jeszcze echo ucichło. Przez chwilę było tak, jakby w amfiteatrze u stóp lodowca orkiestra wykonała koncert oddechów.

Po wyczerpaniu skromnego zapasu powietrza, jaki miał w płucach, chłopiec długo nasłuchiwał jęklivych dźwięków śnieżnej muszli, które ginęły w lodowatym wietrze. Kiedy zapadła cisza, poczuł się bardzo zawiedziony.

Dmuchał raz jeszcze.

I potem znowu.

Ale nic się nie wydarzyło. Tak więc, pomału i z uczuciem głębokiego rozczarowania, zawrócił po własnych śladach.

Dał się nabrać i zachował jak skończony głupiec. Może to nie był czas ani sposób na wyjaśnianie tajemnic Kilmore Cove. Były inne sprawy na pierwszym miejscu. Ważniejsze sprawy do przemyślenia wspólnie z przyjaciółmi.

Zaczął wędrować między kamieniami, uderzając się rękami o boki dla rozgrzewki.

Klik, klik, klik.

Za plecami posłyszał jakiś ledwo uchwytny dźwięk, jakby mały owad z metalu stapał po skale. Czy to mu się przywidziało? Klik, klik, klik. Znowu! Skąd ten dźwięk?

Obejrzał się. I zauważył dziwaczny obiekt pędzący po lodzie wprost ku niemu. Przypominał pająka, tyle że był o wiele większy, coś w rodzaju balkonika z kutego żelaza, poruszającego się po lodzie na zastrzonych nóżkach jak na rakach.

Pojazd zsuwał się z góry wzdłuż szczelin. I nie był pusty. Na jego lśniącej metalowej platformie stał człowiek.

Miał na sobie gęste futro z kapturem, a na pierś spływała mu bardzo długa biała broda.

Jason, oniemiały z wrażenia, wpatrywał się w milczeniu w coraz to bliższy pojazd i jego nieznanego kierowcę.

A ten, kiedy już znalazł się kilka metrów od chłopca, stojąc ciągle w tym dziwnym powozie, zapytał: - Nie uprzedzili cię, że trzeba się ciepło ubrać? Tu w górach jest zimno! - i rzucił mu pelerynę na futrze.

Zaczekał, aż Jason, drżący z zimna, pochwyci ją i owinie wokół siebie. Potem zadał następne pytanie:

- Mogę poznać twoje imię i powód, dla którego mnie wezwałeś?

- Nazywam się Jason... Covenant - odparł chłopiec z wahaniem. - I nie bardzo potrafię wyjaśnić powód, dla którego cię wezwałem.

Mężczyzna się uśmiechnął, a w każdym razie tak się Jasonowi zdawało: twarz i oczy brodacza bowiem krył prawie całkowicie futrzany kaptur. - Bardzo dobrze. W każdym razie wezwałeś mnie i zjechałem aż tutaj.

- Przykro mi - tłumaczył się chłopiec. - Ja jestem... tylko podróżnikiem poszukującym... odpowiedzi.

- I pomyślałeś, że je odnajdziesz tutaj - zakończył mężczyzna, przechylając się do przodu i powiewając długą brodą. - To normalne. Teraz wszystko jest dla mnie jasne.

Kiedy chłopiec zastanawiał się jeszcze, kim jest ten dziwny starzec i o czym mówi, mężczyzna otworzył bramkę pojazdu. - Szkoda tracić czas. Wsiadasz?

Jason uznał, że nie czas wydziwiać i wszedł na metalowy stopień. Potem czekał, aż mechanizm się znowu uruchomi.

- Hej! - krzyknął, gdy nóżki pojazdu zaczęły się poruszać.

Chwycił mocno za żelazną poręcz i usiadł.

- Tu nie wolno cierpieć na zawroty głowy! - odezwał się towarzyszący mu tajemniczy jegomość.

Im wyżej podjeżdżali, tym płytszy stawał się oddech Jasona i tym dotkliwsze zimno, mimo płaszcza. Dokąd zmierzali?

- Jak na podróżnika, który chce stawiać pytania, jesteś osobą milczącą, Jasonie Covenant - odezwał się mężczyzna mniej więcej w połowie wzniesienia. Chłopiec się uśmiechnął. - W gruncie rzeczy mam tyle pytań, że nie wiem, od czego zacząć. Nieznajomy brodacz odchylił nieco kaptur, zwracając się do Jasona. Chłopiec zdążył dostrzec dwoje ciemnych, błyszczących oczu o wykroju migdałów i błysk lśniących w uśmiechu białych zębów.
- Cóż, dobrze jest mieć wiele pytań, kiedy się przybyło do miejsca, w którym można znaleźć odpowiedź na każde. Nie uważasz?
- Jason nie wiedział, co powiedzieć. - A jak ty się nazywasz? - zapytał po prostu.
- Zanim po ciebie wyjechałem, wiedziałem - odpowiedział mężczyzna.
- A teraz?
- Zapomniałem. - Nieznajomy pogładził się po brodzie, lekko ją szarpiąc. - Jak to się zdarza nam wszystkim, kiedy opuszczamy Agarthi.

Rozdział 23 WIĘŹNIOWIE

- Po wielu wysiłkach Anicie udało się w końcu sforsować drzwi archiwum, używając jako tarana małego biurka, jakie znalazła w jednym z pokoi w korytarzu na pierwszym piętrze kliniki Pinklewire.
- Weszła do ciemnego pokoju, gdzie stały koło siebie trzy polowe łóżka. Ze ściśniętym sercem zobaczyła, że na każdym ktoś leży. To byli Nestor, Black i...
- Tato! - krzyknęła i podbiegła do niego.
 - Pan Bloom miał otwarte oczy, ale nie miał siły, aby się ruszać. Miał też knebel na ustach, a kiedy Anita mu go zdjęła, lekko się uśmiechnął.
 - Moja malutka... - wyszeptał ledwo słyszalnym głosem. _____j 189 ł_____
 - Tato! - powtórzyła dziewczynka, czując drżenie w kolanach i załamujący się głos. - Tato! Co ci się stało? Co ci zrobili?
 - Pan Bloom wolno pokręcił głową. Leżał na łóżku w ubraniu. Jego ubranie było mokre i brudne, oblepione algami i zabłocone.
 - Nie... pamiętam... - szepnął z ogromnym wysiłkiem, cedząc słowa. - Byliśmy... siedzieliśmy... w gospodzie, kiedy...
 - Był tam doktor Bowen? - zapytała Anita, nie mogąc się doczekać, aż jej ojciec dokończy zdanie.
 - Dziewczynka przeniosła wzrok na potężne ciało Blacka Wulkanu, który pochrapywał na łóżku obok jej ojca. Potem na chudą postać Nestora, śpiącego na dalszym łóżku. To nie mógł być przypadek, że akurat oni trzej znajdowali się tu zamknięci, oddzieleni od innych rannych.
 - I można było przypuszczać, że żaden z nich trzech nie spał sobie ot tak, po prostu. Zostali uśpieni!
 - Doktor... Bowen... - powtórzył pan Bloom. - Pamiętam go... tak... może... i on tam był... a nam... prawie się... udało...
 - Co wam się udało, tato?
 - Mężczyzna spojrział na nią i uśmiechnął się. - Anitka... - szepnął tylko.
 - Nic sobie nie przypominasz?
 - Pokręcił wolno głową.
 - Dasz radę chociaż wstać? - zapytała łagodnie Anita.
 - Mężczyzna zrobił pewien wysiłek, ale natychmiast

pokręcił zrezygnowany głową. Nie miał siły przesunąć się bodaj o centymetr. - Może... za chwilę... - jęknął. -A oni...?

- Jeszcze śpią - zakończyła za niego dziewczynka. - Zaczekaj. Pójdę sprowadzić tu kogoś i zobaczysz, że...

- Anita... - odezwał się cichutko ojciec.

- Słucham?

- Anita... ja ... czuję się... dobrze... tylko okropnie... chce mi się... spać...

- Wiem, tato, ale zobaczysz, że...

Urwała raptownie, ponieważ uprzytomniła sobie, co musiał zrobić doktor Bowen, żeby jej ojca i tamtych dwóch wprowadzić w taki stan: z pewnością dał im napój nasenny taki, jaki znaleźli z Jasonem ukryty w aptece! I gdyby tylko ten wstrętny egoista nie zniknął tak nagle, miałyby teraz pod ręką sposób na wyrwanie ich z tego: buteleczki z Filtrem Szybkiego Obudzenia, które trafiły do plecaka Jasona.

Poczuła słaby uścisk dłoni ojca na ramieniu i otrząsnęła się gwałtownie ze swoich myśli. - Nie martw się... o mnie. Musisz ... zawiadomić mamę... że ty masz się dobrze...

- Mama... - te słowa były jak wyrzut sumienia. W ostatnich dniach zdarzyło się doprawdy wszystko: odbyła podróż przez nieistniejące krainy, znane najwyżej z ludowych podań czy fantastycznych powieści, zaginęła w labiryncie bez wyjścia, napotkała potwora z jakiegoś koszmaru, tajemne sekty, powódź, doktora bez skrupułów, i w tym wszystkim nie miała chwili czasu, by bodaj pomyśleć o swojej mamie.

„Pewnie umiera ze zmartwienia” - powiedziała do siebie, czując potworne wyrzuty sumienia, od których wystąpił jej rumieniec na twarzy.

Ojciec uśmiechnął się do niej pełen wyrozumiałości. -Opowiedzieli mi... o zeszyście...

Zaskoczył ją. - Opowiedzieli ci o zeszyście? Kto? I co ci powiedzieli?

- Nie pamiętam... zbyt dobrze... - i pan Bloom jęknął, bo spróbował obrócić się na łóżku, ale bez skutku.

Anita poczuła skurcz żołądka.

- Tato, może nie powinienes...

- Pokażesz mi... go?

- Co mówisz? - zapytała zdumiona tym pytaniem - Zeszyt Morice'a Moreau?

Oczywiście, że ci pokażę!

Anita sięgnęła gorączkowo do kieszeni, rzucając pełne obaw spojrzenia na pozostałych dwóch mężczyzn śpiących obok i na drzwi. Drżała ze strachu, że w tych drzwiach w każdej chwili może się ukazać doktor Bowen.

- Mama... - te słowa były jak wyrzut sumienia. W ostatnich dniach zdarzyło się doprawdy wszystko: odbyła podróż przez nieistniejące krainy, znane najwyżej z ludowych podań czy fantastycznych powieści, zaginęła w labiryncie bez wyjścia, napotkała potwora z jakiegoś koszmaru, tajemne sekty, powódź, doktora bez skrupułów, i w tym wszystkim nie miała chwili czasu, by bodaj pomyśleć o swojej mamie.

„Pewnie umiera ze zmartwienia” - powiedziała do siebie, czując potworne wyrzuty sumienia, od których wystąpił jej rumieniec na twarzy.

Ojciec uśmiechnął się do niej pełen wyrozumiałości. -Opowiedzieli mi... o zeszyście...

Zaskoczył ją. - Opowiedzieli ci o zeszyście? Kto? I co ci powiedzieli?

- Nie pamiętam... zbyt dobrze... - i pan Bloom jęknął, bo spróbował obrócić się na łóżku, ale bez skutku.

Anita poczuła skurcz żołądka.

- Tato, może nie powinienes...

- Pokażesz mi... go?

- Co mówisz? - zapytała zdumiona tym pytaniem - Zeszyt Morice'a Moreau?

Oczywiście, że ci pokażę!

Anita sięgnęła gorączkowo do kieszeni, rzucając pełne obaw spojrzenia na pozostałych dwóch mężczyzn śpiących obok i na drzwi. Drżała ze strachu, że w tych drzwiach w każdej chwili może się ukazać doktor Bowen.

Wyciągnęła pospiesznie książeczkę Morice'a Moreau i wręczyła ją ojcu.

- Ach... - szepnął z przejęciem - To ta...

Dziewczynka otworzyła mu ją przed oczami.

- Widziałem drugą... całkiem taką samą... - powiedział pan Bloom z wysiłkiem.

Nie dociekając zbyt, o czym ojciec mówi, Anita przekartkowała szybko książeczkę. Gdy tak przewracała bezładnie kartki, natrafiła w ramce na rysunek uciekającej kobiety i dostrzegła, że Ostatnia była gotowa do podjęcia rozmowy za pośrednictwem rysunku.

- Ta pani, tato, nazywa się Ostatnia - wyjaśniła spokojnie. - Mieszka w dalekim kraju, ale jeżeli położę dłoń na rysunku... mogę usłyszeć, co mi chce powiedzieć i mogę z nią rozmawiać.

Ojciec się uśmiechnął. Ale Anita wiedziała, że nie kpi sobie z niej. Był to raczej uśmiech zachęcający do działania.

-Aco...jejpowiesz...? - zapytał.

- Że jestem tu z tobą - odparła Anita.

-A ona...?

- Mówi, że cieszy się, że cię odnalazłam. Ona, widzisz... jest bardzo samotna... i oczekuje, że my jej przyjdziemy z pomocą... Że zanim umrze, zdążymy wrócić, by ocalić jej kraj.

Pan Bloom zamknął oczy i głęboko westchnął.

- Bardzo dobrze... - szepnął w końcu, ciągle się uśmiechając. - Rób to, co uważasz za słuszne... moja malutka... jednak... najpierw... zawiadom mamę...

Anita też się uśmiechnęła, wpatrzona w twarz ojca, kiedy ten powoli zapadał znowu w sen.

- Dobrze, tato - szepnęła cichutko - Zawiadomię. Jak tylko zaczną znowu działać telefony. Obiecuję ci to.

Obróciła się na chwilę, by sprawdzić, co z dwoma pozostałymi „śpiochami”: Black Wulkan głośno chrapał, a stary ogrodnik ledwo oddychał.

Zadała sobie pytanie, gdzie się podział jej przyjaciel Tommaso, który aż z Wenecji przyjechał za nią do tego miasteczka zagubionego w Kornwalii. Gdziekolwiek się znajdował w tym momencie, miała wielką nadzieję, że także on ocalał i jest zdrowy. Potrzebowała go.

Potem pocałowała delikatnie tatę w czoło i wyszła na palcach z pokoju.

Rozdział 24

DUCH WILLI ARGO

Przez kolejne pokoje Willi Argo przesuwiał się cień, obserwując, uważnie, co się dzieje na zewnątrz, w parku. Najpierw przez okna kuchni, potem na piętrze.

Z powodu za dużych butów szurał stopami po podłodze, z trudem łapiąc równowagę.

Opierał się na długim czarnym parasolu.

Przedmiocie przypominającym o niebezpieczeństwie.

Kiedy cień zrozumiał, że może się wydarzyć coś złego, zszedł i zatrzasnął drzwi wejściowe, by nie wpuścić intruzów.

Ale nie wyrównał swoich porachunków z Flintami: jeden z nich, ten najmniejszy, wdrapał się na gałęzie starego jesionu i znalazł drogę przez otwarte okno.

Wszedł do domu.

Cień słyszał, jak mały Flint zbiegał ze schodów. Ukrył się więc wśród tysiąca rzeźb, jakie zapelniały Willę Argo, i czekał, aż tamten podejdzie bliżej, przynajmniej na odległość jednego metra, aby mógł mu się przyjrzeć.

Intruz wyglądał na przestraszonego.

„Ma cykora” pomyślał cień, obserwując go nieruchomo ze swej kryjówki.

Usłyszał, jak Flint otwiera pospiesznie drzwi wejściowe, a potem przemknął na piętro.

„Czego się tak bał? I co można zrobić, żeby wystraszyć ich jeszcze bardziej?” zastanawiał się.

Kiedy odtwarzał w myślach opisy domu umieszczone w kolejnych tomach Moore'a, przypomniał sobie właz prowadzący na poddasze. Wspiął się do niego zręcznie i znalazł się pomiędzy starymi zakurzonymi meblami.

Podszedł do okienka w mansardzie. Uchylił je, żeby wyjrzeć na dziedziniec.

Posłyszał głosy mówiące o podpaleniu domu.

Nie mógł do tego dopuścić.

Ale telefon nie działał. I cień nie mógł nikogo zawiadomić.

Na poddaszu stał stary manekin, na którym wisiał mundur dowódcy okrętu wojennego.

Tommaso Ranieri Strambi zdjął z manekina marynarkę i szybko powrócił na dół.

Kuzyni Flint weszli do domu wbrew samym sobie. Snuli się po salonach Willi Argo ze spuszczonej głowami i wzrokiem utkwionym w czubki własnych butów.

Za nimi szli doktor Bowen i Malariusz Wojnicz. Bracia Nożyce pozostali na zewnątrz, w parku, żeby pilnować, czy ktoś nie nadchodzi.

- Śmiało, chłopcy! - zawołał doktor. - Włóżcie w to trochę więcej życia, co?

- Od czego chce pan, żebyśmy zaczęli? - zapytał z pewnym zniecierpliwieniem średni Flint.

- Nie wiem... - zawahał się przez chwilę doktor Bowen. - Może od biblioteki! Co pan na to, panie Wojnicz?

- Ani mi się ważcie - odpowiedział oschle Malariusz Wojnicz. - Bibliotekę to ja chcę najpierw obejrzeć.

Doktor coś mruknął niezadowolony. - No dobrze, ale niech pan to zrobi szybko. Najdalej za dziesięć minut będzie się tu pięknie wszystko paliło! - Postawił stopę na najniższym schodku i rzucił chłopcom polecenie: - Zaczynamy zatem od pokoju dziennego. Najpierw jednak pozdejmujcie obrazy ze ścian i złóżcie je tutaj.

- Pan dobrze wie, co robi, nieprawdaż? - zapytał doktora Bowena mały Flint, rozglądając się dokoła dziwnie zdenerwowany.

- No, cóż... na podpalaniu się nie znam, a i prawdziwi „podpalacze” nie wrywają się jakoś z pomocą!

Powiedziawszy to, doktor Bowen odszedł, skąd przyszedł i przechodząc obok Malariusza Wojnicza, puścił do niego oko. Szef Podpalaczy zastygły jak posąg przed drzwiami kuchennymi, nawet nie drgnął, stał z nieodgadniętą miną i z rękami splecionymi na plecach. Potem, ciągle zamyślony i milczący, wyminął trzech kuzynów Flint, którzy tymczasem zaczęli niezręcznie zdejmować obrazy ze ściany przy schodach, i wszedł na piętro.

Mały Flint kierował pracą, zerkając nerwowo to w jedną, to w drugą stronę domu. Odkąd przekroczył bramę willi, cały czas czuł strach. A zdejmowanie obrazów ze ścian wcale mu nie pomagało się wyluzować.

Spojrzał na portrety zawieszony jeden obok drugiego i wyobraził sobie, że wszystkie te osoby robią mu po cichu wymówki. Poza tym na szczycie schodów znajdowało się duże lustro, które go jeszcze bardziej denerwowało. Z jakiegoś nieokreślonego powodu mały Flint obawiał się, że gdyby się w nim przejrzał, nie zobaczyłby odbicia własnej twarzy, lecz twarz kogoś nieznanego.

- Czy nie sądzisz, że jest tu coś... dziwnego? - spytał nerwowo średniego Flinta, kiedy mijał go, by podejść do ściany i zdjąć obraz.

- Nie - odpowiedział kuzyn. - Co masz na myśli?

Mały Flint westchnął. „Wszystko w porządku” pomyślał sobie.

Wszystko w porządku z wyjątkiem tego, że właśnie mieli podpalić dom. I to dom nie było kogo: dom Julii Covenant. Jego cichej miłości.

- Coś powiedziałaś? - zapytał nagle kogoś bliżej nieokreślonego.

Jego kuzyni znosili właśnie ze schodów wielki obraz, trzymając go nad swoimi głowami.

- My? Nic nie mówiliśmy.

- A jednak jestem pewien, że słyszałem, jak ktoś mnie woła... - upierał się mały Flint. Potem zamilkł, nasłuchując uważnie. Dom poskrzypywał cichutko ze starości. Za oknami gwizdał wiatr, tłukąc okiennicami o ścianę.

I pośród tych dźwięków jakiś prawie nieuchwytny daleki głos nawoływał szeptem:

- Fliiiiint...

Kiedy mały Flint go posłyszał, nagle zbladł. - Słyszeliście? - zapytał ogarnięty paniką. - Słyszeliście?

- Ja tam nic nie słyszałem - odpowiedział wielki Flint, wzruszając ramionami.

- Fliiiiiint!

Średni z kuzynów schwycił małego za ramię tak mocno, że mało go nie zrzucił ze schodów. - Słyszałem! Słyszałem!

W jednej chwili wszyscy trzej stanęli ciasno koło siebie, rozglądając się z przerażeniem dokoła.

Głos wcale nie miał zamiaru ucichnąć. Przeciwnie, nasilił się i wypowiedział dalsze słowa, jeszcze bardziej przerażające: - Fliiiiiint! Co ty wyrabiaaaaasz, Fliiiiiint!

Nagle, w głębi korytarza na pierwszym piętrze, ukazała się jakaś postać. Twarz kryła w cieniu, nosiła długie czarne spodnie i wielkie lśniące buty. Do tego białą koszulę i wytartą marynarkę od munduru kapitana.

- Co ty wyrabiasz w moim doooooomu? - krzyknął gromko duch, podnosząc parasol, na końcu którego drżał nikły płomień.

Trzem kuzynom w jednej chwili zastygła krew w żyłach.

- TO DAWNY WŁAŚCICIEL! - zawołali zgodnym chórem.

I już w następnej sekundzie zbiegali na złamanie karku po schodach, porzucając w pośpiechu wielki portret, który dopiero co zdjęli ze ściany. Trzask tłuczonego szkła i łamanych ram jeszcze wzmógł ich przerażenie.

- DUCH! DUCH! - wrzeszczeli na całe gardło wszyscy trzej, gdy przebiegali pędem przez parter i uciekali do parku.

Przemknęli o jakiś metr od osłupiałego doktora Bowena i z prędkością światła wylądowali przy bramie.

Tymczasem na pierwsze piętro Willi Argo powrócił spokój.

Dało się słyszeć zaledwie jakieś skrzypnięcie, kiedy uchyliły się drzwi od biblioteki.

Mariusz Wojnicz wyjrzał na schody.

Zrobił kilka kroków i przystanął przed lustrem. Rzucił okiem w głąb korytarza prowadzącego do kilku sypialni, skąd przed chwilą pojawił się duch. Wrócił, by spojrzeć ze schodów w dół.

Zauważył portret Merkurego Malcolma Moore'a, tego, który zamknął Klub Podróżników w Wyobraźni i otworzył na jego miejsce Klub Podpalaczy. Leżał roztrzaskany u stóp schodów. Szyderczy, diabelski uśmiech rozpromienił oblicze Wojnicza.

Szef Podpalaczy splótł ręce na plecach i wszedł w korytarz prowadzący do sypialni.

Zatrzymał się przed sypialnią Jasona Covenant i powiedział przez zamknięte drzwi: - Teraz wychodź.

Po chwili, kiedy odpowiedziało mu jedynie skrzypienie podłogi i mebli, powtórzył: - Wyjdź.

Wiem, że tam jesteś. Nie zrobię ci żadnej krzywdy.

Wojnicz zaczął nieporuszony, póki nie pojawił się przed nim duch Willi Argo: niski człowiek z twarzą ukrytą w cieniu, w marynarce kapitana... i z jego, Wojnicza, parasolem.

Szef Podpalaczy i duch stali w milczeniu naprzeciw siebie.

- Możesz wystraszyć ich, ale nie mnie.

Duch posunął się o krok do przodu i jego twarz znalazła się w świetle, twarz młodzieńczego chłopca.

- To ty jesteś Jason Covenant?

Chłopiec pokręcił głową. - Nie, proszę pana. Nazywam się Tommaso Ranieri Strambi.

- Masz mój parasol, Tommaso Ranieri Strambi - zauważył Wojnicz znużonym głosem. Chłopiec ani się nie cofnął, ani też nie oddał parasola. Wydawało się, że czekał na właściwy moment.

- Mam nie tylko pański parasol, panie Wojnicz - szepnął głosem lekko drżącym ze strachu.

Po czym uniósł lewą rękę i pokazał szefowi Podpalaczy jego rękopis, ze stronami trochę w nieładzie.

Na moment Malariusz Wojnicz stracił swoje opanowanie. Rozplótł palce trzymane za plecami, wyciągnął szybko rękę i usiłował wyrwać plik kartek z rąk chłopca.

W jego umyśle pojawiło się tysiąc pytań na raz: jak to możliwe, żeby jego rękopis ocalał z powodzi, która wszystko porwała do morza, łącznie z limuzyną? I jak ten chłopak zdobył jego rękopis?

^ _duch willi argo_ ^

- Zwróć mi go natychmiast! - zażądał z wściekłością. Tommaso cofnął się, podnosząc parasol, żeby trzymać

szefa Podpalaczy na przyzwrotną odległość. I trochę go nastraszyć.

- Spokojnie, panie Wojnicz... - szepnął ze złośliwym uśmieszkiem. - Obiecuję, że rękopis wkrótce wróci do pana. Ale pod warunkiem, że zrobi pan to, o co poproszę.

Rozdział 25

AGARTHI

- Wprost nie pojmuję... - szepnął Jason, kiedy balkonik mechaniczny dotarł do szczytu rozpadliny, a jemu twarz zaczął mrozić lodowaty wiatr.

- Czego nie pojmujesz, Jasonie Covenant? - zapytał mężczyzna obok niego, wpatrując się w horyzont. Światło słoneczne padało na ośnieżoną przestrzeń. Głębokie szczeliny w lodowcu wyglądały jak ogromne blizny pozostawione przez minione tysiąclecia.

Jason przycisnął ramiona do ciała, próbując się rozgrzać. Prawdę mówiąc, nie pojmował tylu rzeczy, że nie wiedział nawet, od czego by tu zacząć. Wybrał jedną z nich. - Tego, co mi mówiłeś o zapomnieniu własnego imienia... Ja tego po prostu nie rozumiem.

Tymczasem dziwny pojazd w kształcie balkonika, tykając głośniejszym niż dotychczas, osiadł na szczycie szczeliny. Potem się przesunął, aż trafił na coś w rodzaju ścieżki, ledwie dostrzegalną ciemną smugę na lodzie.

- To dosyć proste. To reguła Agarthi, Miasta Mędrców

- odparł nieznajomy ze wzrokiem ciągle utkwionym w jakiś nieokreślony punkt na horyzoncie.

Jednak Jason, jakkolwiek wyteżał wzrok, widział tylko góry. Niebosiężne szczyty, wokół których kłębiły się chmury i spiczaste wierzchołki, sterczące o wiele wyżej niż zdołało sięgnąć oko. Bezkresna szarobiała przestrzeń o oślepiającym blasku.

- Ty także jesteś mędrcom? - zapytał chłopiec.

- Jestem tak długo mędrcom, jak długa jest moja broda

- odpowiedział z uśmiechem mężczyzna.

- Nie rozumiem...

- Zrozumiesz, młody podróżniku. Jeszcze kilka minut i zrozumiesz.

Miasto Agarthi ukazało się nagle, jakby wyrosło z lodu w tej jednej chwili. Było w tym samym kolorze co skały i miało ten sam podłużny kształt, co otaczające je wąskie grzbiety gór. Wydawało się płaskim cieniem odcisniętym na kamieniach. A tymczasem im bliżej się podchodziło, tym wyraźniejsze stawały się budowle, spiczaste formy przeobrażały się w wieże i minarety, szczeliny nabierały kształtu ulic i zaułków ginących wśród zabudowań.

- Agarthi... - szepnął Jason, oszołomiony tą nieprawdopodobną wizją. Wstał. - Jest przepiękne!

Miasto wśród śniegów emanowało podniosłą aurą wieczności. Było tak stare jak lodowiec, który je otaczał, i jak odwieczne śniegi, których słońce nigdy nie roztopiło od najodleglejszych epok geologicznych.

Słoneczne odbłaski uniemożliwiały zbyt długie przyglądanie się; to było jak wpatrywanie się w światło. Domy i wieże wyrastały jedno z drugich, zarazem złociste i srebrzyste. , Dziwaczny środek transportu posuwał się, podskakując wąską ścieżką z której odgarnięto śnieg. Dopiero kiedy podjechali blisko pierwszych zabudowań, ścieżka połączyła się z innymi i zamieniła w drogę wybrukowaną ciemnym kamieniem, z którego buchała para.

- Przybyliśmy na miejsce, Jasonie Covenant - oznajmił mędrzec, gdy mechaniczny balkonik zatrzymał się u granic miasta. Teraz Jason patrzył na nie z otwartymi ustami: nie miało bram ani murów obronnych, ani baszt, które broniłyby je przed ewentualnym wrogiem. Tylko odwieczny lodowiec ze swoimi cicho trzeszczącymi, głębokimi pęknięciami.

Potem mędrzec wskazał chłopcu srebrny sznur, który od końca do końca zagrażał drogę wjazdową do miasta. - Oto i cały sekret. I wybór, jakiego musisz dokonać. To, co widzisz przed sobą, to Linia Mądrości. Po drugiej stronie tego sznura znajdują się odpowiedzi, których szukasz. Ale kiedy, wracając, ponownie go przekroczyysz, utracisz je na zawsze. Jason z niedowierzaniem zamrugał oczami. Wyglądało na to, że mądrość nie była dla niego. - Nadal nie rozumiem - powiedział.

- Nie można być po obu stronach - wyjaśnił cierpliwie tajemniczy brodac. - Przekroczywszy tę linię, zapomnisz o wszystkim z wyjątkiem swoich pytań. A kiedy zechcesz powrócić, zapomnisz wszystkie odpowiedzi, jakie uzyskałeś w Mieście Mędrców.

- Zapomnę odpowiedzi?

- Właśnie. Jak ja zapomniałem swego imienia. Ale jak tylko przekroczę na nowo Linię Mądrości i wrócę do miejsca swoich narodzin, przypomnę je sobie.

Jason był wstrząśnięty. - To jaki sens ma dotarcie tu w poszukiwaniu odpowiedzi, skoro potem nie będę mógł ich sobie przypomnieć?

- Jeśli odpowiedź jest tym, co cię interesuje najbardziej na świecie, to powinieneś przekroczyć Linię Mądrości. Taki ma sens.

- Tak, ale muszę też zapamiętać odpowiedzi! - upierał się chłopiec.

- Kto to powiedział? Gdyby odpowiedzi opuszczały Miasto Mędrców, to już nie byłoby ich tutaj. I nikt inny nie mógłby ich odnaleźć!

Jason się zachmurzył. - To absurd.

- Nie sądzę - odparł mędrzec.

- Łatwo ci mówić. To twoje miasto. Ale jak się zdarza, że je opuszczasz, nawet nie pamiętasz jak się nazywasz!

- Ani nawet drogi powrotnej, gdyby nie mój pojazd lodowy! - roześmiał się mędrzec. - To ze względów bezpieczeństwa, młody podróżniku. Odpowiedzi kuszą wszystkich.

Jason kipiał z irytacji i doszedł do wniosku, że rozmówca sobie z niego kpi. - Nie jestem pewien, czy chcę tam wejść - burknął zawiedziony.

Mędrzec przytaknął ze zrozumieniem. - Mądrość to spokój wewnętrzny. A spokój wewnętrzny polega na tym, żeby nie stawiać dalszych pytań. Tego uczy Agarthi.

- Ale mi nauka!

- Rozumiem cię, młody podróżniku. Jeszcze kierują tobą młodzieńcze impulsy i emocje codziennego życia. Dlatego nie jesteś gotów, by żyć w Agarthi.

Jason rozeźmiał się gorzko. -I szczerze wątpię, czy kiedykolwiek będę!

- To mogę cię odwiedzić z powrotem tam, gdzie cię spotkałem. I podarować ci drugą śnieżną muszlę na wypadek, gdybyś jednak zechciał tu kiedyś powrócić.

W tym momencie Jasona olśniła pewna myśl. - A czy mógłbym robić notatki?

Mędrzec pokręcił przecząco głową. - Obawiam się, że nie, młody przyjacielu. Będziesz poddany rewizji przy wejściu i wyjściu z miasta. I nie będziesz mógł wynieść niczego, czego nie miałeś przedtem ze sobą.

Jason zagryzł usta.

- Nawet maleńką wskazówkę...

- Nic, Jasonie Covenant. Odpowiedzi będą wyłącznie dla ciebie.

„Wyłącznie dla mnie" pomyślał Jason.

Wyglądało na to, że nie ma alternatywy.

Jason opuścił wszystkich swoich, idąc za głosem wewnętrznym. Dotarł tu, żeby wiedzieć.

Żeby poznać odpowiedzi na wszystkie swoje pytania.

Spojrzał na swego tajemniczego towarzysza: wyglądał na spokojnego i szczerego.

„Odpowiedzi są tylko dla mnie. I zapomnę je wszystkie."

Jason Covenant, egoista.

Nagle ogarnął go śmiech.

- Czemu się śmiejesz? - zapytał go mędrzec.

- Ponieważ właśnie coś mi przyszło do głowy. Nie mogę wynieść z miasta nic więcej, ani nic mniej od tego, co już posiadam, tak?

- Tak właśnie.

- A jeśli przekroczę tę srebrną linię, zapomnę wiele rzeczy o samym sobie. Ile, dokładnie?

- Niektóre. Może wszystkie. Zależy od tego, co jest dla ciebie naprawdę ważne.

Jason zamyślił się głęboko nad tym, co dla niego jest naprawdę ważne. Po czym zapytał: - Możesz mi coś obiecać?

- To zależy, Jasonie Covenant.

- Czy gdybym, przekroczywszy tę srebrną linię, zapomniał o powrocie do domu, zmusisz mnie, bym wrócił z powrotem na tę stronę?

Mędrzec przytaknął z powagą. - To mogę zrobić.

W tejże chwili Jason opuścił pojazd i zrobił trzy kroki w przód, przekraczając Linię Mądrości.

Rozdział 26

NADCHODZĄ NASI

- Pssst! - zasyczał jeden z krzewów w parku wokół Willi Argo.

Kędzierzawy brunet rozejrzał się bojaźliwie dokoła. Niedaleko miejsca, w którym stał, jego brat majstrował przy drzwiach domku Nestora, usiłując sforsować zamek. Towarzyszył mu doktor Bowen, który miotał się tu i tam w istnym ataku hysterii. Kędzierzawy rozeźmiał się na ten widok.

Po chwili krzak znów się odezwał.

Kędzierzawy postanowił pójść sprawdzić, co też to takiego. Kiedy był dostatecznie blisko, zauważył, że ktoś ukrywa się wśród gałęzi. Z początku pomyślał, że chodzi o jednego z trzech smarkaczy z miasteczka, którzy dopiero co wybiegli z domu, wrzeszcząc jak opętani.

Ale po chwili odkrył, że się pomylił: za krzakiem krył się rudy chłopiec, który go trzymał jakby na muszce jakiegoś dziwnego przyrządu.

- O, Rick, to ty! - zawołał Podpalacz, rozpoznając chłopca. - Co ty tu robisz? I co to jest? Strzelba?

- Mógłbym cię zapytać o to samo - wycedził chłopiec. - Tak, to strzelba. I jest naładowana.

- Oszalałeś? Opuść ją! - krzyknął kędzierzawy.

- To zależy od tego, co masz zamiar zrobić.

- Och, możesz być spokojny. Nie będę wzywać pomocy! W każdym razie powstało tu niezłe zamieszanie, chłopcze... - wyznał kędzierzawy.

- Zauważyłem... Powiesz mi, co tu się dzieje?

Kędzierzawy westchnął. - Nasz szef chce się czegoś dowiedzieć od doktora, który jednak postawił pewien warunek: najpierw mamy pomóc mu w spaleniu Willi. Na szczęście jednak nasz szef nie wygląda na w pełni przekonanego, czy chce to zrobić, i powiedział nam, żebyśmy zaczekali.

- Spalić Willę Argo? Ależ to szaleństwo! I co wy na to?

- Zwlekamy - odpowiedział kędzierzawy, wzruszając ramionami.

- Nie powiedziałbym... - zauważył zgryźliwie Rick, wskazując domek ogrodnika, do którego tymczasem blondyn z doktorem Bowenem zdołali się dostać. Na myśl, że jakiś nieznamy mógłby szperać w rzeczach i tajemnicach Nestora, Rickowi wprost flaki się wywracały. Gdyby tylko był wyższy, silniejszy i odważniejszy, ruszyłby wprost na doktora i potraktował go pięściami. Ale nie mógł tego zrobić, choćby dlatego, że doktor Bowen był lepiej od niego uzbrojony.

- Och, tym się nie powinieneś przejmować. Mój brat wie, co robi - odpowiedział kędzierzawy ze złośliwym uśmiechem. - Powiedz mi raczej, co ty tu robisz, chowając się za tym krzakiem?

- Opracowuję pewien plan. I nie mam pewności, czy mogę wam zaufać.

Kędzierzawy podrapał się po głowie stropiony. - Fakt faktem, że my też nie za dobrze wiemy, co robić.

- Rick zaryzykował: - Dasz radę pogadać ze swoim szefem tak, żeby Bowen niczego nie podejrzewał?

- Nie ma sprawy.

- Dobrze. Więc powiedz mu, że doktor nie wie niczego takiego, czego nie wiedzielibyśmy i my. Jeśli ceną za te informacje jest spalenie domu, my opowiemy twojemu szefowi wszystko, bez potrzeby niszczenia cegogokolwiek. Jediną rzeczą, jakiej chcielibyśmy w zamian, jest pomoc w zatrzymaniu Bowena.

Kędzierzawy kiwnął głową na zgodę. - Możemy spróbować.

- I przypomnij sobie, co wspólnie przeszliśmy - szepnął mu Rick z poważną miną.

Zamiast odpowiedzi kędzierzawy puścił do niego oko i szybko odszedł.

Zaledwie zniknął mu z oczu, Rick wysunął się ostrożnie pomiędzy wonnych krzewów parku. Przebiegł kawałek po nieosłoniętym terenie i dopadł do starego dębu, kucając przy jego pniu.

-I jak? - zapytała chłopca Julia, która tu na niego czekała w ukryciu.

Wcześniej, po rozstaniu się z Jasonem, ona i Rick ruszyli na motocyklu drogą wzdłuż wybrzeża. Dojechawszy na wysokość Willi Argo, od razu dostrzegli coś dziwnego: brama była otwarta, a przed domem stał zaparkowany mały samochód w kolorze kawy z mlekiem. Rick powziął pewne podejrzenia i podjechał umyślnie dalej, zatrzymując się dopiero za następnym zakrętem. A potem wrócili pieszo do bramy.

Upewniwszy się, że droga wolna, zakradli się do parku, gdzie dostrzegli kręcących się ze znużonymi minami braci Nożyców. Niepewni, czy mogą im zaufać, uznali, że lepiej będzie, jeśli pozostaną w ukryciu. I dobrze zrobili: wkrótce potem bowiem posłyszeli głos doktora Bowena, jak wydawał polecenia.

Ale co dokładnie zamierzał zrobić? Rick poszedł wy badać, o co tu chodzi i teraz, kiedy wrócił, Julia z zafraso-wanego wyrazu jego twarzy domyśliła się, że nie przynosi radosnych wieści.

- Bowen ma zamiar spalić Willę Argo - powiedział jej krótko, ogromnie przejęty.
- Co takiego? Ależ to szaleństwo! Rick, ten człowiek oszalał i my musimy go za wszelką cenę powstrzymać.
- Pertraktuję z Podpalaczami. Nie wyglądają na całkiem przekonanych do jego planów.
- Myślisz, że możemy im ufać?

Chłopiec pokręcił głową. - Nie wiem, ale na razie nie mamy innej możliwości.

Julia, poruszając się na czworakach, obserwowała park wokół Willi Argo. Odkąd opuściła tę wilgotną piwnicę w Humming Bird Alley, czuła się o wiele lepiej i już prawie całkiem nie kaszłała. Znowu poczuła się silna, pełna energii i ogromnej woli walki. Ale to przymusowe czekanie napełniało ją poczuciem niemocy, jakby nadal była uwięziona w piwnicy.

Rick skulił się obok niej. - To już się kiedyś zdarzyło... - szepnął.

- Co się już kiedyś zdarzyło?
- Pożar - wyjaśnił chłopiec. - Wrota Czasu są całe za-czernione. Już kiedyś próbowali je spalić...

- Ale się im nie udało - odparła Julia. - I tym razem też im się nie uda.

Kiedy kędzierzawy wbiegł na schody Willi Argo, by przekazać Wojniczowi propozycję Ricka, Tommaso Ra-neri Strambi wycofał się do kryjówki w sypialni Jasona. Ale mógł z niej usłyszeć większą część rozmowy, jaką dwaj Podpalacze prowadzili w korytarzu. Poczul przyływ nadziei. Może nie wszystko jeszcze stracone.

Wyobraził sobie Jasona, Julię, Anitę i samego Ulyssesa Moore'a wraz z Leonardem, Peterem, Blackiem i wszystkimi przyjaciółmi z grupy Wielkich Wakacji, gotowych bronić Willi Argo przed spalaniem i zniszczeniem jej tajemnicy.

Kiedy Tommi usłyszał, że kędzierzawy zszedł już po schodach na parter, o wiele śmielej wysunął się z cienia sypialni. Czuł się nieporównanie pewniej, wprost bojowo.

- Wiem, co za typ z pana... - odezwał się do Malariu-sza Wojnicza, który tymczasem przyjął swoją zwyczajną postawę i stał milcząc w półmroku korytarza, zagłębiony we własnych myślach.

- Doprawdy? To oświeć mnie - odparł z ironią Wojnicz, nawet się nie odwracając.

Ciągle myślał o swoim rękopisie, który utonął w morzu niczym cenny skarb, a teraz znalazł się w ręku tego chłopaczka przebranego w kapitański mundur.

- Pan udaje sceptyka.

Szef Podpalaczy wzruszył ramionami. Oczywiście, chłopak się mylił: on, Malariusz Wojnicz był królem sceptyków. Był burzycielem powszechnej łatwowierności. Był obrońcą rzeczywistości. Był właściwym człowiekiem od ustawiania spraw na właściwym miejscu. W swoim biurze miał nawet ogromną kartotekę, w której każda rzecz miała swoje miejsce.

Malariusz Wojnicz był człowiekiem dokładnym, precyzyjnym, trafiającym w istotę rzeczy.

A przynajmniej był taki, zanim wyruszył w tę szaloną podróż. Jego siostra Viviana zawsze odradzała mu wszelkie podróże.

Zazgrzytał zębami, podążając za swoimi myślami. Na samo wspomnienie o siostrze wpadał w zły humor. Był od niej zależny.

I jakoś nie potrafił się od niej uwolnić. Nadrabiał czym innym.

- Pan nie jest taki, jak doktor Bowen, panie Wojnicz -upierał się Tommaso.

- Och, jestem, jestem i to jeszcze jak! Jestem chirurgiem operującym ogniem. Usuwam nieczystości i błędy. Płomieniem z moich parasoli, miotaczy ognia, usuwam ludziom z głowy masę dziwactw. Zaszycam rany i zabliznam je. I podtrzymuję rzeczywistość.

- Niemożliwe, żeby pan chciał naprawdę zniszczyć ten dom - ciągnął dalej Tommaso. - Kiedyście mnie schwywali w Wenecji, pański człowiek, Eco, chciał, żebym mu powiedział,

dokąd udała się Anita. Anita przybyła tu, do tego miasteczka, ale on mi nie chciał wierzyć.

Utrzymy-

wał, że Kilmore Cove nie istnieje. Że Willa Argo nie istnieje. Ale potem zjawily się małpy, panie Wojnicz, a małp w Wenecji także nie powinno być. Jednak zjawily się i uwolnily mnie. Towarzyszyły mi aż do mechanicznej gondoli Petera Dedalusa, postaci, którą ja znalazłem jedynie z kart książki. Książki, zdaje pan sobie sprawę? I już przestałem rozumieć cokolwiek. Musiałem przestać rozumieć i zacząć wierzyć. Uwierzyłem w tę historię i przybyłem tu. Z winy tego, czy może dzięki temu, co było napisane w książce.

Malariusz Wojnicz słuchał go w milczeniu. W gruncie rzeczy z nim było całkiem podobnie, tyle że stronicę książki, która przywiodła go do Kilmore Cove, nie były zapisane, lecz wypełnione rysunkami. Rysunkami szalonego ilustratora o nazwisku Morice Moreau, który pokrył freskami swój dom w Wenecji.

Wojnicz zlecił zakupienie tego domu pewnemu pozbawionemu przesądów londyńskiemu towarzystwu nieruchomości (transakcja niezbyt kosztowna, zważywszy że nikt nie chciał mieszkać w domu uważanym za przeklęty). Wysłał tam doświadczoną konserwator-kę, żeby zabezpieczyła polichromię. Myślał, że dzięki temu uda mu się zrozumieć tajemnicę zeszytu. Ale wraz z upływem czasu, zamiast zrozumieć, stał się... obserwatorem.

I czekał.

- „Rzeczywistością jest wszystko to, co pozostaje, kiedy się odrzuci wiarę...” - doktor Wojnicz zacytował czyjaś myśl, co bracia Nożyce z pewnością by docenili.

- Dokładnie tak, panie Wojnicz.

- To nie ja powiedziałem - uściślił natychmiast szef Podpalaczy. - To są słowa autora powieści fantastyczno-naukowych, który opisuje rzeczy nieistniejące.

- Czemu pan mówi, że nie istnieją? - zapytał Tommaso, machając mu przed nosem parasolem i kartkami rękopisu Serce nie sługa. - A te są rzeczywiste, zdaniem pana?

Wojnicz był wściekły, że musi dawać lekcję rzeczywistości temu smarkaczowi. A jeszcze bardziej go drażniło, że ten szczeniak trzyma w ręku jego bezcenny rękopis. Poświęcił pięćdziesiąt siedem lat na napisanie pierwszych pięćdziesięciu sześciu stron. I kilka godzin w ostatnich dniach na wykreślenie dziesięciu i pospieszne zapisanie kolejnych dwudziestu.

Oczywiście, wymagały jeszcze poprawek i wygładzenia, ale jednak...

- I wie pan, co? - dodał Tommaso.

- CO?! - ryknął zirytowany Wojnicz.

- Rzuciłem okiem na kilka pierwszych stron i muszę przyznać, że dobrze się je czyta - powiedział chłopiec. - Miałbym nawet ochotę poznać ciąg dalszy.

Po raz drugi tego dnia nieporuszone zazwyczaj oblicze Malariusza Wojnicza drgnęło.

Otworzył usta, żeby nabrać powietrza i poczuł, że ma sucho w ustach.

- Mówisz poważnie?

- Tak - odpowiedział Tommaso.

Mówię poważnie.

W parku wszystko było gotowe.

Rick z Julią ruszyli biegiem.

Dopadli do składziku na narzędzia, żeby wszystko sprawdzić. Był to malutki domek, trzy metry na trzy, z jednym oknem i solidnymi drzwiami zamkniętymi na ciężki łańcuch z kłódką.

Otworzyli kłódkę kluczem ukrytym w doniczce po prawej stronie, zdjęli łańcuch, zerknęli do środka i wyciągnęli ze składziku największe narzędzia, żeby zrobić miejsce.

- Nadaje się w sam raz - uznali.

Niebo zagrzmiało i pokropiło kilkoma kroplami deszczu.

Rick z Julią ukryli się w pobliżu składziku i czekali.

Po kilku minutach pojawił się kędzierzawy, a tuż za nim depczący mu po piętach doktor Bowen z blondynem. Doktor wyglądał na wściekłego: właśnie miał podłożyć ogień pod dom ogrodnika, gdy mu to nagle przerwano.

- Wcześniej czy później Covenantowie wrócą! - zrzędził. - Nie możemy się z tym wlec przez cały dzień! Musimy się pospieszyć! Dalej!

- Nasz szef chce porozmawiać z panem właśnie o tym, panie doktorze - skłamał kędzierzawy, torując drogę do składziku na narzędzia.

- A nie mógł sam do mnie przyjść, jeśli ma mi coś do powiedzenia? - wybuchł doktor Bowen. - I przecież był w bibliotece?

- Znaleźliśmy coś dziwnego tu, w środku. Coś zdecydowanie bardzo dziwnego! - dodał jeszcze kędzierzawy, wskazując wnętrze składziku.

- Co takiego? Grabie mechaniczne zaprojektowane przez tego szaleńca Dedalusa? - zadrwił doktor, zbyt wściekły, by spokojnie myśleć.

- To pan powiedział - odezwał się blondyn.

Doktor w napadzie pasji wszedł do składziku. - Pokażcie mi to! Jest tutaj Wojnicz?

Zaledwie doktor przekroczył próg, Rick i Julia wyskoczyli zza krzaków. Zatrzasnęli mu za plecami drzwi i z pomocą dwóch Podpalaczy przytrzymali je.

Ze zręcznością prestidigitatora Rick założył kłódkę na łańcuch. Zamknął ją, wyjął klucz i odłożył na swoje miejsce, do doniczki z kwiatkiem po prawej stronie składziku.

Doktor Bowen wydał coś w rodzaju potężnego ryku.

- CO WY WYRABIACIE? - wrzasnął, waląc pięściami w drzwi.

- Odpłacamy pięknym za nadobne! - zawołała Julia w odpowiedzi. - W ten sposób oduczy się pan zamykać nas w piwnicy!

- WAS? - zapytał osłupiały Bowen. - JAK ZDOŁALIŚCIE WYJŚĆ? KTO WAM OTWORZYŁ DRZWI?

- Sami je sobie otworzyliśmy. Doprawdy miał nas pan za takich głupich? - odpowiedział Rick.

Słyszeli, jak doktor Bowen majstrował przy drzwiach i szarpał nimi, miotając się wśród narzędzi. - Wypuście mnie! Nie wolno wam mnie tu trzymać!

- Radzę panu wykorzystać czas, jaki pan tu spędzi w zamknięciu, na obmyślenie sobie wyjaśnień, jakich pan udzieli policji, kiedy po pana przyjdzie! - zawołała Julia.

Walenie pięściami, kopniaki i szarpanina w składziku jeszcze się nasiliły.

- A WY! - wrzasnął doktor pod adresem braci Noży-ców. - WASZ SZEF WAS ZAMORDUJE! WYPUŚCIE MNIE NATYCHMIAST!

- Przykro mi, panie doktorze, ale otrzymaliśmy dokładne instrukcje w tym względzie. Na wysokości okna błysnęło coś metalowego.

- UPRZEDZAM WAS! - krzyczał doktor. - MAM PISTOLET!

- Pędźmy! - zawołał Rick, wskazując alejkę po prawej stronie składziku.

- STÓJCIE! MAM PISTOLET! - zawołał znowu doktor.

To była prawda. Miał pistolet.

Tylko że nie na wiele się tu zdał.

Rozdział 27

PRZEKROCZYĆ PRÓG?

- Oto i pański rękopis - powiedział Tommaso, wręczając stronicę zatytułowaną Serce nie sługa Malariuszowi Wojniczowi.

Siedzieli wszyscy w najstarszej części domu, w małym pokoju z ceglanym sklepieniem.

Galeria portretów przodków Ulyssesa Moore'a wałała się u stóp schodów. Drzwi wychodzące

na park były otwarte, a drobny deszcz bębnił w szyby. Przenikliwy wiatr od morza wciskał się aż tutaj.

Julia, Rick, Tommaso, dwaj bracia Nożyce i Wojnicz siedzieli obok siebie, czujni i nieprzeniknieni jak gracze w pokera.

Szef Podpalaczy schwycił gorączkowo rękopis, jakby w obawie, że przejmą go bracia Nożyce, i wsunął do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Nawet do tego pokoju, położonego w głębi domu, dochodziły odgłosy szarpaniny doktora Bowena, zamkniętego w składziku z narzędziami, gdzie czekał na oddanie go w ręce policji. Zajmą się nim, jak tylko zaczniesz na nowo działać telefon.

Tymczasem mieli na głowie inne, ważniejsze sprawy.

- Obiecaliście mi opowiedzieć wszystko, co wiecie na temat tych drzwi - przypomniał Malariusz Wojnicz, zabierając głos. - Naturalnie, przede wszystkim to, czego nie ma w książkach.

- A nie wolałby pan... - ośmieliła się zapytać Julia - tak po prostu pójść sobie, jak gdyby nigdy nic?

Szef Podpalaczy zachnął się.

- Nie chcę tak sobie pójść. I nawet nie mam czym odjechać, zważywszy, że mój samochód został porwany w morze podczas powodzi. Chcę zrozumieć, w jakim miejscu przebywam i co takiego szczególnego znajduje się w tym pokoju pełnym całkiem nieużytecznych przedmiotów.

Dzieci spojrzały po sobie z przejęciem.

Miały dwie możliwości: pierwsza, to posłużyć się swoją bronią, parasolem i kuszą pneumatyczną, i siłą wyrzucić Podpalaczy. Ale z tym wiązało się ryzyko, że prędzej czy później natkną się na nich znowu w charakterze wrogów. Druga, to opowiedzieć Wojniczowi wszystko o Wrotach Czasu.

Cisza, jaka zapadła, była tak głęboka, że można było posłyszeć szelest kurzu osiadającego na meblach.

Malariusz Wojnicz podniósł wolno rękę. - Zaczynam być zmęczony tą gierką.

Położył na stole zeszyt Morice'a Moreau.

- Przybyłem tu w ślad za tą książeczką. Wy powinniście mieć co najmniej jeden taki egzemplarz. Wyciągnijcie go.

Julia kiwnęła głową na znak zgody. Otworzyła swój plecak i zaczęła w nim grzebać.

W pewnym momencie jednak zatkało ją. - RICK! - zawołała. - Zeszyt zniknął!

- Jak to zniknął?

Dziewczynka szybko wyrzuciła całą zawartość plecaka na podłogę.

Po zeszyt nie było śladu.

- Nie rozumiem - powiedziała, kręcąc z niedowierzaniem głową. - Był tu aż do chwili...

- nagle przerwała i spojrzała na Ricka. - Jason!

Rick wsunął palce we włosy. - Ale dlaczego? - zastanawiał się głośno.

Brakowało jednak czasu na roztrząsanie teraz, co mogło się stać.

- Bardzo niedobry początek - uśmiechnął się drwiąco Malariusz Wojnicz, spoglądając na rozrzucone po podłodze przedmioty. - Może to wystarczający powód, żeby jednak podjąć pogawędkę z doktorem.

- Nie! - zerwał się na równe nogi Rick. - To, że zeszytu tutaj nie ma, nie oznacza, że go... nie mamy.

- Zabrał go mój brat - powiedziała Julia.

- A drugi egzemplarz ma Anita - dodał Tommaso.

Wojnicz zaczął bębnić palcami w swój egzemplarz zeszytu. Znał ich oboje: z Jasonem Covenantem „wymienili opinie” za pośrednictwem stron mówiącej książeczki, podczas gdy Anitę znał jako córkę konserwatorki z Wenecji. - W porządku. A gdzie oni są?

- Myślę, że oboje są w miasteczku... - odparła Julia.

- Opowiadacie mi jedynie stek głupstw - wycedził Wojnicz, który już całkiem stracił cierpliwość. - Lepiej zrobić, co proponował Bowen. To dom staroświecki, do tego pełen jakichś bezużytecznych bzdur, dom, który można by łatwo zastąpić nowoczesną willą, ładnie zaprojektowaną, z jakąś restauracyjką i bez żadnych tajemnic.

- Otóż, myli się pan, co do tych bzdur - wtrącił w tym momencie kędzierzawy, przełykając głośno ślinę. Po raz pierwszy od lat ośmielił się sprzeciwić swemu szefowi. Ale ponieważ już zaczął, musiał ciągnąć. - Ja i mój brat widzieliśmy to na własne oczy. Powiedz to panu i ty! - kędzierzawy trącił łokciem brata, który jednak nie miał ochoty zabierać głosu. Ale w końcu, westchnąwszy ciężko, blondyn wyjaśnił: - Przeszliśmy przez Wrota Czasu, panie Wojnicz. Weszliśmy w złoty labirynt pogrążony w mroku. Napotkaliśmy potwora zrobionego z cienia i z mroku wydostaliśmy się na światło. To było coś o wiele więcej niż... nadzwyczajne. Niech mi pan wierzy.

- Wierzyć wam? - wybuchnął Wojnicz. - Chciałbym wam wierzyć, ale słyszę same słowa, słowa, słowa... Nawet z tym przeklętym zeszytem wszystko, co usłyszałem, to tylko słowa. A to, co widzę dokoła siebie, to banalny pokój ze starą zakurzoną szafą, ukryty w głębi domu zbudowanego na szczycie urwiska, na wietrze, który wali okiennicami...

PAM! Strzeliło z hukiem w tym akurat momencie, otwarte podmuchem wiatru, okno pokoju w wieżycy na najwyższym piętrze.

I nagle od schodów powiał wiatr, wpadł do pokoju na dole i wcisnął się w szczeliny Wrót Czasu Willi Argo, jak wezbrana rzeka.

Pierwsza poderwała się Julia.

Chwyciła pudełko z kluczami, które wyrzuciła na podłogę razem z innymi rzeczami znajdującymi się w plecaku.

Położyła je na stoliku, przy którym siedzieli, uniosła wieko i ostrożnie, nieomal z czcią, wyjęła cztery klucze od Willi Argo.

- Jeżeli chce pan koniecznie zobaczyć to na własne oczy, panie Wojnicz, to niech się pan mocno trzyma. Ponieważ tam na dole porządnie wieje.

Rozdział 28

KANISTER Z BENZYNĄ

„Julia Covenant” pomyślał mały Flint.

I ta myśl, podsunięta mu przez obraz uchwycony kątem oka, spowodowała, że się zatrzymał.

- Hej! - zawołał do dwóch pozostałych chłopaków zbiegających na złamanie karku drogą nad urwiskiem. Ale żaden z kuzynów - ani średni, ani wielki Flint - go nie słuchał. Odkąd usłyszeli i zobaczyli ducha w domu, byli tak przerażeni, że mogliby biec dopóty, dopóki by nie padli zemdleni na ziemię.

Mały Flint też nigdy by się nie zatrzymał, gdyby nie zobaczył przypadkiem dziewczyny, która sprawiała, że jego serce biło jeszcze mocniej niż ze strachu.

Ale czy ją rzeczywiście zobaczył?

Czy tylko mu się zdawało, że ją widział?

Mały Flint, pędząc jak szalony, jak tylko przekroczył bramę Willi Argo, rzucił za siebie ostatnie spojrzenie i ogarnął wzrokiem park, który w jego wyobraźni zaludniały straszliwe widma. I wydało mu się, że zobaczył jedno takie, jak się snuje między drzewami za ogrodzeniem.

Z długimi włosami w kolorze miodu.

Potrzebował sporo czasu, żeby skojarzyć tę postać i te włosy z kimś znajomym. I w końcu uznał, że to, co widział, to nie był duch: to była Julia Covenant. ,
Kiedy to promienne imię wypłynęło na powierzchnię jego skołowanego umysłu, mały Flint przystanął.

Przez chwilę myślał, żeby podbiec i uprzedzić Julię Covenant o obecności ducha, na którego się natknęli. Ale potem, kiedy zawrócił po swoich śladach, uprzytomnił sobie, że Julia, mieszkając w tym domu, już od dawna musiała go znać.

Musiała wiedzieć o jego istnieniu.

Chyba że nie chodziło o prawdziwego ducha, lecz... lipnego, żeby ich wypędzić z domu!

O czym teraz myślała i co tu robiła Julia, w tym parku koło domu, kiedy oni właśnie chcieli go podpalić? Była sama, czy był z nią brat?

Albo jeszcze, co gorsza, Rick Banner?

- Zdradziecki ruzdzielec...

Ale czy ją rzeczywiście zobaczył?.

Czy tylko mu się zdawało, że ją widział?

Mały Flint, pędząc jak szalony, jak tylko przekroczył bramę Willi Argo, rzucił za siebie ostatnie spojrzenie i ogarnął wzrokiem park, który w jego wyobraźni zaludniały straszliwe widma. I wydało mu się, że zobaczył jedno takie, jak się snuje między drzewami za ogrodzeniem.

Z długimi włosami w kolorze miodu.

Potrzebował sporo czasu, żeby skojarzyć tę postać i te włosy z kimś znajomym. I w końcu uznał, że to, co widział, to nie był duch: to była Julia Covenant. ,

Kiedy to promienne imię wypłynęło na powierzchnię jego skołowanego umysłu, mały Flint przystanął.

Przez chwilę myślał, żeby podbiec i uprzedzić Julię Covenant o obecności ducha, na którego się natknęli. Ale potem, kiedy zawrócił po swoich śladach, uprzytomnił sobie, że Julia, mieszkając w tym domu, już od dawna musiała go znać.

Musiała wiedzieć o jego istnieniu.

Chyba że nie chodziło o prawdziwego ducha, lecz... lipnego, żeby ich wypędzić z domu!

O czym teraz myślała i co tu robiła Julia, w tym parku koło domu, kiedy oni właśnie chcieli go podpalić? Była sama, czy był z nią brat?

Mały Flint spróbował stłumić w sobie strach, pozostawił swoich kuzynów, żeby sobie biegli bodaj do Szkocji i przyspieszył kroku, raz jeszcze zmieniając kierunek: wrócił w stronę domu, skrywającego stanowczo za dużo tajemnic.

Kiedy doszedł do bramy, zdumiał się, jak wiele się zmieniło w ciągu kilku minut. Doktor Bowen opuścił domek ogrodnika, pozostawiając otwarte drzwi. Dwaj bracia Nożyce nie kręcili się już między schodkami i alejkami w parku: w tym widmowym parku o wysokich drzewach łagodnie rozkołysanych na wietrze niczym czujni strażnicy spoglądający z góry... Teraz park był pusty i sprawiał wrażenie jeszcze bardziej upiorne niż przedtem.

Postąpił nieśmiało kilka kroków w głąb parku Willi Argo i przystanął, sparaliżowany strachem. Usłyszał krzyk. Jakiś nieznany głos, nieludzki, rzucający na wiatr niezrozumiałe słowa.

Znowu poczuł chęć ucieczki, zniknięcia stąd raz na zawsze, z dala od tego przeklętego domu i zamieszkujących go duchów. Potem dotarło do niego, że ten głos w gruncie rzeczy nie był taki znowu nieznajomy: brzmiał jak głos doktora Bowena.

To był głos doktora.

Niezwykle ostrożnie mały Flint zagłębił się w park Willi Argo, kierując się w stronę, skąd wydawało mu się że dochodzą krzyki. Przemykając od drzewa do drzewa, skradał się jak tajny agent, zupełnie jakby w domu ukrywał się snajper w każdej chwili gotów do niego wystrzelić.

Posuwając się w ten sposób, potrzebował dobrych dziesięciu minut, żeby dotrzeć do składziku na narzędzia. A kiedy już podszedł blisko, wrzaski i szarpanina ustały. Podkraść się całkiem blisko i wysunął głowę zza krzewów rozmarynu.

- Doktorze Bowen - wyszeptał.

Naciśnięcie na spust, nagły huk i o mały włos najmniejszy z Flintów nie zostałby poczęstowany kulą z rewolweru.

- Hej! Czy pan oszalał?!

- Mam rewolwer! - krzyknął doktor ze środka składziku.

- I to się panu wydaje wystarczającym powodem, żeby mnie zabić? - zapytał mały Flint. Cisza.

- A ty kim jesteś? - odezwał się po chwili ponury głos doktora.

- Jestem Flint.

- O błogosławione niebiosa! Flint! Chłopaczku drogi! Wypuść mnie stąd natychmiast! Łobuziak pomyślał, że co nagle, to po diable. Przed chwilą niewiele brakowało, by zginął.

- Co się panu stało? - zapytał ostrożnie.

- Wpadłem w pułapkę! - wołał doktor. - Ci dwaj nikczemnicy... byli w zмовie z dziećmiakami! Z tą małą bliźniaczką z Londynu i jej sympatią, Bannerem. „Banner... ? Jej sympatią?”

To słowo wbiło się w głowę małego Flinta niczym zatruta strzała. Ale zamiast go zabić, wywołało w nim straszliwą wściekłość.

- Jak mam pana stąd wyciągnąć? - zapytał jednym tchem, odkładając natychmiast na bok wszelką ostrożność.

- Poszukaj klucza od kłódki. Widziałem, jak ten rudy ukrył go gdzieś blisko - krzyczał doktor, ciągle waląc niecierpliwie pięściami w drzwi składziku.

Mały Flint nie kazał sobie tego dwa razy powtarzać. Szybko dokonał przeglądu wszystkiego, co się znajdowało koło drzwi i natychmiast odnalazł klucz w doniczce po prawej stronie składziku.

- Klucz zawsze się chowa w doniczce po prawej stronie drzwi! - powiedział, wiele rad ze swojej maksymy. I już wkładał go w kłódkę.

Doktor Bowen i mały Flint ruszyli rażno w stronę domu. Weszli na parter. Doktor szedł przodem z rewolwerem przy nosie jak na filmach kryminalnych, a chłopak tuż za nim, gotów na każdą ewentualność, taszcząc z trudem kanister z benzyną, który znaleźli w składziku. Przeszli przez kuchnię, gdzie jedyny odgłos, jaki usłyszeli, to było kapanie wody z kranu. Weszli do salonu z kominkiem, gdzie maski i twarze rzeźb wyglądały całkiem jak upiory gotowe rzucić się na nich. Stąd przeszli do saloniku ze starym telefonem z czarnego bakelitu, sprawdzili, czy linia jest nadal nieczynna, potem zerknęli do pokoju z ceglanym sklepieniem. Zatrzymali się u stóp schodów.

Gdzieś na górze było otwarte okno stukające o ścianę. Weszli po schodach, żeby się rozejrzeć i zeszli z powrotem na parter.

- Nie ma ich - uznał doktor Bowen, zerknąwszy jeszcze na portyk. - Z pewnością nie sądzili, że mogę im się wymknąć!

I ciągle jeszcze wściekły za swoje uwięzienie, kopnął z furją rzeźbę rybaczkę. Rybaczka upadła na podłogę i pękła na dwoje na wysokości szyi.

Obserwując tę scenę, mały Flint poczuł gwałtowne bolesne ukłucie, jakby to jemu ktoś wymierzył cios. Wydało mu się, że cały dom wstrzymał oddech. Znowu przypomniał mu się głos ducha, jego zużyta marynarka starego właściciela i znowu poczuł, jak miękną mu nogi.

- Teraz im pokażę! - zagrzmiał doktor Bowen, mierząc z rewolweru w sufit. - Flint! - wrzasnął tak, że chłopak aż podskoczył. - Bierz to ode mnie!

Podał mu pudełko zapalek.

- Zaczynij od domu Nestora. Oblej cały dokoła benzyną. Możesz to zrobić byle jak, dom jest stary, drewniany, zajmie się w mgnieniu oka.

- A pan?

- O, o mnie się nie martw! - roześmiał się cynicznie doktor Bowen. - Cokolwiek się wydarzy, o mnie się nie martw.

Wyciągnął gorączkowo z kieszeni portfel, wyjął z niego wszystkie banknoty i podał chłopcu. Mały Flint pokręcił przecząco głową.

- Dalej, bierz, nie certuj się - nalegał Bowen, wciskając mu niecierpliwie w dłoń plik pieniędzy. Następnie klepnął go mocno po ramieniu. - A teraz ruszaj! Śmiało! Pędź!

Następnie, nie tracąc czasu, rozpiął kilka górnych guzików przy koszuli i wyciągnął zawieszony na złotym łańcuszku klucz.

Był to klucz ze skomplikowaną główką.

Główką z trzema żółwiami.

Rozdział 29

OGIEŃ

- Co... robisz? - spytał pan Bloom, jeszcze nieco otepiały od przydługiego snu, kiedy zauważył, że nad głową i przed oczami przesuwa mu się sufit korytarza.

Anita pchała jego łóżko, wywożąc ojca z pokoju archiwum, żeby zwieźć go na parter, gdzie leżeli inni ranni. Uśmiechnęła się do niego, kładąc mu na czole mokry kompres. -

Powiedziałeś mi, tato, żebym robiła to, co uznam za stosowne. A ja uznałam, że najlepiej będzie, jeśli przy was zostanę i będę czuwać nad waszym zdrowiem.

Wtajemniczyła w sprawę mamę Ricka, która nadbiegła wraz z innymi osobami, żeby pomóc dziewczynce przetransportować trzech „śpiochów” na wspólną salę.

Anita nie wspomniała o narkotyku, jakim prawdopodobnie doktor Bowen ich uspił, ale wolała nie ryzykować i nie siedzieć sama w pokoju archiwum, kiedy doktor powróci.

Leżący na łóżku polowym Black Wulkan zaczął pojękiwać i sapać, a Nestor także chwilami otwierał oczy.

W całym tym strapieniu Anita pomyślała o Jasonie. Po chłopcu z Londynu zaginął ślad.

Poszedł sobie gdzieś sam, na spotkanie przygody, tropiąc tajemnicę, jakby przygoda i tajemnica same w sobie były ważniejsze od wszystkiego innego. Ważniejsze od niej, od jej ojca, od leżących tu znajomych, rannych i wielu potrzebujących pomocy.

Anicie przyszło też na myśl, że Jason nigdy, odkąd wydarzyła się powódź, ani przez moment nie martwił się o swoich rodziców. Nigdy nie zastanawiał się, jak się czuli, ani czy przypadkiem nie byli ranni. I czy go nie potrzebowali.

Nie, Jason Covenant stanowczo nie był kimś troszczącym się o innych. Nie był też sentymentalny.

Był entuzjastą, odkrywcą, był odważny, to tak.

Ale bardziej niż kimkolwiek innym i przede wszystkim był głupcem.

Gdyby został z nią, mieliby czas na wszystko. Mogliby zadbać o jej ojca i Nestora, a potem wszyscy razem wrócić do Willi Argo. Albo gdziekolwiek indziej. Mogliby prowadzić dalej swoje poszukiwania tajemnicy Wrót Czasu i ocalić Kraj, który Umiera.

Były pocałunki. I mogłyby być dalsze.

Gdyby tylko Jason jej nie zdradził.

I nie zniszczył wszystkiego.

„Odkrywaj ją sobie sam, tę tajemnicę wrót, Covenant” powiedziałaaby mu Anita, gdyby w tej chwili stanął przed nią. „Ja wracam do Wenecji. Do mego kota Miolego i do rodziców.

Podróżuj sobie sam. I przekonaj się, jak to nudno”.

Uśmiechnęła się mimo woli. Nawet taki gbur jak Ulysses Moore zaprzestał podróży po stracie swej żony i przyjaciół. Jaki sens ma oglądanie czegoś zdumiewającego, jeśli nie ma się z kim podzielić wrażeniami? Jaki sens mają Miejsca z Wyobraźni, jeśli człowiek wyobraża je sobie w samotności?

Z tych wszystkich powodów Anita pozostała przy swoim ojcu, Nestorze i Blacku Wulkanie. Żeby mieć pewność, że dobrze się czują. I żeby doktor Bowen nie mógł znowu zrobić im krzywdy.

I ponieważ znudziło się jej towarzyszenie Jasonowi Covenant w jego bezsensownych przygodach.

- Wszystko w porządku, tato... - zapewniła ojca, kiedy pan Bloom zdziwiony zaczął rozglądać się dokoła po wielkiej sali zastawionej łózkami. - Niedługo znowu będziesz mógł wstać i może wtedy zadzwonimy do mamy.

- Czy są... ciężko ranni? - spytał ją ojciec, który wracał do pełnej świadomości.

- Och nie, na szczęście. Tylko jakieś stłuczenia. I jakieś drobne złamania.

Zawołała ją mama Ricka i Anita wstała, żeby przyjść jej z pomocą.

Tata ścisnął ją za rękę. - Cieszę się... z tego, co robisz.

- Wiem, tato. Wiem. Ja też się cieszę.

- Przeżyliśmy coś paskudnego, nie?

- Jeszcze jak - uśmiechnęła się Anita.

Poszła pomóc pani Banner przy innych rannych, a potem wróciła znowu do ojca.

Zastała go już całkowicie rozbudzonego i z wielką potrzebą porozmawiania. - Opowiadałem ci o... podróży pociągiem z Blackiem?

- Nie, nic mi nie mówiłeś.

- Och, to było coś... niewiarygodnego! Pędziliśmy w nocy tą czarną lokomotywą z szaloną szybkością. Po szynach, które pojawiały się znikąd. Wydawało mi się, że śnię. Było całkiem tak, jakbyśmy się znaleźli w środku... filmu dla dzieci. Takiego, który oglądało się w dzieciństwie i o którym potem się zapomniało, ale który w rzeczywistości ciągle tkwi we wspomnieniach, przez całe życie.

- Nie wiedziałam, że z ciebie taki poeta! - roześmiała się ubawiona Anita.

- Tylko dlaczego pracuję w banku? - odparował jej ojciec z uśmiechem. Potem zrobił poważniejszą minę i spojrzał jej w oczy. - Anitko, ja wiem, że byliśmy oddaleni od siebie i że ja myślałem prawie wyłącznie o pracy. I do tego fakt, że ja mieszkam w Londynie, a ty z mamą w Wenecji... to absurd! Doprawdy absurd. Dlatego cieszę się, że wsiadłem na tę lokomotywę i że w poszukiwaniu ciebie dotarłem aż tutaj...

Anita poczuła, jak się jej zakręciły łzy w oczach i siłą powstrzymała się od płaczu.

Potem nagle Nestor tuż obok rozkaszał się głośno. Dźwignął się, żeby usiąść na łóżku, i krzyknął przez sen: - NIE! ZACZEKAJ NA MNIE! ZACZEKAJ NA MNIE!

Ludzie wokół wystraszyli się i spojrzeli w jego stronę.

- A dokąd to miałabym pójść, tak unieruchomiona? - odpowiedziała Nestorowi panna Biggles leżąca dwa rzędy dalej, pod kropłówką.

Anita podeszła do starego ogrodnika. Nestor miał oczy wytrzeszczone, lecz całkiem nieobecne: ciągle jeszcze spał. Dziewczynka wolno, z wielką cierpliwością, przekonała go, by się położył. Przyłożyła mu kompres na czoło i pomogła przewrócić się na drugi bok.

Potem z ulicy doszły jakieś niepokojące okrzyki. Kilka osób wybiegło, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Anita powróciła do łóżka ojca, spoglądając ciągle na zewnątrz. Na progu kliniki zgromadziła się grupka ciekawskich. Zauważyła kątem oka, że również mama Ricka wybiegła popatrzeć.

- Wracam za moment - powiedziała ojcu.

Przebiegła szybko przez salę, przemykając wśród łóżek, dotarła do głównego wejścia, od strony placu. Na dworze utorowała sobie przejście między rozmawiającymi z ożywieniem ludźmi, którzy wskazywali coś na szczycie urwiska.

Nagle przystanąła.

Nie mogła uwierzyć własnym oczom.

- Nie! Nie! Nie! - powtarzała z coraz to większym napięciem w głosie.

Ze szczytu urwiska wzbijał się w niebo dym: gruby, czarny wąż sięgający szarych, gęstych chmur.

Willa Argo płonęła.

Rozdział 30

MOST

W podziemiach Salton Cliff Rick obrócił się na moment, by popatrzeć na pozostałych wędrowców. Chłopiec o rudych włosach trzymał wysoko nad głową parasol Podpalaczy, a błękitny płomyk wydobywający się z jego czubka rzucał niebieskawe plamy na twarz Julii, która szła tuż za nim.

Dalej szedł Wojnicz z ponurą miną, wystraszeni dwaj bracia Nożyce i zdumiony Tommaso, który zamykał pochód.

Wybrali drogę przez most ze zwierzętami, żeby później zejść aż do Metis. Ale dokładnie w połowie drogi ucho Ricka pochwyciło jakiś hałas. Niemożliwe! To był charakterystyczny odgłos Wrót Czasu, kiedy się otwierały!

A przecież drzwi zawsze pozostawały zamknięte, dopóki nie powrócili podróżnicy, którzy je przekroczyli.

Pomyślał więc, że się przesłyszał. „Wrota Czasu nie mogą się teraz po raz drugi otworzyć”.

Po prostu niemożliwe.

Poczuł nagle po nogach silny podmuch przeciągu.

Rick posuwał się bardzo ostrożnie stromym korytarzem, kiedy usłyszał kolejny odgłos, inny od poprzedniego, lecz równie niezrozumiały: wyraźne kroki w ciemności.

I nie było to echo jego własnych kroków czy kogoś z ich grupy.

Dochodziły wyraźnie z góry.

Ktoś za nimi podążał.

Obejrzał się ponownie, by spojrzeć na Julię i ujrzał, że na jej pięknej twarzy maluje się przerażenie, dokładnie takie, jakie ogarnęło i jego.

Także inni uczestnicy wyprawy usłyszeli odgłosy kroków, ale nikt się nie odezwał, jakby cisza mogła być obroną.

Rick unióś parasol jeszcze wyżej i nadal schodził w dół, aż w końcu, za ostatnim zakrętem, dotarł do wielkiego mostu zawieszono nad rozpadliną świata.

- Oto linia podziału... - wyjaśnił Malariuszowi Wojniczowi, rzucając niespokojne spojrzenie na korytarz, z którego właśnie wyszli.

Wojnicz go wyminął i wszedł na most.

W zimnym świetle błękitnego płomyka postacie zwierząt z kluczy czasu wyglądały niezwykle groźnie.

- Dzieło genialnego inżyniera i artysty... - zauważył szef Podpalaczy, przyglądając się konstrukcji mostu i starannemu wykonaniu rzeźb.

- Został zbudowany przez przodka Moore'a - wyjaśniła krótko Julia - aby połączyć dwie krawędzie rozpadliny.

- Rozpadliny, otaczającej całe Kilmore Cove - dodał zachwycony Tommaso.

Wojnicz kiwnął głową, jakby te wyjaśnienia mu wystarczyły. - A co się znajduje w głębi rozpadliny?

- Złoty labirynt - odpowiedzieli zgodnie dwaj bracia Nożyce.
 - Bardzo dobrze - powiedział cicho szef Podpalaczy. -Widziałem więc głęboką grootę na miejscu piwnicy, śmiało przerzucony most nad jeszcze bardziej przerażającą przepaścią, jedenaście pięknych rzeźb. Ale gdzie tu... sensacja? Magia? Gdzie tu coś niemożliwego? Zrobił kilka dalszych kroków po moście.
 - Właśnie przed pańskimi oczami! - odpowiedzieli zgodnym chórem raz jeszcze bracia Nożyce.
- Następnie wskazali Wojniczowi balon Petera Dedalu-sa, którym wydostali się z głębi Labiryntu. Kołysał się w powietrzu, mniej więcej w połowie mostu, zakotwiczony za pomocą długiej liny przywiązanej do jednej z rzeźb.
- Zanim jednak do niego doszli, w ciemności groty rozległ się groźny okrzyk: - STAC! • I z korytarza wynurzyła się masywna postać doktora Bowena.
- Niemożliwe... - wyszeptał Rick na jego widok.
- Ale doktor był tam naprawdę, stał kilka kroków od nich, z rewolwerem wycelowanym groźnie przed siebie i spojrzeniem zdradzającym szaleństwo.
- STAC WSZYSCY W MIEJSCU! - krzyknął znowu i zaczął wchodzić na most. - PIERWSZY, KTÓRY SIĘ PORUSZY, PADNIE TRUPEM!
- Nikt się nie poruszył.
- I doktor wolno podszedł do nich.
- Bardzo mnie pan zawiódł, panie Wojnicz! - parsknął, stając naprzeciwko Malariusza Wojnicza. Zatrzymał się dokładnie pod balonem Dedalusa, nie rzuciwszy nań okiem. Jakby nie istniało nic poza nim samym, wpatrzonymi weń przerażonymi twarzami i jego niepojętą nienawiścią.
- Pan doktor Bowen... - zauważył jedynie Wojnicz, przyjmując swoją ulubioną postawę z rękami splecionymi na plecach.
 - Sądziłem, że stoimy po tej samej stronie! - wybuchnął doktor, plując śliną. - Myślałem, że Podpalacze mają na celu likwidowanie tego rodzaju fantazji!
 - Uważa pan, że to wszystko jest czczą fantazją, doktorze Bowen? - zapytał spokojnie Wojnicz.
 - Niech pan spojrz na te dzieciaki! - uniósł się doktor, wskazując lufą rewolweru najpierw Ricka, potem Julię i w końcu Tommasa. - Widzi ich pan? Wie pan, ile oni mają lat?
 - Szczerze mówiąc, to mnie nie interesuje, panie doktorze. Wróćmy raczej do tematu: mówił pan o fantazji.
 - Nie przekonuje pana to określenie? Użyję wobec tego pańskiego terminu, jeśli pan woli: to jest absurd... te groty! -I mówiąc to, wolną ręką zakreślił szerokie koło. - Zrodził się, kiedy... ja... kiedy my... byliśmy mniej więcej w wieku tych dzieciaków. Nazwaliśmy to Wielkimi Wakacjami! Naturalnie, Ulysses tak to ochrzcił! Trafił tu po raz pierwszy pod koniec roku szkolnego. Wcisnął się na wspólne zdjęcie całej naszej klasy, to z panną Stellą, naszą wychowawczynią! Jakby był jednym z nas! Ale nie był! Przyjechał tu z Londynu. I to była jego wina! Tylko jego!
 - Czy fotografia klasowa szczególnie źle wyszła? - zapytał złośliwie Wojnicz.
 - NIE! Ale to była jego wina, że tego roku zaczęli się spotykać w parku. Żeby odkrywać groty! Wszystkie groty! Całe podziemie Kilmore Cove jest popękane jakto tutaj! A wie pan, co znajdowało się w grotach, panie Wojnicz?
 - Nie, ale spodziewam się, że pan mi to wyjawi - odparł ze zwykłym spokojem Wojnicz.
 - Wielkie... MNÓSTWO KŁOPOTÓW! Dlatego istnieją klucze. Żeby wrota trzymać zamknięte! No, ale Ulysses i jego bliscy „przyjaciele” byli ponad to, nie mieli zamiaru trzymać się z dala od zamkniętych drzwi! Oni chcieli wszystkie... otworzyć! I niech pan tylko

popatrzy, do czego to doprowadziło! A zdaniem pana czyja to wina? Wielkiego ULYSSESA MOORE'A! I zawsze jego, od samego początku! Od czasu Wielkich Wakacji!

- NIEPRAWDA! - wykrzyknęła Julia z największym oburzeniem. - Mówi pan tak tylko dlatego, że... nie należał pan do grupy tych przyjaciół!

Doktor Bowen cały poczerwieniał. - Tak! Ja do nich nie należałem! A nie należałem, ponieważ wspaniały Ulysses Moore nie uznał mnie za dość godnego ich „chwalebnych” odkryć! I wiecie, co wam powiem? Że nigdy nie przestanę mu dziękować za tę „łaskę”, ponieważ teraz mogę powiedzieć, że mam CZYSTE sumienie! Nie tak, jak jego, brudne jak stara ścierka!

- Nieprawda! - odezwał się Tommaso, który przypomniał sobie, co przeczytał w książkach. - Pana rodzice nie pozwalali panu nigdy wychodzić z domu! I jest pan pełen nienawiści tylko dlatego, że nie uczestniczył pan w tym, co robili, choć bardzo pan tego pragnął!

- Przykro mi, że cię rozczaruję, chłopcze... - zaśmiał się gorzko doktor Bowen, wyciągając klucz, który nosił zawieszony na szyi. - Ale wbrew samemu sobie miałem o wiele większy udział w tym, co robili, niż ty to sobie możesz wyobrazić.

- To pan ma... Pierwszy Klucz? - zawołał Rick z niedowierzaniem.

- Niemożliwe! - krzyknął Tommaso, kręcąc głową. - W książkach jest napisane, że ma go Fred!

- Fred? Ten nieudacznik? - Bowen o mało co nie ryknął śmiechem.

- To jest klucz mojego ojca... - wyszeptał Rick przez zaciśnięte żęby.

- Był na morzu, chłopcze... - odpowiedział doktor. - Twój ojciec zostawił go na łodzi. A twoja matka miała go na szyi w dniu jego pogrzebu. Ja pierwszy go zauważyłem. i zabrałem go jej.

- Nikczemnik z pana... - syknęła Julia z pogardą.

- Ja? Nikczemnik? To kim są w takim razie pozostali mieszkańcy miasteczka?

Naprawdę myślicie, że nikt nigdy nie zdawał sobie z niczego sprawy? Przez wszystkie te lata? Zapalone światła i nieustanne odwiedziny dziwnych osób w Willi Argo... Wszyscy wiemy, że działy się tam dziwne rzeczy. Ale ze strachu milczeliśmy!

- Z jakiego strachu! - wybuchnął Rick. - Strachu przed czym?

- Ze strachu, że wrota zostaną znowu otwarte... - warknął Bowen. - Właśnie tak, jak to się stało dziś.

W tym momencie Wojnicz machnął zniecierpliwiony ręką. - Wybaczcie, że przerwę tę waszą pasjonującą wymianę poglądów, ale... panie doktorze, chyba się trochę pogubiłem. To znaczy, powiada pan, że zajmuje pana sprawa wrót, jeśli dobrze zrozumiałem.

Bowen przytaknął.

- W takim razie jest tu coś, czego nie rozumiem... -ciągnął Wojnicz. - Pokazał nam pan właśnie specjalny klucz, który pan nosi na szyi. Czy miał pan sposobność skorzystać z niego?

- Jasne, że tak! - zawołał Rick. - W swojej aptece ma płyny, które musiał sprowadzić z ogrodów księdza Gian-niego!

Doktor wycelował w chłopca rewolwer. - Milcz, chłopcze!

- Proszę odpowiedzieć na moje pytanie, panie doktorze - nalegał Wojnicz. - Przeszedł pan przez te wrota i poszedł... daleko stąd?

- Powinni je trzymać zamknięte! - powtórzył z uporem maniaka doktor Bowen. - Ale oni ciągnęli tę gierkę i ciągnęli. Nie udało mi się ich powstrzymać! Trzeba było śmierci...

Penelopy, żeby ostatecznie wrota zamknąć.

Wydawało się, że ciemność pod mostem zadrzała.

Płomyk wydobywający się z parasola pomału przygasał.

- To pan zabił... Penelopę! - wyszeptwała wstrząśnięta Julia.

To doktor znalazł ślady krwi na skałach. To on powiedział Ulyssesowi Moore, że jego żona nie żyje.

Doktor Bowen.

-Ja nikogo nie zabiłem! - krzyknął oburzony, ale z wyrazu twarzy nie można było wyczytać, czy mówi prawdę, czy nie.

- Dla kogo pan pracuje, panie doktorze Bowen? - ponownie zapytał go zniecierpliwiony Malariusz Wojnicz. - Pańska nienawiść do rodziny Moore'ów i do sprawy wrót wydaje mi się trochę za głęboka, żeby uzasadniało ją tylko trudne dzieciństwo.

- Nie pracuję dla nikogo!

- A może właśnie przeciwnie, może ktoś się do pana zwrócił o odnalezienie kluczy i przekazanie mu ich. Dobrze panu płacą za to, co pan robi?

- Powtarzam panu, że nie pracuję dla nikogo! Chcę tylko raz na zawsze zniszczyć wrota i wszystko, co ich dotyczy!

- Powiedzmy zatem, że zniszczy pan wrota... A potem? Co zrobi pan potem, doktorze Bowen? - dopytywał się Wojnicz z zaciekawioną miną.

Doktor Bowen patrzył na niego osłupiały. - Potem... koniec. Pójdę zbudzić moją żonę i... wyjedziemy z tego przeklętego miejsca na zawsze.

- Innymi słowy, nie ma pan żadnej koncepcji co do tego, co będzie pan robił po spaleniu tej willi.

- Nnnoo, nie. Rzeczywiście, nie mam.

-I nie pracuje pan dla nikogo.

Doktor Bowen pokręcił przecząco głową. - Nie rozumiem, do czego pan zmierza.

- Mogę panu zadać ostatnie pytanie, panie doktorze Bowen? - nalegał Wojnicz, ciągle zaciekawiony tematem. - Z tym kluczem na szyi, mając możliwość otwarcia wszystkich wrót... czy nigdy nie kusiło pana, żeby zobaczyć... co się znajduje po drugiej stronie? - I nie czekając na odpowiedź, ciągnął dalej: - Sądzę, że nie, a wie pan dlaczego? Czy pan coś pisze, z wyjątkiem recept, oczywiście? Maluje? Gra na jakimś instrumencie? Ma przyjaciół? Zwierzęta domowe? Ukochaną żonę? Nic z tych rzeczy, czyż nie? Tak myślałem. Więc niech mi pan wyjaśni, co panu po kluczu, który otwiera wszystkie Wrota Czasu, skoro czas pana nie interesuje?

- Och, niech mi pan oszczędzi kazań, Wojnicz! - krzyknął zirytowany doktor Bowen. - Ja jestem dokładnie taki, jak pan!

- Nie całkiem... - mruknął szef Podpalaczy. Po czym błyskawicznie chwycił za kuszę na ramieniu Julii i skierował ją w górę.

PAFF!

Zaostrzona strzała trafiła w balon Petera Dedalu-sa i przebiła jego powłokę. Z balonu natychmiast uszło powietrze i w jednej chwili czasza zwinęła się nad głową doktora, który spojrzał w górę, żeby zobaczyć, co się dzieje.

I wtedy doktor opuścił rewolwer.

- Uwaga! - krzyknęli bracia Nożyce.

Rick odrzucił daleko parasol, miotacz ognia, który podskoczył na moście i zgasł.

Zapadła ciemność.

Dały się słyszeć odgłosy bójki i zdławione okrzyki.

Potem nagle wystrzał z rewolweru. Huk wystrzału odbił się o metalowe części mostu, a wszyscy zamarli.

Chwilę potem Wojnicz zapalił płomyk w swoim parasolu.

Doktor Bowen zatoczył się do tyłu.

Na jego twarzy malowało się zdumienie, jak u dziecka, które nie wierzy w opowiadaną mu właśnie historię.

-Wy... wy... - wyjąkał, potykając się o własne nogi.

Chwycił za sznur kołyszący się obok niego. Uczepił się go. Sznur owinał się wokół jego kostek jak żywy wąż.

W następnej chwili cień balonu ześlizgnął mu się na ramiona. Sflaczała powłoka balonu zaczęła opadać w przepaść, ciągnięta przez ciężar gondoli.

Malariusz Wojnicz zgasił płomyk, ale zgromadzeni zdążyli jeszcze ujrzeć zdumioną twarz doktora Bowena.

Potem, w ciemności, rozległo się głucho uderzenie o most czegoś spadającego w dół.

Szef Podpalaczy znowu zapalił płomyk swego parasola.

- Bardzo dobrze - stwierdził ze spokojem. - Idziemy teraz dalej w stronę Metis?

Rozdział 31

SREBRNE LUSTRO

Mędrzec towarzyszący Jasonowi w Agarthi zatrzymał się przy stoliku na placu miejskim.

Kazał chłopcu podać miskę ciepłej, dobrze przyprawionej zupy.

I ujawnił mu swoje imię. - Nazywam się Mallory.

Potem, kiedy chłopiec się już posilił, ruszyli w głąb Miasta Mędrców ulicami, które miały specjalny system ogrzewania: pod kamieniami płynęła ciepła woda.

Przeszli ulicą ocienioną arkadami, wprawdzie nie bardzo wysokimi, lecz dostojnymi. Agarthi było ciche, harmonijnie zabudowane, zaludnione tłumem mieszkańców - milczących i spokojnych. Żadnego gwaru, żadnych nawoływań kupców, bodaj jednego przykrego hałasu. Miasto było spowite w ciszę, jaka panuje, gdy pada nieustannie śnieg.

Chłopiec zobaczył uczonych dźwigających opasłe tomy, wozy z podbitymi czymś miękkim kołami, żeby nie robiły hałasu, ciągnięte przez yaki z wielkimi złotymi pierścieniami w nozdrzach. Zauważył mężczyzn z brodami różnej długości i kobiety okutane w długie szale z frędzlami.

Nosili ubrania i futra w rozmaitych kolorach, pachnące drzewem sandałowym, mimozą i kardamonem. Jason domyślał się, że te kolory i zapachy muszą coś oznaczać, ale nie pytał o nic. Kiedy przekroczył srebrną linię, poczuł się nagle wyciszony i wybrał milczenie, do którego zazwyczaj wcale nie był skłonny.

Co krok powtarzał swoje imię i cel swego tu przybycia, przerażony myślą, że mógłby to zapomnieć.

Podchodzili coraz wyżej, idąc spiralnymi ulicami obiegającymi miasto i zagłębiali się w nie coraz bardziej. Spoglądając za siebie, Jason nie mógł napatrzeć się na widoki zapierające dech w piersiach: w górze łańcuchy najwyższych na świecie szczytów, a w dole, najstarszy lodowiec omiatany wiatrem. W ciszy miasta trzeszczenie pękającego lodu brzmiało łagodnie jak cicha muzyka.

- Jesteśmy prawie na miejscu, Jasonie Covenant -oznajmił w pewnym momencie mędrzec, prowadząc go do okrągłego budynku, który wyglądał jak głowa cukru. - To jest Przepowiadalnia.

Jason kiwnął głową, nie zadając pytania, co się w niej kryje.

„Ja jestem Jason Covenant, brat Julii Covenant i przyjaciel Ricka Bannera z Kilmore Cove, a przybyłem tu, żeby spróbować odkryć tajemnice Ulyssesa Moore'a i przyjaciół z grupy Wielkich Wakacji" - powtarzał zawzięcie, kiedy zanurzali się w ciepłej atmosferze Przepowiadalni.

Tak jak Mallory go uprzedził, przy wejściu kazano mu opróżnić plecak i zabrano mu pelerynę, dając w zamian pomarańczową tunikę.

Zebrał kilka rzeczy, jakie ze sobą przyniósł, i wsunął je do kieszeni, potem przeszedł boso przez obszerny hol Przepowiadalni.

Jego towarzysz również się przebrał i, pozbawiony kaptura, odsłonił twarz o europejskich rysach. Miał krótko przystrzyżone włosy, oczy o przenikliwym spojrzeniu i długą białą brodę.
- Chodź ze mną... - powiedział.

Minęli wielki, kryty i parujący, basen, dziwnie wyglądający w sąsiedztwie lodowca, następnie weszli w kręty korytarz o ścianach wyglądających jakby były z macicy perłowej, mając wrażenie jak gdyby wędrowali wewnątrz ogromnej muszli. Ciepła para, wilgotna i gęsta, szczypała ich w nozdrza, wprawiając jednocześnie w lekkie odurzenie.

- To jest twój pokój - oznajmił w pewnej chwili Mallo-ry, zatrzymując się przed drzwiami podobnymi do tysiąca innych, które wychodziły na ten sam korytarz.

- Nie pójdziesz ze mną? - zapytał Jason.

- To twoje pytania - odpowiedział krótko mędrzec.

- A kto mi udzieli odpowiedzi?

Na to Mallory lekko się skłonił i wskazał chłopcu biały pokój.

- To miejsce służy do stawiania pytań. Kiedy już otrzymasz odpowiedzi, to bez względu na to, czy zostaniesz w mieście i je zapamiętasz, czy też odejdziesz i zapomnisz o nich na zawsze, twój duch dozna zadowolenia.

Jason skinął pomału głową. Serce zaczęło mu mocniej walić.

„Ja jestem Jason Covenant, brat Julii Covenant i przyjaciel Ricka Bannera z Kilmore Cove, a przybyłem tu, żeby spróbować odkryć tajemnice Ulyssesa Moore'a i przyjaciół z grupy Wielkich Wakacji”.

- I ostatnia sprawa, Jasonie Covenant - powiedział jeszcze mędrzec, wręczając mu kilka pachnących gałązek w torebce. - To są twoje kwiaty.

Chłopiec wziął je w dłonie. Szeleściły mu w palcach.

-Do czego mają mi się przydać? - zapytał Mallo-ry'ego.

ła ich w nozdrza, wprawiając jednocześnie w lekkie odurzenie.

- To jest twój pokój - oznajmił w pewnej chwili Mallory, zatrzymując się przed drzwiami podobnymi do tysiąca innych, które wychodziły na ten sam korytarz.

- Nie pójdziesz ze mną? - zapytał Jason.

- To twoje pytania - odpowiedział krótko mędrzec.

- A kto mi udzieli odpowiedzi?

Na to Mallory lekko się skłonił i wskazał chłopcu biały pokój.

- To miejsce służy do stawiania pytań. Kiedy już otrzymasz odpowiedzi, to bez względu na to, czy zostaniesz w mieście i je zapamiętasz, czy też odejdziesz i zapomnisz o nich na zawsze, twój duch dozna zadowolenia.

Jason skinął pomału głową. Serce zaczęło mu mocniej walić.

„Ja jestem Jason Covenant, brat Julii Covenant i przyjaciel Ricka Bannera z Kilmore Cove, a przybyłem tu, żeby spróbować odkryć tajemnice Ulyssesa Moore'a i przyjaciół z grupy Wielkich Wakacji”.

- I ostatnia sprawa, Jasonie Covenant - powiedział jeszcze mędrzec, wręczając mu kilka pachnących gałązek w torebce. - To są twoje kwiaty.

Chłopiec wziął je w dłonie. Szeleściły mu w palcach.

-Do czego mają mi się przydać? - zapytał Mallo-ry'ego.

- Do niczego, młody podróżniku. Kwiaty i wspomnienia przechowuje się podobnie... - uśmiechnął się mędrzec. - Jako utracony zapach i spłowiałe kolory.

W środku pokoju z masy perłowej nie było prawie niczego.

Pokój był cały biały, miał ogrzewaną podłogę pokrytą wilgotnym nalotem, jakby sam kamień się pocił. Powietrze było rześkie i wywoływało lekki zawrót głowy, podobnie jak na zewnątrz. Umeblowanie sprowadzało się do rzeczy najpotrzebniejszych. Pośrodku pokoju znajdował się prosty stół, a zamiast okna, widniał na ścianie srebrny prostokąt.

Kiedy Jason podszedł do tego prostokąta, ujrzał odbitą w nim własną twarz: to było lustro.

Podniósł wzrok do góry i zobaczył, że sufit jest pełen najróżniejszych kształtów i rozmiarów, lśniących metalicznie otworów. „Co powinienem zrobić?” zastanawiał się.

Może trafił do jednego z tych klasztorów, o których wiele czytał, gdzie się przebywa przez długie lata, ucząc się medytacji, i pomału osiąga mądrość?

Ale Jason nie chciał medytować.

I nie miał długich lat do dyspozycji.

„Ja jestem Jason Covenant, brat Julii Covenant i przyjaciel Ricka Bannera z Kilmore Cove, a przybyłem tu, żeby...” Tak, jeszcze wszystko pamiętał.

Usiadł na stołku, trzymając stopy ściśle przylegające do posadzki. Srebrne lustro odbijało jego postać.

- Mam kierować pytania do ciebie? - zapytał cicho własnego odbicia.

Kiedyś, dawno, kiedy czekał na swoją kolej u fryzjera, czytał w ilustrowanym czasopiśmie artykuł o świątobliwym mnichu, który utrzymywał, że każdy z nas zna już wszystkie odpowiedzi, jakich poszukuje. Pomyślał wtedy, że to jakaś głupota. I nadal był o tym przekonany.

Wydało mu się jednak, że w odbiciu swoich oczu dostrzega jakieś światło. Jakby naprawdę odpowiedzi, których tak poszukiwał, już tam były.

Spojrzał na otwory w suficie. Przypominały mnóstwo uszu.

Opanował przemożną chęć powstania z miejsca i ucieczki - jak najdalej od tego białego pokoju i jego tajemnic.

Dotarł aż tutaj. Musiał więc spróbować.

- Nazywam się Jason Covenant - powiedział chłopcu siedzącemu w lustrze. - I przybyłem tu w poszukiwaniu odpowiedzi. Moje pierwsze pytanie brzmi następująco: kim są konstruktorzy wrót?

Jason wpatrywał się długo we własny wizerunek odbity w srebrnym prostokącie, w swoje oczy, w rozczochrane i wilgotne włosy. Przez jakiś bliżej nieokreślony czas nie zdarzyło się nic szczególnego, z wyjątkiem tego, że posadzka zrobiła się gorętsza i pojawiło się jeszcze więcej pary, jakby pokój miał się zamienić w łaźnię turecką.

Jason zamknął oczy, potem je otworzył.

- Jestem... - zaczął powtarzać swoje zdania, ale nagle urwał.

Z sufitu pomału zaczęły kapać pierwsze słowa. Jak krople deszczu. Najpierw rzadkie, potem coraz to gęstsze, spadały mu na plecy słowa jasne i słowa ciemne, słowa zimne i słowa ciepłe. Miały różne formy i dźwięki, a Jason mógł je słyszeć i widzieć, jakby litery wokół niego przybierały kształt.

Słowa padały, ślizgały mu się po plecach, wirowały. Łączyły się i wiązały. Tworzyły zdania.

Jason przymknął oczy i zdawało mu się, że może się poruszać pomiędzy tańczącymi wokół słowami. Mógł je sobie wybierać i dowolnie układać.

I w ten sposób ułożyć odpowiedź.

- Budowniczo wie wrót to lud pradawny... - zaczęły skandować usta Jasona. - Lud starożytny, który dawno zniknął i już całkowicie zaginął.

Ależ to było łatwe! Odpowiedzi były tuż-tuż, na wyciągnięcie ręki. Ale kto je wypowiadał? I kiedy? I dlaczego?

Jason wyobraził sobie setki takich pokoi jak ten, gdzie inne osoby zadawały pytania, podobnie jak on tutaj.

I same odpowiadały, czy też otrzymywały odpowiedzi, za pośrednictwem uszu i ust

Przepowiadalni. Aż powstawała bardzo gęsta sieć pytań i odpowiedzi.

A zatem to była prawda. Mallory mówił prawdę.

I doktor Bowen też, nie wiedząc o tym.

Ale jeśli wszystko to było prawdą, to prawdą też było, że po wyjściu stąd, zapomni się wszystko. I pytania i odpowiedzi. Nie będą już potrzebne.

Pomyślał o Nestorze, który nie zadawał już pytań. I o Leonardzie, który przeciwnie, pałał wprost żądzą poznania prawdy. Czy mądrością jest trzymanie wiedzy dla siebie i nie dzielenie się nią z innymi? Strzeżenie prawdy? Czy rozpowszechnianie jej? Jason nie był pewien, czy także na to pytanie może uzyskać odpowiedź.

Co do innych, wiedział, co zrobić. Obawiał się do niedawna, że mu w tym przeszkodzą i że jego plan może okazać się tylko głupim dziecinnyim pomysłem. Ale nie.

Może ci mędracy nie byli aż tacy mądrzy, jak sądzili. Albo, całkiem po prostu, Jason okazał się od nich sprytniejszy.

Jason Covenant, brat Julii Covenant i przyjaciel Ricka Bannera z Kilmore Cove, rozłożył na kolanach zeszyt Morice'a Moreau i przyłożył jednocześnie palce do trzech ramek narysowanych w środku. Pragnął, żeby ktoś w tej samej chwili zrobił to samo i żeby pojawił się na czas, by go wysłuchać.

- Otwórzcie, kochani, zeszyt... - szeptał nabożnie. -A potem mi wszystko opowiecie.

W Miejscu z Wyobraźni ukrytym wśród szczytów Pirenejów, a nazywanym przez niektórych podróżników Arkadią, krainą bez chorób, ostatnia mieszkanka otworzyła zeszyt Morice'a Moreau.

Była bardzo zmęczona. I czuła się bardzo samotna.

W jednej z mówiących ramek, zobaczyła narysowaną nową postać. Był to mędrzec o twarzy chłopca.

Oparła dłoń na rysunku i zaczęła nasłuchiwać.

- Budowniczowie wrót... - mówił mędrzec o twarzy chłopca - to lud obecnie zaginiony, który istniał u zarania dziejów, kiedy sam czas był jeszcze pojęciem filozoficznym, a nie mechanicznym. Był to lud pochodzący z morza. Budowniczowie byli przede wszystkim narratorami różnych opowieści. W owych czasach żyły liczne inne Ludy z Wyobraźni, które zamieszkiwały świat do spółki z ludami realnymi. Niektóre z nich zwano „boskimi”, inne „bytami magicznymi”. Niektóre przeżyły, inne nie. Kto przeżył, o tym pamiętano. A imię tego, kto nie przetrwał, zostało ukryte w mrocznych i odległych zakamarkach labiryntu pamięci. Labiryntu znajdującego się wewnątrz i w podświadomości każdego z nas.

Budowniczowie wrót dobrze znali ten labirynt i posługiwali się nim przy konstrukcji i łączeniu swych wrót: podróż można odbyć z jednego miejsca do drugiego tylko pod warunkiem, że je pamiętamy, albo pamiętają je za nas inni. Można podróżować z jednego do drugiego miejsca tylko w naszej wyobraźni albo w wyobraźni, jaką inni podzielią się z nami. Nastąpiła długa chwila ciszy, kiedy to Ostatnia nie śmiała odetchnąć. Słuchała w nabożnym milczeniu, jakby uczestniczyła w jakimś misterium religijnym.

- Czy żyją jeszcze budowniczowie wrót? - zapytał młody mędrzec, mówiący poprzez stronicę zeszytu.

I sam sobie odpowiedział: - Nie. Ostatni odeszli wiele lat temu.

-I nie istnieje już nikt, kto znałby ich sekrety?

- Budowniczowie nie pozostawili dziedziców ani narzędzi, ani papierów, a tylko fragmentaryczne informacje. Opowieści, które w rzeczywistości są ich prawdziwymi narzędziami budowy. Te opowieści mówią, że ich wrota składają się z trzech pierwiastków. Pierwszym jest drewno z drzewa, które zakorzenione jest w wietrze i wiatrem się odżywia. Drugim jest niezwykle rzadki metal zwany uniunio, z którego jest zbudowana nasza pamięć. Można go znaleźć w kryształach na granicy Labiryntu Cienia albo w mózgach ludzkich, w ilości milionowej cząstki grama u każdego człowieka. Trzecim pierwiastkiem jest... człowiek, taki który przekroczy pierwsze wrota i wyjdzie drugimi. To jest przewodnik, który zanim wejdzie w tajemne drzwi, dokładnie wie, dokąd się udaje i gdzie zamierza wyjść, łącząc w ten sposób ze sobą owe dwa miejsca.

- Powiedzieliście mi, gdzie się znajduje metal, z którego odlewa się klucze. A drewno? - zapytał chłopiec.

I znowu odpowiedział sobie sam: - Drewno jest jeszcze rzadsze od metalu. Istnieją tylko trzy drzewa wiatru. Dwa uważa się za niedostępne dla śmiertelników, bo chronią je cudowni strażnicy, tacy co to mogą onieśmielić nawet nieśmiertelnych. Trzecie rośnie w prywatnym parku, przy domu znanym jako Willa Argo. I wszyscy nazywają je „jesionem”.

Bracia Nożyce, Julia, Rick i Tommaso, siedząc obok Metis, czekali, co powie Mariusz Wojnicz.

Kiedy-światliki zaczęły wirować w grocie, mężczyzna siadł na pomoście i nie ruszył się już z niego. Kiedy czekał na przyływ odwagi, by wejść na pokład statku i podjąć podróż do jednego z wyśnionych portów, wypadł mu z kieszeni zeszyt Morice'a Moreau i otworzył się na stronicę z rysunkiem, jakiego Wojnicz nigdy wcześniej nie widział: ukazywał mędrca o obliczu chłopca. Szef Podpalaczy niemal bezwiednie położył rękę na rysunku i zamienił się w słuch.

- Dlaczego Wrota Czasu znajdują się w Kilmore Cove? - zapytał młody mędrzec.

- Dlatego, że kiedy Ludy z Wyobraźni postanowiły zlikwidować Wrota Czasu na zawsze, nie wszyscy budowniczowie zaakceptowali ten werdykt. Niektórzy z nich zaokrętowali się na straszne statki, czarne i groźne, i przepłynęli morze, żeby drzwi ocalić. Inni zakopali je w najgłębszych czeluściach. Osiem z nich ocalono i przewieziono właśnie do Kilmore Cove. Tam, z dala od ludzkich oczu, pozostały bezpieczne przez długie lata, aż ludzie całkiem zapomnieli o ich istnieniu. Ale ponieważ ciekawość jest wprawdzie naczelną cnotą, lecz także głównym grzechem ludzkości, niektórzy odnaleźli wrota i otworzyli je. Potem je zamknęli. I otworzyli na nowo.

- Czemu je zamykać? Czy doprawdy są aż tak niebezpieczne?

- Wrota to tylko przejście. Dopiero ten, kto się nimi posługuje i je przekroczy, może sprawić, że staną się niebezpieczne. Wrota skracają odległości i ułatwiają kontakty międzyludzkie. I wielu z tych, którzy ich nie chcieli, z czasem się rozmyśliło i pożałowało, że je zniszczyli. Ponieważ stopniowo pamięć drogi do tych odległych miejsc się zatarała i mieszkańcy tych miejsc, czując się odcięci na krańcach świata, porzucili własne domy, skazując je na zagładę.

- Czy Kilmore Cove jest Miejscem z Wyobraźni? - zapytał mędrzec o obliczu chłopca.

I odpowiedział sam sobie: - Jeszcze nim nie jest, nawet jeśli niektórzy usiłowali je w takie zamienić. To jest miejsce rzeczywiste, które może stać się Miejscem z Wyobraźni, jeżeli żaden szukający go podróżnik nie zdoła do niego dotrzeć. I wtedy, jak to się już stawało nieraz, to, co jest rzeczywiste, stanie się czymś z wyobraźni, a to, co jest z wyobraźni, zostanie zapomniane. I w końcu to, co zapomniane, przepadnie. A wraz z tym przepadną wrota.

- Czy właśnie dlatego - zapytał młody mędrzec - jest tak ważne, żeby jak najwięcej osób poznało tajemnice Kilmore Cove?

I odpowiedzią było: - Jeżeli się chce, żeby praca budowniczych wrót nie przepadła na zawsze, innego sposobu nie ma.

Kiedy Anita wróciła biegiem do swego ojca w klinice w miasteczku, by zawiadomić go, że płonie Willa Argo, zobaczyła, że siedzi on na łóżku z zeszytem Morice'a Moreau w rękę.

- Słyszę go, jak mówi - szepnął z uśmiechem.

- I co mówi? - spytała, siadając obok.

- Chciałbym wiedzieć, czy ktoś z grupy przyjaciół Wielkich Wakacji kiedykolwiek tu dotarł... - zadawał nadal pytania Jason.

- Tylko jeden z nich. Ten ktoś przybył i zadawał pytania. A kiedy odjechał, zapomniał o swoich pytaniach ..

- Czy to była Penelopa Moore? - dopytywał się chłopiec.

Odpowiedź była jednoznaczna: - Nie.

- Mam jeszcze kilka pytań - odezwał się Jason poprzez stronicę zeszytu. - Czy Penelopa Moore nadal żyje?

I odpowiedział sobie bez wahania: - Tak.

- Dlaczego zatem nie wróciła do domu?

- Ponieważ zapomniała drogi.

- Na koniec - jaki jest wielki sekret Kilmore Cove? -zapytał Jason śmiało.

- Sekret budowniczych jest bardzo prosty: trzeba pamiętać. Ale pamiętanie to bitwa z góry przegrana: czas nie zapamiętuje wszystkiego. Wybiera rzeczy, które ze sobą poniesie dalej i te, które za sobą porzuci. To, czemu każe żyć, i to, co unicestwi. My wszyscy musimy uczyć się postępować tak samo. Ale jak dokonać wyboru tego, co należy zapamiętać? Nie ma reguły. Poeci powiadają, że pamięta się piękno, miłość, uczucia albo ból. Malarze pamiętają kolory i noc. Muzycy pamiętają dźwięki, w tym najmocniejszy ze wszystkich, bicie własnego serca. Może w końcu to jest ów sekret: pamiętać o własnym sercu i o tym, co każe mu bić mocniej.

Po usłyszeniu ostatnich słów, pan Bloom zamknął zeszyt i uściskał swoją córkę.

Rozdział 32

TŁUMACZ

Przerwał im dzwonek telefonu.

Tłumacz dzienników Ulyssesa Moore'a poderwał się i poszedł odebrać. - Bardzo dobrze - powiedział. - Cieszę się. - Po czym rozłączył się i wrócił do salonu. - Mam dla pani dobre wieści... - zwrócił się do pani Bloom, siedzącej na tapczanie obok Freda Spiczuwy.

Dał jej znak, by mu nie przerywała i najpierw go wysłuchała, co zrobiła, acz niechętnie.

- Jak się zdaje, sprawy się wyjaśniły. Nie wszystkie, naturalnie, ale te najważniejsze. W szczególności odkryliśmy, kto posiadał Pierwszy Klucz, co zresztą było naszym celem. -

Tłumacz z niedowierzaniem pokręcił głową. -

To doprawdy zdumiewające. Ja sam, czytając dzienniki, nigdy bym nie pomyślał, że to tak... -

Spojrzał na panią Bloom, która siedziała z pytającym wyrazem twarzy, potem na Freda, trzymającego szklankę z mrożonym napojem w dłoniach. - Masz pojęcie? Miał go doktor Bowen!

- Czuję to! - zawołał Fred Spiczuwa. - Zawsze mi się wydawał bardzo dziwny: jak na pocziwego lekarza, za bardzo lubił robić zastrzyki!

- No, to ten problem masz już z głowy, Fred - uśmiechnął się tłumacz. - Wracając do naszego tematu, pani Bloom... chciałbym dodać kilka słów konkluzji, bo mamy jeszcze chwilę. Otóż, kiedy parę lat temu otrzymałem słynny kufer z dziennikami Ulyssesa Moore'a, stopniowo odkryłem, że brakuje w nich części najciekawszej: końca historii, kiedy to, jak można było oczekiwać, okaże się, kto posiada Pierwszy Klucz. Moi „wspólnicy”, jeżeli mogę ich tak nazwać, byli tym przygnębieni, ale nie mogli na to nic poradzić. Problem polegał na tym, że bez zakończenia dzienniki niejako nie będą funkcjonować: w gruncie rzeczy finał opowieści jest tym, co decyduje, czy cała historia jest interesująca, czy nie. Główne wydarzenia kręcą się wokół Pierwszego Klucza, o którym jednak nikt nie wie, gdzie się podział. I tak przyszedł mi do głowy pewien pomysł: wymyśliłem fałszywego posiadacza Pierwszego Klucza, żeby wypłynął ten prawdziwy. I tak to poszło. Bowen musiał przeczytać w dziennikach

Ulyssesa Moore'a całą opowieść o swojej młodości i zdziwił się końcową ucieczką Freda do Wenecji. W tym momencie jego kręactwa się nasiliły i w końcu się zdradził.

- Mówi mi pan... - spróbowała podsumować pani Bloom - że moja córka została schwytana w rodzaj wielkiej pułapki?
 - Tak, coś w tym rodzaju - uśmiechnął się tłumacz. -Ale pułapki zastawionej w dobrym celu! Przez przyjaciół starego zrędy, ogrodnika, żeby ktoś poznał historię jego życia, jego miasteczka i jego podróży. Żeby odkryć, kto ich zdradził. I żeby wszystko, ale to wszystko, zakończyło się jak najlepiej. I w tym momencie myślę, że tak istotnie będzie.
 - Znaczący... - westchnęła kobieta - że ta historia jeszcze się nie zakończyła?
 - To zależy od punktu widzenia. A z pani punktu widzenia, moim zdaniem, już niewiele brakuje...
- Tłumacz rzucił okiem na zegar wiszący na ścianie. W tej samej chwili zadzwonił znowu telefon. - Przepraszam na moment.
- Poszedł odebrać, krótko kogoś pozdrowił i cały rozpromieniony wrócił szybko do salonu. - Wygląda na to, że w końcu naprawiono linie telefoniczne w Kornwalii! To do pani, pani Bloom: dzwonią córka i mąż.

Rozdział 33

FINAŁ

Mały Flint nie spisał się jak należy. Udało mu się, i owszem, podpalić domek Nestora, ale jeśli chodzi o Willę Argo, sprawa się okazała o wiele bardziej skomplikowana niż przewidywał. Nie mając odwagi postawić nogi wewnątrz domu, który pusty, wydawał się jeszcze bardziej widmowy i groźny niż zazwyczaj, ograniczył się do rozlania po werandzie resztki benzyny, jaka mu została w kanistrze. I jakby tego było mało, ulewny deszcz i wichura, jaka się nagle zerwała, unicestwiły jego niezdarne zabiegi. W końcu, zniechęcony i nękany wyrzutami sumienia, mały łobuz postanowił się chyłkiem ulotnić.

W rezultacie, także dzięki deszczowi, straty ogólne były mniejsze od tych, jakich się obawiali: z wyjątkiem domku Nestora, cała willa wyszła z opresji nienaruszona. Państwo Covenant byli jednak głęboko wstrząśnięci tym, co się wydarzyło. Pani Covenant, chociaż odzyskała równowagę po odnalezieniu męża zdrowego i całego (był zajęty niesieniem pomocy w miasteczku po powodzi), zaczęła od tego dnia gwałtownie tęsknić za swoim dawnym życiem w Londynie. I nie zabrakło okazji, by się w tej tęsknocie utwierdzić. Kiedy pożar jeszcze trwał i w niebo unosił się czarny dym, sześć osób wynurzyło się z Wrót Czasu w Willi Argo. Cała szóstka była śmiesznie przebrana w krótkie spódniczki ze słomy w stylu azteckim. Skorzystali z Metis i odwiedzili zagubione miasto w Eldorado, a podczas krótkiego tam pobytu zdołali się w te stroje i dziwaczne pióropusze zaopatrzyć.

Pierwszymi do gaszenia ognia w domku Nestora byli właśnie oni: Rick, Julia, Tommaso, dwaj bracia Nożyce i Mariusz Wojnicz. Kiedy jednak usłyszeli syreny alarmowe podjeżdżających na górę wozów strażackich, rozproszyli się. Nie chcieli się narażać na zbędne pytania (zwłaszcza Podpalacze) i na wszelki wypadek szybko umknęli.

Przez ukryte przejście w murze parku doszli do drogi wzdłuż wybrzeża, przecięli ją i pobiegli ścieżką prowadzącą do mauzoleum rodziny Moore'a, a stąd do środka Turtle Parku.

Biegając w ulewnym deszczu, dotarli w końcu do polany, na której spotkali się z czekającymi na nich innymi trzema osobami: panem Bloomem, jego córką Anitą i Blackiem Wulkanem, który niedawno się przebudził i za nic na świecie nie chciał stracić okazji uczestniczenia w rozwoju wypadków. To on właśnie udzielił niezbędnych wskazówek, jak trafić do tego odległego zakątka w miejskim parku.

Nastąpiła krótka prezentacja, bo nie wszyscy się znali, a spojrzenia, jakie wymienili między sobą, były wymowniejsze od słów.

Po czym, w dziewiątkę już, zasiedli zmęczeni na mokrej trawie i zmarznięci czekali, aż coś się wydarzy.

Po bliżej nieokreślonym czasie chmury się rozstąpiły i nad horyzontem wychyliło się słońce, złocąc skośnymi promieniami ziemię. Ale jeszcze nic się nie wydarzyło. I dziewiątka zebranych zaczęła tracić cierpliwość.

- Długo to jeszcze potrwa? - zapytało któreś z nich.

- A w ogóle, to czy mamy pewność, że udał się akurat do Agarthi? - spytał ktoś inny.

- A kto go wie? Kiedy skończył opowiadać te wszystkie historie, wyglądał jakby nie pamiętał, jak ma na imię! - odpowiedział ktoś trzeci.

Ale w końcu, kiedy złociste chmury nabrały koloru liliwoniebieskiego, drzwi ukryte w otwartej gębie pokrytej mchem i porostami uchyliły się. Najpierw sypnęło z nich śniegiem, potem ukazał się chłopiec opatulony w futro, rozglądający się dokoła ze zdziwieniem.

- Hej! - odezwał się Jason po chwili. - Co wy wszyscy tutaj robicie?

Pierwsza poderwała się jego siostra. - Jason! Jak się masz? Jak się czujesz?

- Całkiem nieźle, siostrzyczko. A ty?

- Co ci zrobili?

- O kim mówisz? - Jason wyglądał na szczerze zdziwionego. - Nikogo tam nie spotkałem. Trafiłem do czegoś w rodzaju kanionu u stóp lodowca, próbowałem wołać, żeby sprawdzić, czy ktoś tam jest, ale... nic. Myślę nawet, że odbyłem tę podróż na próżno: nie znalazłem żadnej odpowiedzi. Mało tego, prawdę mówiąc, nie znalazłem nawet Agarthi.

Ale... wiecie co wam powiem? Nie zależy mi już tak na tym.

Uściskał siostrę i ciągnął dalej: - Lepiej wy mi powiedzcie, co tu robicie? Czy coś się stało? Teraz i inni podnieśli się i ruszyli, by powitać chłopca.

Jason był szczęśliwy, widząc, że Black i tata Anity są zdrowi, zapytał o wieści od Nestora, pożartował z Tommim, którego jeszcze nie miał okazji poznać.

Dwaj bracia Nożyce, Wojnicz i pan Bloom pozostali na uboczu.

- Czy my się znamy? - zapytał pan Bloom dwóch Podpalaczy.

- Osobiście nie - odparł kędzierzawy. - My jesteśmy ci, którzy pana śledzili z samochodu.

- Aha, miło mi - odparł uprzejmie pan Bloom.

- Nam również - odpowiedział blondyn.

Tymczasem także Rick objął Jasona i trzymał w uścisku czas jakiś, mówiąc mu na ucho: - Sądzę, że mamy sobie wiele do powiedzenia.

- Tak mówisz?

- Jasne. Uwierz mi.

- Oczywiście, stary, jak zawsze.

Black hałaśliwie ziewnął, Po czym klepnął Jasona mocno po ramieniu. - Dobra robota, chłopcze! Genialna, powiedziałbym. Nam się to nigdy nie udało.

- Co, przepraszam?

Black mu nie odpowiedział, tylko puścił do niego oko i odszedł na bok.

Podeszła z kolei Anita.

Na widok tej dziewczyny stojącej przed nim Jason wstrzymał oddech: jej czarne włosy falowały na przedwieczornej bryzie, a oczom zachodzące słońce nadało cudowny blask bursztynu. - O, cześć - burknął, czerwieniąc się lekko.

- Nigdy więcej nie próbuj tego, Covenant - powiedziała, patrząc na niego z wyrzutem.

Jason uśmiechnął się niepewnie. - Masz rację, że się na mnie gniewasz, ja nie...

Anita położyła mu palec wskazujący prawej ręki na czubku nosa i lekko nacisnęła. - Nie masz wytłumaczenia - ucięła z uśmiechem.

Pan Bloom, stojąc tuż za nimi, uśmiechnął się znacząco. Chociaż nie mógł dokładnie usłyszeć, o czym mówili, zobaczył, jak Anita wzięła dłoń Jasona i przycisnęła do serca.

Wojnicz na ten widok podsumował krótko: - Serce nie służy.

Figura rybaczki była rozbita. Ktoś, może w zamieszaniu podczas pożaru, wyrzucił ją. Głowa odpadła od reszty ciała.

Nestor podniósł ostrożnie najpierw korpus i ustawił go na swoim miejscu.

Ten wysiłek pozbawił go tchu. Przed domem ciągle kręciło się mnóstwo ludzi komentujących wydarzenia mijającego dnia i korzystających z okazji, by obejrzeć Willę Argo, której bardzo rzadko mogli przyglądać się z tak bliska.

Na platformę z warsztatu Złotej Rączki załadowano samochód służbowy doktora Bowena i czerwoną augustę 125, zaparkowaną w pewnej odległości od domu. Jednocześnie wymieniano domysły, jak to się stało, że oba te, pojazdy znalazły się tam jednocześnie.

I gdzie się podział doktor?

Nestor usłyszał coś na ten temat od Anity, kiedy się ocknął ze snu w klinice. Ale szczerze mówiąc, mało go to już obchodziło.

Z całego tego wydarzenia i tego, co stracił, wpadając w pułapkę Bowena, niewiele sobie robił. Tylko jedna jedyna rzecz zaprzętała mu teraz myśli.

Penelopa była żywa.

Była gdzieś tam, gdzieś daleko, i nie pamiętała drogi powrotnej do domu.

Taką wiadomość przekazały, padające z sufitu białego pokoju, słowa mędrców, które trafiły do niego dzięki zeszytowi Morice'a Moreau. Słowa mędrców... albo słowa Jasona, któremu się to wszystko przyśniło. Nie można było tego stwierdzić z pewnością.

On sam dopuszczał obie te wersje: sny i mądrość często chodzą w parze.

Kiedy odstawiał figurę rybaczki na swoje miejsce, zauważył małą karteczkę przyklejoną do podstawy rzeźby. To były tylko cztery wersy, zapisane własną ręką przez Penelopę.

Brzmiały one tak:

Ani upływ czasu, który niszczy życie i miłość, ani niezręczne słowo nigdy nie zdołają...

Wiersz kończył się trzema kropkami. - ... wysuszyć mego serca - wyrecytował z pamięci

Nestor, wydobywając z zakątka swego umysłu zakończenie tej strofy.

Gdzie to ułożyli? Przy jakiej okazji i podczas której z ich tak licznych podróży? Tego nie pamiętał: minęło tyle czasu, odkąd wraz z żoną układali te krótkie wierszyki... Ale to wspomnienie nasunęło mu na myśl bolesną sprawę listu Penelopy i wszystko to, co po nim nastąpiło.

Po raz nie wiadomo który zadawał sobie pytanie, gdzie w tym momencie mogła być jego żona? Jason nie zapytał o to mędrców. Albo, jeżeli zapytał, odpowiedź uwięzła w zeszycie Morice'a Moreau.

Ale dokądkolwiek Penelopa się udała, jedyną rzeczą, której Nestor był pewien, było to, że nie pozwoli jej kraść w pustce przez dalsze lata. Oszustwo urwiska już trwało o wiele za długo.

- Przykro mi z powodu pańskiego domu - posłyszał w pewnej chwili za sobą głos.

Nestor obejrzał się: to była pani Covenant.

Stary ogrodnik dźwignął się z trudem na nogi. Noga poważnie zraniona przed laty, gwałtownie go zabolęła.

- Proszę się nie martwić - odparł. - To nie był mój prawdziwy dom.

- Możemy zbudować nowy - ciągnęła kobieta drżącym głosem. - Chociaż obawiam się, że stracił pan też wiele cennych rzeczy...

- Och, tutaj nie było nic aż tak ważnego - skłamał ogrodnik. W pożarze przecież spłonęły liczne wspomnienia i wyjątkowe książki, jak: Podręcznik miejscowości wymaganych, Katalog rozumowany książek nieistniejących, Inwentarz alfabetyczny przedmiotów niemożliwych, Słownik języków zapomnianych, Podręcznik botaniki fantastycznej... - W każdym razie... to tylko przedmioty. Przedmioty można kupić - zakończył, wzruszając ramionami.

- Zgadzam się z panem, Nestorze.
- Doprawdy, proszę się nie martwić.

Pani Covenant usłyszała, że ktoś ją woła. Przepraszyła i pośpiesznie odeszła, może trochę dlatego, żeby nie ciągnąć dłużej tej rozmowy.

Ogrodnik pozostał z głową rybaczki w dłoniach. Spróbował połączyć ją jakoś z jej szyją i zastanawiał się, jak to zrobić. W końcu zrezygnował, mamrocząc przekleństwa, i odłożył głowę posągu na stół obok. Czy próba ciągłego naprawiania rzeczy w nadziei, że pozostaną niezmienione, miała jakiś sens?

Chyba nie.

Może to naprawdę nie miało żadnego sensu.

Nestor opuścił portyk i spojrział na schody, na pozdejmowane ze ścian portrety swoich przodków. Starając się nie podeptać swego dziada, którego wizerunek leżał jeszcze porzucony u stóp schodów, wszedł na górę.

Pchnął lustrzane drzwi do pokoju w wieżycy i włączył światło.

Jego okna. Jego biurko. Jego modele okrętów. Jego cienkie dzienniki podróży... Zgarnął gorączkowo te dzienniki i rozejrzał się za plecakiem, by je zapakować. Potem pogłaskał z czułością wypolerowaną powierzchnię biurka i po raz ostatni nasycił wzrok widokiem morza z wieżyczki.

Zatoka Kilmore Cove wydawała się znowu spokojna, na brzeg plaży wpływały śmiało języki fal. Na niebie wschodził księżyc.

Nestor zszedł na parter, wziął swoją kapitańską marynarkę, a ze skrytki, którą mu zdradziła Julia po powrocie z Eldorado, wyjął pudełko z kluczami. Włożył na siebie marynarkę, która leżała na nim jak ulał, otworzył pudełko, wyjął cztery klucze, pozostałe wsunął do plecaka. Podeszedł do Wrót Czasu Willi Argo. Były osadzone w najstarszej części murów domu. Poczerniały, jakby ktoś próbował je podpalić. I mocno zadrapane, jakby ktoś próbował je stąd wyrwać.

- Aligator - powiedział pod nosem Ulysses Moore, wsuwając pierwszy z kluczy w zamek. - Dzieńciół, zaba i jeżozwierz.

Zatrzymał się na chwilę, jakby chciał kogoś pożegnać czy powiedzieć ostatnie słowo.

Po czym zniknął po drugiej stronie, jak gdyby nigdy nie istniał.

SPIS ROZDZIAŁÓW

1.	Rozbitek.....	7
2.	Na skrzydłach wiatru.....	13
3.	Ktoś,-kto wiosłuje pod prąd.....	21
4.	Morze błota.....	27
5.	Doktor z Kilmore Cove.....	35
6.	Spotkanie.....	45
1.	Telefon	51
8.	Przez ściany.....	57
9.	Lepsi i gorsi.....	65
10.	Leki od aptekarza.....	79
11.	Ukryte lekarstwa.....	87
12.	Klucz w zamku.....	99
13.	Sejf.....	105
14.	W stronę urwiska.....	113
15.	Warsztat Złotej Rączki.....	119
16.	Uzbrojony.....	129
17.	Operacja Królewna Śnieżka.....	139

18.	Plan.....	149
19.	Ucieczka.....	155
20.	Zdrada.....	161
21.	Dom, który żyje.....	169
22.	Stara ścieżka.....	175
23.	Więżniowie.....	189
24.	Duch Willi Argo.....	195
25.	Agarhi.....	205
26.	Nadchodzą nasi.....	213
27.	Przekroczyć próg?.....	225
28.	Kanister z benzyną.....	231
29.	Ogień.....	239
30.	Most.....	247
31.	Srebrne lustro.....	259
32.	Tłumacz.....	273
33.	Finał.....	277

Ulysses Moore

Seria powieści dla młodzieży lubiącej przygody, tajemnice, zagadki.

1. Wrota Czasu
2. Antykwariat ze starymi mapami
3. Dom Luster
4. Wyspa Masek
5. Kamienni strażnicy
6. Pierwszy Klucz
7. Ukryte miasto
8. Mistrz piorunów
9. Labirynt cienia
10. Lodowa kraina

Ulysses Moore to postać bardzo tajemnicza... Jej twórcą oraz autorem cyklu powieści Ulysses Moore jest Pierdomenico Baccalario. Oto inna seria jego wspaniałych powieści:

Seria CENTURY

tom I Ognisty Pierścień

Rzym, 29 grudnia.

W starym hotelu na Trastevere tajemnicza intryga styka ze sobą czwórkę 14-latków: dynamiczną Elektę, piękną Mistral, wyluzowanego Shenga i wrażliwego Harveya. Łączy ich jedno: urodzili się 29 lutego! To spotkanie jest początkiem dramatycznych wydarzeń, które odmienią ich życie, a także, wkrótce... losy świata.

tom II Kamienna Gwiazda

Nowy Jork, 16 marca.

Harvey, Mistral, Elektra i Sheng spotykają się, aby odzyskać piąty bączek, który skradziono na ich oczach. Mają ze sobą starą mapę oraz pozostałe bączki, które otrzymali w Rzymie od profesora Van Der Bergera na krótko przed jego tragiczną śmiercią. Wiedzą już, że są na tropie mrocznej tajemnicy — walki o panowanie nad światem, jaka toczy się pomiędzy diabolicznym dyktatorem a garstką obrońców ludzkości. Swoje zaangażowanie czwórka przyjaciół może jednak przypłacić życiem.

tom III Miasto Wiatru
Paryż, koniec czerwca.

Teraz tu prowadzą tropy wydarzeń z przeszłości i w tym mieście spotyka się czwórka niezwykłych nastolatków. Ściga ich gotowy na wszystko diaboliczny morderca. Czy uda im się ocalić życie?

tom IV Pierwotne Źródło
Szanghaj, 19 września.

Ślady Tajemnicy, w której chodzi o ocalenie świata, prowadzą na odległą, niezwykłą wyspę. Według chińskiej legendy pojawia się ona na wodzie co sto lat i jest widoczna tylko przez cztery dni.

To tam nastąpi ostateczne rozwiązanie zagadki Century.

Pełne fantasmagorii przygody Willa Moogleya i najstarszej agencji duchów na świecie!

T. 1. PIĘCIOWIDMOWY HOTEL

Will był w gorszym humorze niż kiedykolwiek. Gdy tylko wrócił do domu (kompletnie przemoczony), zwał się ze swej wysłużonej kanapy, by zorientować się, że zapas jego ulubionego, potrójnie czekoladowego kremu właśnie się skończył. Jednak humor poprawił mu się niespodziewanie, gdy przeczytał w „Kurierze Duchów”, że sieć hoteli Duch--lux planuje przekształcić starą posiadłość w hotel dla bogaczy żądnych mocnych wrażeń... Czyż to nie idealna okazja, aby odmienić los podupadłej agencji duchów Willarda Moogleya?

T. 2. WSTRZĄSAJĄCA RODZINKA

Will i jego przyjaciel Tupper zajmują się niezwykłym przypadkiem. Pan Plum, pewien duch, który za życia był stróżem nocnym w muzeum, ma tylko jedno pragnienie: chciałby nareszcie się wyspać! Ale nawet jako duch, biedaczysko, nie ma chwili spokoju, bo w jego starym domu mieszka hałaśliwa i nieznośna rodzina Cliffordów. Will przyjmuje więc niezwykle zlecenie: wypędzić rodzinę Cliffordów z domu... ducha.

T. 3. DUCH DRAPACZA CHMUR

Szef ochrony Empire State Building jest zdesperowany. Jakiś duch nawiedza najbardziej znany drapacz chmur w Nowym Jorku! Na szczęście Will Moogley i jego przyjaciel Tupper mają już gotowy plan rozwiązania tej sprawy...

Nowa seria dla fanów „Ulyssesa Moore#a"! Poznaj tajemnicę „Kodu Lyoko"

Jeremy, Yumi, Ulrich i Odd uruchamiają wojsko-wy superkomputer, który przenosi ich do Lyoko, wirtualnego świata zamieszkanego przez xanę.

Jest to zła sztuczna inteligencja, która chce przejąć kontrolę: nad światem realnym.

Cwórka przyjaciół spotyka tam też dziewczynkę: antywirusa, jedyną broń przeciwko Xanie. Ma ona na imię Aelita i nie pamięta prawie niczego ze swojej przeszłości - przeszłości, która jest ściśle związana z Lyoko i jego tajemnicami...

MOTYL NA DNIE MORZA

Mówi się, że jak w Pekinie motyl trzepoce skrzydłami, to w Nowym Jorku będzie padać deszcz.

Może tak właśnie było również i tym razem, ale trudno powiedzieć. Tak to jest: wszyscy widzą, że pada, ale nikt nie potrafi wskazać odpowiedzialnego za to motyla...

We wtorek, 21 grudnia, o godzinie 14.36 statek KNT-17 zarzucił kotwicę na środku Morza Japońskiego i oficer zameldował bazie naziemnej:

- Zajęliśmy pozycję.

W bazie nasłuchiwała Yukiko Itou, ładna, dwudziestotrzyletnia Japonka. Yukiko spokojnie skontrolowała zza biurka otaczające ją monitory, przysunęła sobie mikrofon do ust i powiedziała:

- Tu baza, wszystko okej. Spuszczajcie Rovvy'ego, kiedy wam będzie pasowało. KNT-17 to statek, który kontrolował kable telekomunikacyjne łączące Japonię ze Stanami Zjednoczonymi. Był tylko jeden problem: kable znajdowały się na głębokości ponad tysiąca metrów pod poziomem morza. I dlatego do akcji wkraczał Rowy. Mimo śmiesznego przezwiska był to bardzo wyspecjalizowany robot. ROV: Remotely Operated Vehicle. Jedyny, który był w stanie spokojnie pracować pod ogromnym ciśnieniem, jakie panuje w głębi oceanu.

Yukiko miała na swoim monitorze dwa obrazy. Widziała robota - coś w stylu wielkiej żółtej puszki, która właśnie była spuszczana na fale za pomocą żurawia, a obok miała obraz oficera pokładowego znajdującego się na statku.

- Jak się masz, kotku? - zaskrzeczał jego głos w radioodbiorniku.
- Do mnie mówisz? - parsknęła śmiechem Yukiko.
- No coś ty! Rozmawiałem z Rowym.

Kolejny wybuch śmiechu.

- Weź się do roboty albo cała Japonia zostanie bez Internetu!

Awaria podmorskiego kabla telefonicznego trwała już od sześciu godzin. Sytuacja robiła się niepokojąca. Przez ten kabel przechodziła większość rozmów telefonicznych i e-maili, które Japończycy wysyłali do Ameryki i odwrotnie. Trzeba było działać szybko i precyzyjnie. Dzięki napędowi śrubowemu o dużej mocy Rowy płynął pod wodą jak strzała. Dotarł do długiego czarnego kabla, który leżał na piaszczystym dnie. Ocean był cichy i ciemny. Na tej głębokości nie było nawet ryb. Gdyby ciemności nie rozjaśniała podwodna kamera robota, wydawałoby się, że monitor Yukiko jest wyłączony.

Minęło kilka minut. Ciszę w słuchawkach przerwał głos oficera pokładowego.

- Myślę, że znalazłem usterkę. To chyba nic poważnego.

Z wewnętrznej przegrody Rovvy'ego wysunęło się mechaniczne ramię, które wydłużyło się i dotknęło powierzchni kabla.

W tej samej chwili urządzenia elektroniczne wokół Yukiko zaczęły wariować.

- Stop! - zawołała instynktownie.
- Co jest?
- Miałam tu... coś podobnego do skoku napięcia. Nie umiém tego wytłumaczyć, ale... wyglądało, jakby się kabel na moment zakorkował...

- Yukiko? Mogłabyś powtórzyć?
- Jak tylko ruszyłeś ten kabel, światło na moment w ogóle przestało płynąć.
- Ale ja go ledwo dotknąłem! Poza tym to niemożliwe, żeby coś takiego się stało z kablem światłowodowym!

Dziewczyna zignorowała tę uwagę i spojrzała szybko na monitor.

- W każdym razie chyba już wszystko w porządku. Znowu jest łączność.
- Chcesz, żebyśmy jednak dalej naprawiali?
- Nie, nie, nie ma sensu. Misja zawieszona. Wciągnij Rovvy'ego i wracaj do domu.
- Świetnie, to spotkamy się dziś wieczorem.

Yukiko uśmiechnęła się i założyła sobie kosmyk włosów za ucho.

- Czemu nie?

W czasie gdy w Japonii zaczynał znowu działać Internet, we Francji, w stołowie szkoły Kadic, trzynastoletnia dziewczynka jadła śniadanie. Nazywała się Aelita Stones, ale w ciągu swojego krótkiego życia nosiła już wiele różnych imion. Jak na swój wiek była niewysoka, miała mały, zadarty nosek, wielkie oczy i rude włosy przycięte na pazia. Nosiła wygodne

ogrodniczki i w odróżnieniu od pozostałych uczniów, którzy śmiali się i gadali jak najęci, miała raczej poważne spojrzenie.

W stołówce szkoły Kadic czuło się świąteczną atmosferę. Był przedostatni dzień zajęć przed przerwą bożonarodzeniową i lekcje miały się znowu zacząć dopiero w styczniu, prawie dwadzieścia dni później.

Dużo wolnego czasu, który można fajnie spędzić w domu z mamą i tatą.

Aelita jednak miała inne plany, nie tak przyjemne. Jej rodzice już nie żyli. Dziewczynka miała wrażenie, jakby minęły wieki, odkąd została sama na świecie. Od tego strasznego dnia, w którym jej ojciec...

- Wszystko dobrze? - aż podskoczyła, gdy niespodziewanie zagadnął ją Jeremy.

Jeremy Belpois miał trzynaście lat, tyle co ona, przydługie jasne włosy i okrągłe okulary na nosie. Jeremy był dla niej ważną osobą, ponieważ tego strasznego dnia, w którym jej ojciec...

- Aelita?

Dziewczynka zatrzymała rękę z rogalikiem w połowie drogi. Miała rozchylone usta i spojrzenie zagubione w pustce.

- Poraziły ją emocje - zauważył trzeci kumpel. Był to Odd Della Robbia, jak zawsze uśmiechnięty, z rozwichrzonymi włosami i wyglądem rockmana. - Jeremy, nasz szatański plan jest gotów? - zapytał, zwracając się do przyjaciela.

- Zapięty na ostatni guzik - przytaknął Jeremy. - Aelita i ja jedziemy do moich starych na ferie. Moja mama już się cieszy, że będzie miała dziewczynkę, którą będzie mogła rozpieszczać.

- A ty się nie cieszysz?

- Odwal się, Odd.

- Nasz zakochany informatyk.

Jeremy zaczerwienił się, ale rozmawiał dalej, jakby nigdy nic, ze wzrokiem utkwionym w talerzu.

- Wrócimy do szkoły w niedzielę, dziewiątego. Dzień przed rozpoczęciem lekcji.

- Świetnie! Co powiedziałaś swoim starym?

- Że będę nocował u Ulricha.

- Ja też! I tak nigdy nie sprawdzają. A inni? Słyszałeś, co mówili?

- Nie, ale omówiliśmy już wszystko. Nie powinno być problemów.

- Hej, Aelita, jesteś tu z nami? - zapytał Odd, widząc, że przez cały ten czas rudowłosej nie drgnął ani jeden mięsień. Rogalik tkwił nadal nieruchomo przed jej buzią.

- Aelita, jeśli to zgryw, to wcale nie jest śmieszny - powiedział Jeremy z niepokojem.

Dziewczynka patrzyła na niego niewidzącym wzrokiem, prawie nie mrugając.

- Ty się nazywasz Jeremy, prawda?

Z niedowierzaniem wbił w nią wzrok, a potem zaśmiał się, speszony. Odd udał, że bierze udział w zabawie:

- Tak, on jest Jeremy, a ja jestem Odd. Jesteśmy twoimi najlepszymi przyjaciółmi.

Pamiętasz?

Miał to być żart, ale Aelita się nie zaśmiała.

- Nie - odpowiedziała.

uratuje krainę Madesh przed siłami zła? ^Dołącz do ' >poszukiwaczy zaginionych stronic Księgi Trzeznaczenia! cPrzeczytaj pierwszy tom sagi

